

James Oliver Curwood

Włóczęgi Północy

Przełożyła Irena

James Oliver Curwood

WŁÓCZĘGI PÓŁNOCY

NIUA

W końcu marca, gdy księżyc stał w ostatniej kwadrze, Niua, czarny niedźwiadek, po raz pierwszy naprawdę zobaczył świat. Jego matka, stara niedźwiedzica, jako osoba w podeszłym wieku, cierpiała na reumatyzm i lubiła długo sypiać. Tej zimy więc, zamiast uciąć zwykłą trzymiesięczną drzemkę, spała całe cztery miesiące, a co za tym idzie, Niua, urodzony w czasie snu matki, miał nieco ponad dwa miesiące zamiast sześciu tygodni, gdy wreszcie opuścili legowisko.

Nuzak wyszukała odpowiednie leże w jaskini położonej u szczytu wysokiego, pozbawionego roślinności zbocza. Stamtąd Niua po raz pierwszy spojrział w dolinę. Wyszedłszy z ciemnej jamy na zalany słońcem przestwór, chwilę był oślepiiony zupełnie. Usłyszał i wyczuł wiele rzeczy, nim je zobaczył. A Nuzak, jakby zdumiona tym, że zamiast śniegu i chłodu panują wkoło słońce i ciepło, stała parę minut, wietrząc i spoglądając w dół na swoje państwo.

Od dwóch tygodni wczesna wiosna czyniła cuda w tej pięknej północnej krainie, rozpostartej pomiędzy Jackson's Knee i rzeką Shamattawą oraz pomiędzy jeziorem O'God a fortem Churchilla. Był to kraj prześliczny. Z wyniosłości skalnej, na której stali, wyglądał jak wielkie morze światła usiane tu i ówdzie białymi płatami śniegu, który przetrwał jeszcze w miejscach, gdzie wiatr potworzył głębsze zaspasy. Jak daleko mógł sięgnąć wzrok ludzki, widniały błękitne i czarne smugi

boru, lśniły tafle wciąż półzamrzniętych jezior, skrzyły się strugi i potoki oraz zieleniały łąki, wydzielając mocny aromat świeżej ziemi. Ta woń biła w nozdrza niedźwiedzicy jak zapach jądła. W dole świat kipiał życiem. Pąki topoli już nabrzmiały, lada chwila gotowe pęknąć; trawy wypuszczały nowe źdźbła, delikatne i soczyste; pierwiosnki i fiołki garnęły się ku słońcu. Nuzak węszyła z doświadczeniem nabytym w ciągu dwudziestu lat życia, chłonąc rozkoszny aromat jodeł i cedrów, wilgotną słodką woń dzikich lilii, płynącą z pobliskich moczarów, oraz górujący ponad wszystkim mocny oddech ziemi.

Niua drżał i dygotał pełen zdziwienia. Przed chwilą jeszcze pogrążony w mroku znalazł się nagle w krainie czarów. W ciągu tych paru minut przyroda dokonała nad nim swego dzieła. Nie miał życiowego doświadczenia, ale urodził się obdarzony określonym instynktem. Wiedział, że to jest jego świat, że słońce i ciepło są dla niego, a słodkie dary ziemi stanowią plon jego dziedzictwa. Zmarszczył małe brązowe noski i wciągał powietrze, łowiąc wonie wszelkich rozkoszy, o jakich warto było marzyć. Nasłuchiwał. Stojące uszki wyciągał ku przodowi i chwycił szelesty zbudzonej ziemi. Nawet źdźbła traw musiały chyba nucić radośnie, bowiem wzdłuż i wszerz całej doliny brzmiała cicha, śpiewna melodia kraju pełnego szczęścia, że nie stąpa po nim noga ludzka. Wszędzie unosił się harmonijny poszum wody, a łączyły się z nim inne dźwięki wieszczące rozkwit życia: świergot skalnego wróbla, srebrzysta aria drozda polatującego nad mokradłem, rozdygotany hejnał wspaniale barwionej sójki kanadyjskiej, szukającej wśród aksamitnej gęstwy świerków odpowiedniego miejsca na uwicie gniazda.

Nagle Niua zadrżał, usłyszawszy wysoko nad głową ostry krzyk. Instynkt przestrzegł go, że w tym krzyku czai się groźba. Nuzak spojrzała w górę i zobaczyła cień Upiska, wielkiego orła, który ważył się na rozpiętych skrzydłach między ziemią a słońcem. Niua dostrzegł go również i przyłgnął do matki.

A Nuzak, chociaż tak stara, że utraciła połowę zębów, że wzrok słabł jej coraz bardziej, a w chłodne i wilgotne noce łamały ją kości — z rosnącym zadowoleniem spoglądała na kraj rozesłany u jej stóp. Myśl jej wybiegała poza obręb doliny. Kędyś, za murem borów, za najdalszym jeziorem, za rzeką i łąką leżały bezkresne przestrzenie, tworzące jej ojczyznę. Słyszała nieuchwytny dla Niuy dźwięk: daleki łoskot wielkiego wodospadu. Ten łoskot właśnie i szept tysięcy strużek wody, złączony z miękkim szmerem wiatru wśród iglastych konarów — stanowiły gęźbę wiosny.

Wreszcie Nuzak westchnęła głęboko i mruknawszy w stronę Niuy, jęła wolno schodzić drogą między skałami w dół zbocza. W dolinie było jeszcze cieplej niż u szczytu góry. Nuzak szła prosto nad krawędzie błot. Pół tuzina ptaków porwało się do lotu trzepocąc skrzydłami i Niua o mało się nie przewrócił ze strachu. Nuzak ani drgnęła. Niua zauważył jej wyniosłą obojętność. Nie spuszczał z niej oczu, a instynkt już mu doradzał, by jeśli matka objawi chęć ucieczki, zmykać u jej boku co sił. W dziwacznym, małym łebku krystalizowało się wyraźnie pojęcie o tym, jak niezwykłą istotą jest jego rodzicielka. Była przede wszystkim największa ze wszystkich żywych stworzeń. Wierzył w to niezachwianie całe dwie minuty, to jest nim doszli do końca moczarów. Ale raptem ozwało się głośnie chrapanie, trzask sitowia, chlupot wielkiego cielska w głębokim bajorze — i potworny łos, czterokrotnie większy niż Nuzak, porwał się do szalonej ucieczki. Oczy Niuy niemal wylazły z orbit. A Nuzak i na to nie zwróciła najmniejszej uwagi. Więc Niua zmarszczył małe brązowe noski i warknął groźnie, tak samo jak warczał w głębi mrocznej pieczary, bawiąc się futrem Nuzak lub kawałkami suszu. Pojął wspaniałą prawdę: może drwić z wszelkich istot, choćby największych, bowiem każdy umyka przed Nuzak, jego matką.

Przez cały dzień Niua czynił wiele odkryć i z każdą chwilą upewniał się coraz bardziej, że jego matka jest bezsprzeczną władczynią tej nowej słonecznej krainy. Nuzak była starą, mądrą rodzicielką,

która wychowała już piętnaście do osiemnastu pokoleń niedźwiadków, toteż w pierwszym dniu wędrówki nie chodziła zbyt wiele, dbając o to, by miękkie podeszwy łapek Niuy mogły stopniowo twardnieć. Nie porzucali prawie mokradeł i odwiedzili jedynie pobliską kępę drzew, gdzie Nuzak pazurami rozdarła korę sosny, umożliwiając dostęp do soczystego miększu pnia i słodkiej żywicy. Niua, najadłszy się wprzód korzeni i kłączy, rozkoszował się tym deserem, po czym spróbował o własnych siłach rozdrapać korę innego drzewa. Po południu Nuzak była tak nażarta, że boki jej spęczniały, a Niua, opchany matczynym mlekiem i rozliczną strawą dodatkową, wyglądał jak baryłka.

Stara, leniwa niedźwiedzica wynalazła teraz skalny złom, silnie ogrzany słońcem, i legła pod nim na krótką drzemkę. Niua zaś, kręcąc się tu i ówdzie w poszukiwaniu nowych wrażeń, znalazł się nagle oko w oko z krwiożerczym potworem.

Był to ogromny leśny żuk długi na dwa cale. Jego bojowe kleszcze, czarne niby smoła, wyglądały jak żelazne haki. Miał piękny brunatny przyodziewek, a metaliczny pancerz lśnił w słońcu niby wykuty z miedzi. Niua spłaszczony na brzuszku gapił się z mocno bijącym sercem. Żuk, oddalony zaledwie o pół metra, sunął naprzód. To właśnie było niezwykle i gorszące. W ciągu całego dnia zdarzyło się po raz pierwszy, że napotkana żywa istota nie ratowała się ucieczką. Żuk, zbliżając się za pomocą dwóch rzędów nóżek, wydawał ostry chrzęst, który Niua słyszał całkiem wyraźnie. Przemówiła w nim raptem wojownicza krew ojca, wspaniałego Suminitika, nagłąc do czynu. Wyciągnął więc niepewną łapkę, a żuk Czigewese w jednej chwili przybrał straszliwy wygląd. Skrzydła jego zawirowały z brzękiem, rozwarł szczypce tak szeroko, że mógłby nimi objąć ludzki palec, i począł się kołysać na wszystkie strony, jak gdyby tańcząc. Niua spieszenie cofnął łapkę, a Czigewese uspokoił się po chwili i znowu sunął naprzód.

Niua nie wiedział oczywiście, że wzrok żuka sięga zaledwie o cztery cale poza czubek jego nosa, toteż sytuacja wydała mu się okropna. Żaden z synów Suminitika nie był jednak tchórzem, nawet wtedy, gdy liczył niespełna dziewięć tygodni. Pełen rozpaczliwej odwagi Niua ponownie wyciągnął łapkę i niefortunnie, jednym pazurkiem, ujął żuka wpół, przyciskając go lśniącym pancerzem do ziemi tak mocno, że Czigewese nie mógł ani buczyć, ani chrzęścić. Niua uradował się niepomiernie. Cał za całem przyciągał bliżej łapkę, aż żuk znalazł się tuż u jego mordki. Wtedy powąchał go.

Nadeszła chwila odwetu. Czigewese zacisnął szczypce, i drzemka Nuzak została przerwana nagłym rozpaczliwym wrzaskiem Niuy. Gdy uniosła łeb, niedźwiadek tarzał się po ziemi jak ogarnięty szalem, wiercił się, rzucał i wył. Nuzak patrzyła chwilę uważnie, potem wolno wstała i podeszła bliżej. Wielką łapą obróciła syna na grzbiet i zobaczyła żuka mocno i uparcie uczeponego noska Niuy. Wtedy, przytrzymując niedźwiadka tak silnie, by nie mógł się ruszyć, ujęła żuka zębami, nadgryzła lekko, a gdy rozluźnił chwyt, połknęła go.

Niua aż do zmięzchu leczył zboleły nosek. Nieco przed zachodem słońca Nuzak legła pod skałą, a Niua spożył kolację. Potem umościł sobie gniazdo w zgięciu jej wielkiej łapy. Choć nosek mu dolegał, był bardzo szczęśliwym niedźwiadkiem. Wyszedł wreszcie na szeroki świat, zobaczył dużo rzeczy i chociaż niewiele zdobył, chwalebnie spędził swój pierwszy dzień.

PIERWSZA WALKA

Tej nocy Niua doznał okropnych mitsupujew, czyli inaczej mówiąc, boleści. Wyobraźcie

sobie małe dziecko, żywione wyłącznie mlekiem, któremu by raptem dano befszytk! Tak się właśnie stało z Niua. Normalnie biorąc, dopiero za miesiąc powinien był spróbować stałych pokarmów, ale przyroda zaprawiała go zawczasu do ciężkiej i nierównej walki, którą miał wkrótce podjąć. Długie godziny Niua narzekał i płakał, a Nuzak rozcierała mu nosem wzdęty brzusek; wreszcie niedźwiadek dostał wymiotów i poczuł się lepiej. Potem usnął. Gdy zbudził się, wlepił zdumione ślepki w ogromne, płonące ognisko. Wczoraj słońce było złote i bardzo odległe. Dzisiaj Niua widział je po raz pierwszy, wychodzące nad krawędź świata. Czerwieniało niby krew i w miarę jak patrzył, mknęło ku górze szybko a bezustannie, aż przybrało kulistą formę — ogromne, okrągłe coś. W pierwszej chwili pomyślał, że to jest samo życie — groźny potwór szybujący ku nim ponad lasem — i z trwożnym piskiem przytulił się do matki. Nuzak jednak nie okazywała lęku. Zwróciła w stronę słońca olbrzymi łeb i mrużyła ślepią z rozkosznym zadowoleniem. Zresztą Niua uczył również przyjemne ciepło, bijące od purpurowej kuli, i mimo pewnego zdenerwowania przyglądał się jej w dalszym ciągu. Słońce z czerwonego stało się wkrótce złote, a dolina, tonąca w blaskach, jęła znów pulsować życiem.

Nuzak pozostała jeszcze w pobliżu urwiska i błot całe dwa tygodnie. Wreszcie gdy Niua ukończył drugi miesiąc, zwróciła pysk w kierunku dalekich czarnych borów i rozpoczęła letnią wędrówkę. Łapki Niuy utraciły nadmierną wrażliwość, a ważył już dobre sześć funtów. Prawdziwe przygody Niuy rozpoczęły się dopiero teraz. W ciemnych i tajemniczych leśnych ostępach tu i ówdzie leżał jeszcze śnieg, więc całe dwa dni niedźwiadek tęsknił i płakał za ciepłą i słoneczną doliną. Gdy minęli wodospad, Niua ujrzał po raz pierwszy rwący nurt wody. Bór wkoło nich stawał się coraz bardziej ponury i mroczny. Tu Niua wziął pierwszą lekcję łowów. Nuzak bobrowała między Jackson's Knee i rzeką Shamattawą, zwiedzając, doskonałe wiosną, myśliwskie tereny. O ile nie morzył jej sen, była niestrudzona w poszukiwaniu żywności, ryjąc bez ustanku ziemię, odwracając głazy i rwąc w strzępy zmurszałe kłody i pnie drzew. Popielate myszki leśne, choć tak małe, stanowiły piec de resistance i Niua nie mógł się nadziwić, jak zręczną i obrotną okazywała się jego ciężka, stara mama, gdy szło o pojmanie, którego z tych stworzonek. Nieraz udawało się jej złowić całą rodzinę gryzoni. Jadała również na pół jeszcze senne żaby, mrówki na pozór martwe, ukryte w zbutwiałych pniach, a czasem osy, pszczoły lub szerszenie.

Niua próbował niejednokrotnie tych lub owych przysmaków. Trzeciego dnia podróży Nuzak odnalazła gromadę zimujących mrówek, spojonych mrozem w twardy blok wielkości dwu ludzkich pięści. Niua pochłonał ich sporą ilość, a łagodny kwas tej potrawy ogromnie przypadł mu do smaku.

W miarę jak mijały dni, a różne żyjące stworzenia wyrajały się spod pni i skał, Niua poznał rozkoszny dreszcz samodzielnych łowów. Napotkał znów leśnego żuka i zabił go tym razem. Zabił leśną myszkę. Szybko rozwijał się w nim wojowniczy instynkt ojca, wspaniałego Suminitika, który żył o trzy lub cztery doliny dalej na północ i nigdy nie opuścił okazji do zwady. Mając cztery miesiące, było to pod koniec maja, Niua jadł wiele rzeczy, które wyprawiłyby na tamten świat większość jego rówieśników. Od czubka nosa począwszy, po krótki, puszysty ogonek nie miał na sobie ani jednej żółtej łaty. Ważył dziewięć funtów i był czarny jak smoła.

Niezwykły dramat, będący niejako początkiem wielkiej przemiany w życiu Niuy, zdarzył się w pierwszych dniach czerwca. Pogoda była tak ciepła i rozmarzająca, że Nuzak natychmiast po obiedzie udała się na zwykłą popołudniową drzemkę. Las nizinny został już poza nimi. Znajdowali się teraz w dolinie, której środkiem biegł płytki kręty strumień, opasując piaszczyste mielizny i żwirowe pagórki. Niua nie czuł do snu najmniejszej ochoty. Mniej niż kiedykolwiek miał zamiar marnować wspaniałe popołudnie na zbędny wypoczynek. Wytrzeszczał na świat okrągłe ślepki i wydało mu się, że świat go woła. Spojrzał na matkę i pisnął cicho. Wiedział z doświadczenia, że przez długi szereg godzin Nuzak ani drgnie, chyba że połaskocze ją w pięty albo pociągnie za ucho; a i wtenczas wyda jedynie groźny pomruk. Miał tego stanowczo dosyć! Tęsknił do silniejszych wrażeń i powziąwszy nagle postanowienie, ruszył naprzód w poszukiwaniu przygód. Śród wielkiej, złotozielonej przestrzeni wyglądał jak czarny kłębuszek, tyle niemal szeroki, co długi. Dobrnął do strumienia i obejrzał się. Wciąż jeszcze widział mamę. Potem zagłębił łapki w białym, miękkim piasku długiej wydmy usypanej wzdłuż koryta — i zapomniał o Nuzak. Doszedł do końca wydmy i wkroczył na łąkę pokrytą zieloną aksamitną trawą. Tu zaczął przewracać mniejsze kamienie polując na mrówki. Po chwili wielki śnieżny królik porwał się niemal spod jego mordki, więc gonił za nim, aż uczyniwszy tuzin ogromnych susów, Wapus znikł w pobliskiej gęstwie. Niua zmarszczył nosek i skrzeknął gniewnie. Nigdy jeszcze krew Suminitika nie płynęła w nim tak bujną falą. Pragnął dokonać wielkich czynów. Po raz pierwszy w życiu tęsknił za walką. Czuł się jak uczeń, co nazajutrz po gwiazdce, mając rękawice bokserskie, nie może znaleźć przeciwnika. Kucnął w trawie na tłustym zadku i rozglądał się wokoło, mruczając wyzywająco. Zwyciężyłby cały świat. Był tego pewien. Wszystko drżało przed jego matką. Wszystko drżało przed nim. Co za niezdolna rzecz brak przeciwnika, gdy się płonie chęcią boju. Prawdę mówiąc, świat jest raczej nudny!

Ruszył dalej, zmieniając nieco kierunek, okrążył wielki odłam skały i nagle stanął. Spoza głazu wyglądała olbrzymia, tylna łapa. Niua przysiadł i spoglądał na nią chwilę, a zamiary jego przybierały zwolna określone kształty. Teraz da mamie taką sójkę, która jej na pewno sen przerwie. Więc przysunął się wolno i ostrożnie, upatrzył odpowiednie miejsce na gołej pięcie i zatopił w nim ostre zębki aż po dziąsła.

Zabrzmiął ryk tak straszny, że ziemia drgnęła w posadach. Łapa nie należała do Nuzak, lecz stanowiła osobistą własność Makusa, starego niedźwiedzia, obdarzonego wielce zgryźliwym charakterem. Podeszły wiek, który rozwinął w Nuzak macierzyńskie skłonności, tu zwiększył jedynie wrodzoną złośliwość. Nim jeszcze Niua zrozumiał, jak fatalną popełnił omyłkę, Makus zerwał się już na nogi. Był to nie tylko stary i okrutny samotnik, ale ponadto nie znosił małych niedźwiadków. Niejednokrotnie uprawiał kanibalizm. Zasługiwał w zupełności na miano uczan, czyli „złego niedźwiedzia, pożeracza własnego plemienia”. Zaledwie jego kaprawe ślepia dojrzały Niue, wydał ponowny ryk. W odpowiedzi Niua począł zmykać, ile sił w tłustych łapkach.

Nigdy w życiu jeszcze nie gnał tak jak teraz. Instykt mówił mu, że napotkał wreszcie istotę, która się go nie boi, i że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie wybierał kierunku ucieczki, bowiem raz zbłądziwszy nie miał pojęcia, gdzie znajdzie mamę. Słyszał, jak Makus pędzi za nim, i w biegu wydał rozpaczliwy skrzek, błagając o pomoc. Stara, wierna Nuzak usłyszała ten głos. Natychmiast porwała się na nogi — i w samą porę. Niua minął ją właśnie niby czarna kula, a o dziesięć susów za nim leciał Makus. Niua dojrzał matkę kątem oka, ale rozpedził go dalej. W tej chwili Nuzak skoczyła naprzód, pełną piersią uderzyła Makusa w bok i oba stare niedźwiedzie jęły się przewalać po ziemi w zacieklej walce.

Niua stanął i wyłupiając lśniące oczki, przyglądał się bitwie. Marzył o awanturach, ale to, co widział teraz, odebrało mu wprost możliwość ruchu. Oba niedźwiedzie walczyły zaciekle, rwąc sobie

wzajem strzępy skóry i w śmiertelnych zapasach wyrzucając w powietrze fontanny ziemi i żwiru. W pierwszej rundzie Nuzak wzięła górę. Jej impet oszołomił Makusa. Spróchniałe kły wpiła mu w gardło, orała boki ostrymi pazurami tylnych łap, aż stary barbarzyńca, zlany krwią, począł ryczeć jak zarzynany wół. Niua wiedział, że wróg bierze gruntowne lanie, toteż zbliżył się nieco, piskliwym krzykiem zachęcając matkę do czynu, i marszczył pyszczek ukazując białe ząbki. Oddalony o cztery metry od walczących, miotał się na wszystkie strony i chociaż czuł okropny strach, krew Suminitika wrzała w nim chęcią boju.

Wtem zaszło coś, co zniweczyło w nim doszczętnie poczucie radosnego triumfu. Makus, jako samiec, z konieczności znał gruntownie wszelkie bojowe arkana, toteż raptem oswobodził się z objęć Nuzak, rzucił nią o ziemię i począł tak zaciekle obrabiać jej boki, że stara niedźwiedzica wydała rozpaczliwy ryk, a serce Niuy skamieniało ze zgrozy.

Ciekawe, jakby postąpił mały chłopak widząc ojca w nierównej walce. Niejeden mając pod ręką siekiere, użyłby jej na pewno bez wahania. Poczucie, że inny ojciec jest silniejszy niż swój własny, może wywołać prawdziwą tragedię. Niua posiadał sporo ludzkich cech. Im głośniej ryczała jego matka, tym silniej odczuwał grożącą katastrofę. Choć Nuzak straciła z wiekiem część dawnych sił, wciąż jeszcze miała niezwykle donośny głos i jej lamenty rozlegały się przynajmniej na pół mili wokoło.

Niua nie mógł już ustać w miejscu. Pijany wściekłością runął w wir walki. Szczęśliwie trafił mordką na palec należący do jednej z łap Makusa i zatopił w nim ząbki jak rząd kościanych iglic. Makus szarpnął, ale Niua nie rozwarł szczęk, przeciwnie, wpił kły jeszcze głębiej. Wtedy Makus gwałtownie skurczył łapę, po czym wyprostował ją nagle i choć Niua opierał się rozpaczliwie, musiał rozluźnić chwyt i poczuł, że leci w powietrze jak piłka. Opadł na ziemię pod skałą, o dwadzieścia stóp od walczących; dech mu zapało i przez chwilę niezdarnie gmerał łapami, na próżno próbując wstać. Wreszcie oprzytomniał, odzyskał wzrok, a wtenczas to, co ujrzał, podnieciło go znów do najwyższych granic.

Makus już się nie bił, lecz umykał i to kulejąc mocno. Biedna stara Nuzak patrzyła w ślad za uchodzącym wrogiem. Dyszała ciężko jak zgonione ciele. Szczęki miała szeroko rozwarte i wywalony ózór. Strugi krwi czerwieniły jej futro spływając aż na ziemię. Dostała straszliwe lanie. Była zupełnie rozbita. Lecz Niua wobec ucieczki wroga nie widział wcale wyczerpania matki. Makus zmykał! Zatem Nuzak była górą. I z radosnym piskiem Niua podbiegł do niej.

MIKI

Minęło sporo czasu od chwili, gdy Niua zanurzył ostre ząbki w palcu starego samotnika, nim Nuzak odzyskała dech o tyle, że mogła wydać słaby ryk. Jej boki unosiły się i opadały jak miechy kowalskie, a gdy Makus znikł, Niua kucnął w trawie, ustawił ku przodowi zabawne uszki i wlepił w

matkę badawczo błyszczące, niespokojne ślepie. Nuzak skręciła w miejscu z jęklwym pomrukiem i ruszyła ku skale, pod którą odbywała poobiednią drzemkę, zanim ją zbudził rozpaczliwy wrzask syna. Każda kość jej starego cielska zdawała się być złamana lub zwichnięta. Szła chwiejnie, kulejąc i sapiąc, a na trawie pozostawał czerwony ślad. Makus nadwerężył ją porządnie. Położyła się wreszcie, mruknęła i spojrzała na Niue, jak gdyby mówiąc:

„Gdybyś się nie włóczył nie wiadomo po co i nie drażnił tej starej gadziny, obyłoby się bez awantur. A tak, spójrz na mnie!”

Młody niedźwiedź rychło by odzyskał siły po takiej walce, ale Nuzak przeleżała bez ruchu całe popołudnie i całą noc następną. Ta noc była bezsprzecznie najpiękniejszą ze wszystkich, jakie Niua kiedykolwiek oglądał. Teraz gdy chłody minęły, polubił księżyc bardziej nawet niż słońce, gdyż z urodzenia i zamiłowania był raczej nocnym włóczęgą niż dziennym myśliwym. Miesiąc pojawił się na wschodzie w przepychu płomiennych blasków. Na złotym tle świetlnej powodzi kępy chojarów czerniały niby wyspy, a strumień migotał i lśnił jak żywe srebro, wiodąc kręty bieg poprzez jasną dolinę. Ale Niua dostał dobrą lekcję; więc choć księżyc i gwiazdy mamły go, tkwił wciąż u boku matki, nasłuchując chciwie gamy nocnych dźwięków, nie oddalając się jednak od niedźwiedzicy ani na krok.

Rankiem Nuzak wstała i ostrym warknięciem każąc synowi iść za sobą, ruszyła wolno przez stok zalany słońcem. Nie miała najmniejszej ochoty do spacerów, lecz obawiała się niejasno, że podły Makus może tu wrócić. Wiedziała, że w nowej walce ulegnie na pewno i że Niua pójdzie wtedy na śniadanie starego samotnika. Powlokła się na szczyt zbocza, minęła nową dolinę i poprzez wąwóz otwarty jak brama zobaczyła falistą łąkę pełną zieleni, migotliwych strug i czarnych kęp drzew szpilkowych. Od tygodnia dążyła świadomie w stronę pewnej łąchy, a teraz, gdy za plecami groził Makus, nie przerwała pochodu, aż wreszcie tłuste łapki Niuy ledwo mogły się ruszać. Łachę odnaleźli dopiero po południu; Niua był tak zmachany, że z trudem wgramolił się na drzewo, które mu wskazała matka jako miejsce odpowiednie na wieczorną drzemkę. Wyszukał dogodnie rozwidlenie konarów i ułożył się wnet do snu, gdy tymczasem Nuzak ruszyła na połów.

Łacha roiła się od ryb pozostałych w płytkiej wodzie po wiosennym tarle — i nim upłynęły dwie godziny, Nuzak zasypała nimi cały brzeg. Gdy o zmierzchu Niua zlaźł z drzewa, trafił na prawdziwą ucztę. Nuzak zjadła już tak wiele, że wyglądała jak baryłka. Niua spróbował tego przysmaku po raz pierwszy i cały następny tydzień żył jak w rybim raj. Opychał się rybami rankiem, w południe i nocą, a gdy nie mógł już nic przełknąć, tarzał się w tym jadle. Nuzak żarła, aż boki jej groziły pęknięciem. Gdziekolwiek ruszyło które z nich, szła za nim woń rybia, z dnia na dzień ostrzejsza; a im silniejszy był smród, tym bardziej rozkoszowali się Niua i Nuzak. Niedźwiadek rósł jak na drożdżach. W ciągu siedmiu dni przybyło mu trzy funty. Przestał zupełnie ssać, gdyż Nuzak, jako stara niedźwiedzica, wyschła już beznadziejnie.

Pod wieczór ósmego dnia Niua legł wraz z matką u podnóża pagórka porośłego murawą, by zdrzemnąć się nieco po solidnej uczcie. Nuzak była pod wszelkimi względami najszczęśliwsza z niedźwiedzic. Sprawy żywności nie trapiły jej już wcale. Po łachach roiło się wciąż od ryb, a żaden intruz nie próbował naruszać jej spizarni. Widziała przed sobą nieprzerwane pasmo powodzeń aż do dnia, gdy letnie ulewy podniosą poziom wód albo gdy jagody przejrzeją. Niua, beztroski mały smakosz, radował się wraz z nią.

Tegoż dnia o zachodzie słońca jakiś człowiek, stojąc na czworakach, oglądał wilgotną, piaszczystą wydnię położoną o pięć lub sześć mil poniżej łąchy. Rękawy miał zawinięte powyżej łokcia, ukazując dwoje brązowych ramion; nie nosił kapelusza, więc powiew wieczorny wicherzył mu jasną czuprynę, którą raz do roku podcinał myśliwskim nożem. Tuż obok owego mężczyzny stało z

jednej strony wiadro blaszane, a z drugiej, przyglądając mu się ciekawie, siedział ogromnie towarzyski i niesłychanie pospolity szczeniak urodzony z psa mackenzie i sukki pół airdala, pół szpica. To niefortunne połączenie pozbawiło go wszelkiej rasy. Jego ogon wyciągnięty na piasku był długi, cienki i porośły krótkim włosem; łapy robiły wrażenie opiętych w rękawice bokerskie; łeb zdawał się trzykrotnie za duży w stosunku do ciała, a przypadek, pomagając naturze w kształtowaniu tego arcydzieła, urwał mu połowę jednego ucha. Podczas gdy przyglądał się swemu panu, okaleczony kawałek stał zupełnie sztywno, całe ucho natomiast skłoniło się ku przodowi pełne głębokiego zainteresowania. Głowa, łapy i ogon były spuścizną po wielkim mackenzie; uszy zaś i chude, kościste ciało należały bezsprzecznie do airdala lub szpica. W obecnym niewdzięcznym stadium rozwoju był to najbardziej typowy kundel pod słońcem.

Gdy po dłuższej chwili milczenia pan wreszcie przemówił, Miki jął zawzięcie merdać ogonem, w zupełności oceniając fakt, że słowa człowieka zwrócone są wyłącznie do niego.

— To jest matka z małym, Miki! — rzekł mężczyzna. — I jeśli mam trochę pojęcia o tropach niedźwiedzi, była tu dziś jeszcze!

Wstał, zauważył mrok gęstniejący u skraju zarośli i napełnił wiadro wodą. Ostatni błysk słońca oświetlił na chwilę jego twarz. Była to twarz uczciwa i energiczna, pełna radości życia. Obecnie promieniała szczęściem, a w oczach lśniły wesole iskry, gdy mówił:

— Miki, stary kundlu, wiozę cię do mojej dziewczynki! Jesteś taki nieszlifowany diament, w gruncie rzeczy strasznie poczciwy i ładny, toteż wiem, że cię pokocha. To moja siostra, wiesz? Ach, żebym jeszcze mógł wziąć z sobą tego niedźwiadka!

Gwizdnął i niosąc wiadro z wodą, ruszył w stronę niewielkiej kępy drzew, położonej o sto jardów dalej. Miki deptał mu po piętach.

Challoner, jeden z nowych agentów Wielkiej Kompanii Zatoki Hudsona, rozbił obóz nad rzeką opodal łąchy. Cały jego dobytek składał się ze zniszczonego namiotu, jeszcze bardziej zniszczonego czółna oraz szczupłej ilości zapasów. Doświadczone oko leśnego bywalca wyczytałoby tu niejedną ciekawą rzecz. Był to ekwipunek człowieka, który nieustraszenie zwiedzał najdziksze zakątki świata. Do przedmiotów, które niemal cały rok towarzyszyły mu w jego wędrówkach, Challoner przywiązał się prawie jak do ludzi. Łódź była pogięta, wytarta i brudna; dym i ulewy szargały namiot, aż stał się koloru rdzy, a wór z żywnością zawierał już tylko resztki prowiantu. Ponad niewielkim ogniskiem wisiały dwa garnki, a tuż obok żaru stała krzywa i łatana patelnia, na której rumienił się bannok sporządzony z wody i mąki. W jednym garnku wrzała kawa, w drugim gotowała się ryba.

Miki przysiadł na kanciastym pośladku tak chytrze, by woń ryby biła mu wprost w nozdrza. Odkrył niegdyś, że obok jedzenia wacchanie dobrych rzeczy stanowi największą przyjemność. I gdy śledził ruchy Challonera przygotowującego posiłek, oczy lśniły mu jak żuźle i co chwila oblizywał się nerwowo, chciwie przetykając ślinę. Imię swe zawdzięczał właśnie wrodzonej żarłoczności. Był stale głodny i zdawał się mieć wiecznie pusty brzuch, choćby nie wiem ile jadł. Stąd jego nazwa „Miki”, co po indiańsku znaczy „Bęben”.

Gdy zjedli rybę i bannok, Challoner zapalił fajkę i wyjawiał swoje zamysły.

— Jutro ruszę za tym niedźwiedziem — rzekł.

Miki, zwinięty w kłębek opodal gasnących głowni, machnął energicznie ogonem na znak, że słucha.

— Niedźwiadek będzie do pary z tobą i dziewczynka zwariuje z radości!

Miki jeszcze mocniej uderzył o ziemię ogonem. — Doskonale! — zdawał się mówić.

— Bo pomyśl tylko — ciągnął Challoner patrząc ponad głową psa, a wędrując myślą o tysiące mil. — Po czternastu miesiącach wracam nareszcie do domu. Ciebie i niedźwiadka przeznaczam jako

upominek dla siostry. Rad jesteś, prawda? Nie widziałeś jej zresztą nigdy, stary kundlu, bo inaczej nie gapiłbyś się na mnie jak wypchana kukła. Twój głupi łebek nie może sobie nawet wyobrazić, co to za ślicznotka!... Oglądałeś dzisiejszy zachód słońca? Tak! Otóż ona jest jeszcze ładniejsza. Czy masz mi co do powiedzenia, Miki? Bo jeśli nie, to zmówmy pacierz i chodźmy spać!...

Challoner wstał i przeciągnął się. Trzasnęły stawy. Fala życia kipiała w nim radośnie.

A Miki, który aż do tej chwili niezmiernie poruszał ogonem, wstał również i w ślad za panem wszedł do namiotu.

Był szary, wczesny świt wiosennego poranka, gdy Challoner ukazał się znów i naniecił ogień. Miki wylazł z namiotu w chwilę później, a jego pan opasał mu szyję rzemieniem, po czym przywiązał go do drzewa. Potem wziął pusty worek, zawierający dawniej żywność, i za pomocą sznura umocował go sobie na ramionach jak plecak. Zaledwie błysnął pierwszy promień słońca, gotów już był wyruszyć śladem Niuy i jego matki. Miki, widząc, że pan go opuszcza, wydał melancholijny skowyt, a gdy Challoner obejrzał się, szczeniak skakał i wił się na końcu smyczy jak rozklekotany pajac. Myśliwy pozostawił już obóz o ćwierć mili za sobą, a jeszcze słyszał rozpaczliwy lament psa,

Challoner ruszał na polowanie bynajmniej nie dla przyjemności ani też dlatego wyłącznie, by zdobyć niedźwiadka. Potrzebował mięsa, a pieczeń niedźwiedzia jest wiosną znakomita; przede wszystkim zaś chodziło mu o zapas tłuszczu. Wiedział, że jeśli ubije tę niedźwiedzicę, starczy mu żywności do końca drogi.

Dochodziła ósma, gdy znalazł pierwsze, bez wątpienia świeże ślady Niuy i Nuzak. Było to w miejscu, gdzie przed czterema dniami Nuzak łapała ryby i gdzie wróciła wczoraj z małym, by zjeść „dojrzałą” zdobycz. Challoner promieniał. Nie wątpił, że znajdzie zwierzęta nad wodą i to gdzieś w pobliżu. Wiatr mu sprzyjał, więc ostrożnie sunął naprzód, trzymając broń w pogotowiu. Szedł tak godzinę, powoli, lecz bez przerwy, łowiąc uchem każdy chrzęst lub dźwięk i unosząc niekiedy ku górze zwilżony palec, by się upewnić, że wiatr nie zmienił kierunku. Zresztą spryt człowieka i zręczność grały tu małą rolę; okoliczności pomagały mu znakomicie.

W kotlinie, gdzie rzeka dzieliła się na tuzin mniejszych strug, a woda bulgotała wśród piaszczystych wydmy i żwirowych mielizn, Niua i Nuzak węszyli leniwie, poszukując raków mających stanowić ich śniadanie. Zdaniem Niuy świat nigdy jeszcze nie był tak piękny. Słońce puszyło mu na grzbiecie miękkie futerko. Lubił nurzać stopy w wilgotnym piasku i słyszeć śpiewny szum wody omywającej mu łapki. Lubił wszystkie otaczające dźwięki: oddech wiatru, szept rozchwianych gałęzi, plusk fali, nawoływanie skalnych królików, świergot ptaków, a ponad wszystko niski, mrukliwy głos matki.

Nuzak pierwsza wyczuła grożące im niebezpieczeństwo. Nagły skręt wiatru przyniósł jej woń człowieka. Skamieniała. Nosila wciąż jeszcze na łopatkach ślad głębokiej rany otrzymanej parę lat temu; wtedy właśnie wraz z ostrym bólem przeniknął jej świadomość zapach dwunogiej istoty, jedynej, przed którą czuła lęk. W ciągu trzech lat ani razu nie zwęszyła ludzkiej obecności i zapomniała już niemal o istnieniu tego wroga. Teraz powiew wiatru rzucił jej w nozdrza straszną woń z tak bliska, że na razie straciła możliwość ruchu.

W tej chwili Niua również odgadł bliskość niebezpieczeństwa. O sto metrów od Challonera stał bez ruchu, jak czarna plama na tle białej wydmy; wlepił oczy w matkę, a wrażliwym noskiem starał się wyczuć grozę wiszącą w powietrzu. Wtem zaszło coś, czego nie słyszał nigdy przedtem. Ozwał się ostry huk, tak głośny jak trzask pioruna, choć zupełnie inny. Nuzak zachwiała się nagle, a potem padła jak kłoc. Porwała się zresztą już w następnej chwili, niezwykłym pomrukiem nagłąc Niue do ucieczki.

Jak to się zwykle dzieje z samką, w której są rozwinięte macierzyńskie uczucia, pierwsza myśl

Nuzak była teraz poświęcona dziecku. Wyciągnawszy łapę trąciła nią silnie niedźwiadka i Niua ruszył cwałem w kierunku najbliższych zarośli. Nuzak rwała za nim. Huknął drugi strzał i kula świsnęła tuż nad jej głową. Ale Nuzak nie zdwoiła pędu. Trzymała się wciąż z tyłu, osłaniając dziecko własnym ciałem, choć okropny ból, niby od rozpalonego żelaza, darł ją między zębami. Gdy dotarli do skraju zarośli, trzeci pocisk Challonera przeorał ziemię pod stopami niedźwiedzi.

Jeszcze chwila i zniknęli za osłoną drzew i krzewów. Instynkt kierował kroki Niuy w stronę największej gęstwy, a tuż za nim Nuzak resztką gasnących sił nagliła go do pośpiechu. W starym mózgu gęstniał mrok zaciemniając oczy; wiedziała już, że oto nadchodzi kres jej wędrówek. Mając za sobą dwadzieścia lat życia pragnęła teraz przedłużyć je choć o parę chwil. Zatrzymała niedźwiadka u stóp gęstego cedru — i jak to już czyniła niejednokrotnie — kazała mu leżeć w górę. Jej ciepły język w ostatniej pieszczocie musnął małą mordkę. Potem zawróciła w kierunku wroga, by wydać ostatni w życiu bój.

Powlokła się naprzeciw Challonera; o piętnaście stóp od drzewa, na którym siedział Niua, stanęła ze zwieszonym łbem, oczekując napastnika. Boki jej unosiły się i opadały gwałtownie, oczy mętniały coraz bardziej, aż z wielkim westchnieniem runęła na mech, przegradzając człowiekowi drogę. Może jeszcze przez chwilę oglądała złote księżycy i płomienne słońca minionych dwudziestu lat, może delikatna, słodka gędzba wiosny grała jej znowu starą pieśń życia, dając bezbolesny skon w zamian za tylokrotne nienaganne macierzyństwo.

Gdy Challoner stanął nad nią, była już martwa. Z kryjówki w rozwidleniu konarów Niua spoglądał w dół na pierwszy wielki dramat swego życia i na zbliżającego się człowieka. Widok dwunogiego potwora przeraził go tak, że jeszcze silniej przytulił się do drzewa, a małe serduszko kołatało w nim jak szalone. Nie zastanawiał się wcale. Instynkt mówił mu, że zaszło coś strasznego i że przyczyną tragedii jest ów dwunogi zwierz. Dziwił się, dlaczego Nuzak nie rusza do walki z nowym wrogiem. Pomimo ogromnego przerażenia gotów był ukazać zęby, byle matka zechciała się zbudzić; gotów był zleźć z drzewa i pomóc jej tak, jak pomagał w czasie bitwy ze starym samotnikiem. Ale kiedy Challoner pochylał się nad niedźwiedzicą, nie drgnął ani jeden mięsień jej wielkiego cielska. Była sztywna jak gład.

Twarz Challonera płonęła radością. Konieczność uczyniła zeń zabójcę. Widział przed sobą wspaniałe futro i zapas mięsa wystarczający na całą drogę. Oparł karabin o drzewo i jął się rozglądać szukając niedźwiadka. Doświadczenie mówiło mu, że ten jest gdzieś w pobliżu, więc począł szperać w otaczających zaroślach i wpatrywać się w korony chojarów. Wtulony w rozwidlenie gałęzi, okryty zasłoną igliwia, Niua kurczył się, jak mógł, by go nie znaleźli. Po upływie pół godziny Challoner, zniechęcony, zrezygnował z dalszych poszukiwań i poszedł w kierunku strumienia, by wypić łyk wody; po powrocie miał zamiar zdjąć skórę z niedźwiedzi.

Zaledwie oddalił się trochę, już Niua uniósł mały łebek nad osłonę gałęzi. Chwilę patrzył w krąg badawczo, a potem tyłem jak rak zsunął się w dół pnia na ziemię. Skrzeknął żałośnie, ale matka ani drgnęła. Zbliżył się więc do niej i stanął tuż obok nieruchomego łba, chłonąc powietrze przesycone ludzką wonią. Potem polizał pysk Nuzak, wsunął nosek pod jej szyję i wreszcie targnął ją za ucho, co stanowiło zazwyczaj niezawodny środek, aby ją zbudzić ze snu. Był bardzo zdziwiony. Pisał cichutko, wgramolił się na wielki, puszysty grzbiet matki i usiadł na nim. W jego skomlaniu ozwała się dziwna nuta, z gardła wydarł się mu bolesny lament, jak płacz małego dziecka.

Challoner wracając usłyszał ten głos i serce mu się ścisnęło. Nie mógł znieść płaczu dzieci; a to było również dziecko sierota. Ukryty za karłowatą sosną spojrzął na martwą niedźwiedzicę i zobaczył Niue na grzbiecie matki. W swoim czasie zabijał niejednokrotnie, gdyż polowanie i handel futrami, które zdobywali inni, były jego fachem. Ale dotychczas nie widział jeszcze nic podobnego i

poczuł się nagle tak winny, jakby popełnił mord.

— Strasznie mi przykro, mój ty biedaku! — szepnął. — Strasznie przykro...

Brzmiało to niemal jak prośba o przebaczenie. Zresztą Challoner miał teraz tylko jedno wyjście. Tak cicho, że niedźwiadek nie złowił najmniejszego szmeru, zatoczył półkole, zbliżając się od strony wiatru. Znalazł się o parę metrów od Niuy, zanim ten wyczuł niebezpieczeństwo. Wtedy było już za późno. Challoner błyskawicznie skoczył naprzód i nim Niua zdołał umknąć — narzucił nań worek.

Nigdy nie przeżył Challoner bardziej ruchliwych pięciu minut. Ponad strachem i rozpaczą górowały w niedźwiadku dzika zaciekłość i chęć walki. Drapał, gryzł, wierzgał i warczał, jak gdyby pięć demonów zasiadło w jednej skórze! Nim Challoner zdołał umieścić Niue w worku i związać mu rzemień pod szyją, całe ręce miał poszarpane. Niua, choć uwięziony, ryczał i miotał się nadal do zupełnego wyczerpania; tymczasem Challoner zdjął skórę z Nuzak i wyciął potrzebne kawały mięsa oraz tłuszczu. Oczy mu lśniły, gdy oceniał piękno niedźwiedziego futra. Zawinał w nie mięso i sadło, owiązał wszystko rzemieniem i umocował na własnych plecach. Całość ważyła dobre sześćdziesiąt funtów. Teraz myśliwy wziął w jedną dłoń karabin, a w drugą worek z niedźwiadkiem. Ruszył w drogę zaraz po dwunastej. W obozie stanął niemal o zachodzie słońca. W ciągu całej podróży, nie wyłączając ostatniej pół mili, Niua walczył jak Spartanin. Teraz leżał w worku rozbity i półżywy, a gdy Miki przyszedł go obwąchać, nie zaprotestował nawet. Wszelkie zapachy były mu teraz obojętne i nie rozróżniał wcale poszczególnych dźwięków. Challoner gonił resztką sił. Bolała go każda kość i każdy mięsień. Ale na jego spoconej i umazanej twarzy igrał radosny uśmiech.

— Ty dzielny, mały diabliku! — rzekł, obserwując nieruchomy worek i po raz pierwszy od południa nabijając fajkę. — Ty dzielny bębnie!

Opasał szyję Niuy nowym rzemieniem, uwiązał go do drzewa i ostrożnie otworzył worek. Wytrząsnął swego jeńca na ziemię i cofnął się. Jeśli szło o człowieka, Niua gotów był zawrzeć krótki rozejm. Ale gdy wyleciał z worka, jego półoślepie oczy nie ujrzały na razie Challonera. Natomiast zobaczył Mikięgo.

Szczeniak cały drżący, podniecony i pełen ciekawości był prawie obok i już, już chciał niedźwiadka powąchać. Małe ślepki Niuy błysnęły. Czy ten niezdarny, koślawy towarzysz człowieka jest również wrogiem? Czy jego dziwaczne ruchy i gwałtowne wywijanie ogonem są wezwaniem do walki? Osądził, że tak! Bądź co bądź tym razem przeciwnik bardziej odpowiadał mu wzrostem, więc naprężając rzemień, Niua błyskawicznie skoczył na szczeniaka. Miki, przed chwilą jeszcze radosny i pełen dobrych zamiarów, w oka mgnieniu znalazł się na grzbiecie, przebierając w powietrzu śmiesznymi łapami i rozpaczliwie wzywając ratunku tak przeraźliwym wrzaskiem, że złota cisza wieczorna zadrgała wnet nieopisanym lamentem.

Challoner oniemiał. W następnej już chwili zresztą gotów był rozdzielić małych zapaśników, ale zaszło coś, co uczyniło jego wystąpienie zbędnym. Niua, stojąc nad Mikim, którego wszystkie cztery łapy uniesione ku górze zdawały się głosić bezwzględną kapitulację, zwolna wyciągnął zębki ze skóry szczeniaka. Dostrzegł znów człowieka. Instynkt doradzał mu pozostać chwilę bez ruchu; nie spuszczał krągłych ślepek z dwunogiej postaci. Miki machnął łapami w powietrzu, zaskomlił cicho, bił twardym ogonem o ziemię i nerwowo oblizując wargi, zdawał się upewniać niedźwiadka, że nie ma bynajmniej zamiaru go krzywdzić. Niua, wpatrzony w Challonera, sapnął wyzywająco. Powoli zlązł ze szczeniaka. A Miki, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch, wciąż jeszcze leżał na grzbiecie z łapami w powietrzu.

Challoner cofnął się do namiotu i wyjrzał przez szparę. Niua przestał sapać. Spojrzał na szczeniaka. Może w jakimś zakątku mózgu dziedziczny instynkt mówił mu, jak wiele stracił, nie mając braci ni siostr. A Miki wyczuł snadź zmianę zaszłą w małym futrzanym potworku, który przed

chwilą jeszcze był jego ciemną. Żywo zamerdał ogonem i wysunął przednie łapy w stronę Niuy. Potem, trochę przerażony tym, co się może zdarzyć, przewrócił się na bok. Niua ani drgnął. Miki zaczął się wiercić radośnie.

W chwilę później, patrząc wciąż przez szparę namiotu, Challoner zobaczył, jak Miki i Niua bardzo ostrożnie obwąchują sobie wzajem noski.

W NIEWOLI

Tej nocy z północnego wschodu nadeszła zimna plucha. O wilgotnym ranku, gdy Challoner wyszedł z namiotu, chcąc naniecić ogień, w jamie pod korzeniami sosny znalazł szczeniaka i niedźwiadka skulonych obok siebie i smacznie śpiących.

Niua pierwszy dostrzegł człowieka. Przez chwilę, nim jeszcze Miki się zbudził, błyszczące ślepia niedźwiadka szły w ślad za dwunogim potworem, który wniósł w jego życie tak wielki przewrót. Znużenie sprawiło, że spał długo i mocno, a śpiąc zapomniał o wielu rzeczach. Teraz wróciły wspomnienia, więc wtulił się głębiej w swą kryjówkę i pisał z tęsknoty za matką, tak cicho jednak, że tylko Miki go usłyszał. Pisk zbudził szczeniaka. Zwolna rozwinął ciało skrócone w kłębek, przeciągnął zbyt długie łapy i ziewnął tak głośno, że Challoner postłyszał. Mężczyzna odwrócił się i zobaczył dwie pary oczu, które spod korzeni sosny śledziły go badawczo. Oba uszy szczeniaka, zarówno całe, jak i to, z którego został jedynie szczątek, były chwacko nastroszone, gdy witał swego pana z nieokiełznaną radością przyjaźni. Twarz Challonera, mokra od deszczu, spalona wichrem i mrozem po czternastomiesięcznym pobycie w północnej krainie, rozjaśniła się w odpowiedzi wesołym uśmiechem; a Miki zadygotał cały, trzepocąc się i wykręcając dziwacznie, szczęśliwy, że pan przeznaczył wyłącznie dla niego cenny uśmiech.

Niua cofnął się w głąb kryjówki tak daleko, jak tylko mógł, aż wreszcie tylko jego okrągły łebek wystawał na zewnątrz: z tej chwilowo bezpiecznej warowni lśnącymi ślepkami spoglądał na mordercę matki. Wczorajszy dramat wyraźnie powstał mu przed oczyma. Widział ciepłą, pełną słońca łąką, na której wraz z Nuzak polował na raki, nim zjawił się dwunogi zwierz; słyszał grzmot wystrzału; oglądał ucieczkę swoją i matki w głąb gęstwiny; przeżywał ponownie tę chwilę, gdy Nuzak zwróciła się w stronę wroga, by mu stawić czoło. Jednakże tego ranka wspomnienie śmierci matki nie ośwładnęło nim całkowicie. Najsilniejsza była pamięć strasznej walki z człowiekiem oraz próżne wysiłki czynione celem wydostania się z ciasnego worka. Challoner badał właśnie ślady pazurów i zębów, które miał na rękach. Potem zbliżył się nieco i uśmiechnął do Niuy równie przyjaźnie, jak przed chwilą uśmiechnął się do koślawego szczeniaka.

Ślepki Niuy błysnęły mocniej.

— Powiedziałem ci już wczoraj, mały, że bardzo mi przykro! — rzekł Challoner, jak gdyby mówił do człowieka.

Pod wieloma względami Challoner był oryginałem, typem rzadko spotykanym na dalekiej Północy. Wierzył na przykład, że zwierzęta mają swoją własną, odrębną psychikę, i ku swemu zadowoleniu przekonał się, że zwierzę traktowane jak człowiek rozwija w sobie często inteligencję, którą on nazywał po prostu — rozumem.

— Mówiłem ci, że mi przykro! — powtórzył, kucnąwszy o pół metra od jamy, z której lśniły ku

niemu oczki Niuy. --- I tak jest! Przykro mi, że zabiłem twoją mamę... Ale potrzebowaliśmy mięsa i tłuszczu. Poza tym Miki i ja zaopiekujemy się tobą. Zabierzemy cię do mojej dziewczynki, a jeżeli jej nie pokochasz, toś najędzniejszy brzdąc na świecie i w ogóle nie zasługujesz na to, by mieć matkę. Ty i Miki będziecie braćmi. Jego mama również umarła, ale z głodu, co jest o wiele gorsze niż skonać od kuli. I znalazłem Mikiego akurat jak ciebie, tuż obok niej; płakał tak mocno, jakby mu już nic nie pozostało na ziemi. Więc pociesz się i podaj nam łapę. Chcę uścisnąć twoją szlachetną dłoń.

Challoner wyciągnął ręką.

Niua tkwił bez ruchu jak kamień. Przed chwilą jeszcze byłby warknął i wyszczerzył kły. Teraz ani drgnął. Istota, którą miał przed sobą, była najdziwniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek oglądał. Wczoraj nie skrzywdziła go wcale, jedynie wsunęła do worka. Teraz także nie czyniła zła. Poza tym jej mowa nie zawierała przykrych ani groźnych dźwięków. Kątem oka popatrzył na szczeniaka. Miki bez ceremonii wtulił się między kolana Challonera i spoglądał na niedźwiadka zdumionym pytającym wzrokiem, jak gdyby mówiąc:

— Dlaczego nie wyleziesz wreszcie z tej jamy i nie poprosisz o śniadanie?

Challoner przysunął rękę bliżej i Niua wtoczył się w głąb jamy, przywierając jak najszczelniej do jej ścian. Stał się cud. Dłoń człowieka musnęła łeb niedźwiadka. Niua uczył przenikliwy, dziwny dreszcz. Ale nie doznał najmniejszego bólu. Gdyby mógł poruszyć się choć trochę, byłby gryzł i darł. Pozycja w głębi jamy nie pozwalała jednak na wykonanie najmniejszego ruchu.

Myśliwy zwolna wymacał palcami luźną fałdę skóry na karku niedźwiadka. Miki przeczuwając, że stanie się coś ważnego, śledził ruchy pana dwojgiem wyłupiastych oczu. Nagle palce Challonera zwarły się mocno i już w następnej chwili wydobył Niue z kryjówki, trzymając go w powietrzu wyciągniętym ramieniem. Niua wierzgał, miotał się i ryczał strasznie, a Miki ze szczerzej sympatii pochwycił nutę, więc razem czynili ogłuszający hałas. W minutę później człowiek wsunął znów niedźwiadka do worka w ten sposób, że tylko łeb wystawał na zewnątrz, i rzemieniem zacisnął mu płótno wokół szyi.

Gdy niedźwiadek na znak protestu tarzał się po ziemi i wrzeszczał wniebogłosy, Challoner zajął się śniadaniem. Po raz pierwszy w życiu Miki uznał, że są na świecie rzeczy ciekawsze niż przygotowania do posiłku, toteż skakał wkoło uwięzionego Niuy, próżno usiłując mu dopomóc. Wreszcie Niua uspokoił się, a Miki siadł tuż przy nim i wlepił w swego pana badawcze, a może nawet niezadowolone spojrzenie.

Szare niebo przetarło się nieco, łudząc obietnicą słońca, gdy Challoner był gotów do podjęcia dalszej wędrówki na południe. Umieścił w czółnie rzeczy, pozostawiając szczeniaka i niedźwiadka na ostatek. Na dziobie ułożył futro Nuzak, tworząc coś w rodzaju miękkiego gniazda. Zawołał Mikiego, opasał mu kark końcem krótkiego rzemienia, a drugi koniec owiązał wokół szyi Niuy. Potem uwolnił niedźwiadka z powijaków, wziął oba zwierzęta za skórę na karkach, zaniósł je do czółna i umieścił w gnieździe uczynionym z futra Nuzak.

— Teraz, chłopcy, zachowujcie się grzecznie — przestrzegął. — Zrobimy dziś czterdzieści mil drogi, by nadrobić czas stracony wczoraj.

W chwili, gdy czółno odbiło od brzegu, na wschodniej połaci nieba błysnął promień słońca.

GROZA ŚMIERCI

W ciągu pierwszych paru chwil, gdy czółno mknęło szybko po wodnej roztoczy, w małym niedźwiadku zaszła niezwykła zmiana. Challoner nie dostrzegł nic, a i Miki nie zdawał sobie z tego sprawy. W ciele Niuy dygotał każdy nerw, a serce kołatało w nim tak mocno, jak owego dnia, gdy pomógł matce zwyciężyć starego Makusa. Zdawało mu się, że powraca doń teraz wszystko, co utracił, i że znowu będzie mu dobrze, gdyż czuł bliskość Nuzak. Później spostrzegł, że mocna i świeża woń bije z czarnego futra, które ma pod sobą, więc wtulił się w tę skórę, legł na brzuszku i patrzył w twarz Challonera dwojgiem błyszczących ślepek.

Trudno mu było zrozumieć to wszystko. Człowiek, siedzący przed nim, gnał łódź po wodzie uderzeniami wiosła, a pod sobą czuł matkę ciepłą i miękką, lecz zupełnie nieruchomą. Nie mógł się powstrzymać, by nie zaskomlić, cicho ją przywołując. Ale odpowiedź nie nadeszła, tylko Miki pisnął współczująco. Nuzak ani drgnęła. Nie wydała najmniejszego dźwięku. I wciąż widział jedynie jej czarne futro pozbawione głowy oraz wielkich łap, które tak lubił łaskotać, pozbawione uszu, które tak lubił targać. Nie pozostało z niej nic, prócz ciemnej skóry i woni. Mimo to jego zalęknione serce doznało ogromnej ulgi. Czuł przyjazną bliskość niezwyciężonej potęgi i podczas gdy pierwsze promienie słońca grzały mu kark, wsunął brunatny nosek między łapki i w głąb futra Nuzak.

Miki, jak gdyby próżno starając się odgadnąć tajemnicę nowego towarzysza, śledził go uważnie, złożwszy pysk na przednich łapach. W jego zabawnym łębku, przystrojonym parą nierównych uszu i upiękaszonym ponadto zjeżonymi faworytami — spuścizną po przodkach airdalach — odbywał się skomplikowany proces myślenia. Od początku przyjął Niue przyjaźnie i po koleżeńsku, w zamian za co oberwał porządne lanie. To zresztą mógł Miki jeszcze przebaczyć i zapomnieć. Nie umiał jednak darować nowemu przybyszowi, że tak zupełnie nie zwraca na niego uwagi. Jego wesołe zabiegi nie odnosiły najmniejszego skutku. Gdy skacząc i przysiadając wokół niedźwiadka, proponował gonitwę lub zapasy — Niua gapił się nań, milcząc jak idiota. Miki gotów był przypuścić, że niedźwiadek nie uznaje żadnych zabaw, tylko prawdziwą walkę. Minęło też sporo czasu, nim zdecydował się wreszcie ponowić próbę.

Dochodziło już południe. Od chwili rozpoczęcia podróży Niua ledwo się poruszył i Miki był śmiertelnie znudzony. Przygnębienie wywołane nocną pluchą dawno już minęło, a ponad głową lśnił teraz niczym nie zmacony błękit. Łódź Challonera przed godziną już opuściła martwe wody i mknęła teraz z bystrym prądem rzeki, która torowała sobie drogę w dół południowych stoków pomiędzy Jackson's Knee a Shamattawą. Rzeka ta, sycona wodą położonego wyżej jeziora, była Challonerowi zupełnie obca, toteż śledził uważnie jej bieg, obawiając się zdradzieckich wodospadów i porohów. W ciągu ostatniej pół godziny prąd stawał się coraz bystrzejszy i Challoner zrozumiał, że wkrótce trzeba będzie przeprować czółno łądem. Jakoż usłyszał wnet przed sobą głuchy a bezustanny łoskot, wskazujący, iż zbliża się niebezpieczna strefa. Gdy wyleciał poza ostry zakręt, trzymając łódź tuż niemal u brzegu, dojrzał raptem w oddaleniu zaledwie paruset metrów wystające ponad wodę skały i wir spieniony wkoło nich.

Błyskawicznie ocenił sytuację. Z jednej strony rzeki brzeg wznosił się niemal prostopadle; z drugiej był płaski, pokryty gęstym borem. Zrozumiał, że należy lądować po lesistej stronie, czyli na przeciwległym, znacznie oddalonym brzegu. Zwracając łódź pod kątem 45 stopni, włożył całą siłę ramion w rzuty wiosła. Miał zaledwie tyle czasu, by osiągnąć brzeg, nim prąd stanie się groźny. Ponad wrzący łoskot porohów przebijał już ryk położonego niżej wodospadu.

Miki wybrał właśnie ten niefortunny moment dla rozpoczęcia przyjaznych kroków względem Niuy. Z uprzejmym skowytem machnął łapą. Ale łapa Miki, jak na szczeniaka, była potwornie wielka i koścista, toteż gdy trafiła w sam nos niedźwiadka, zadała mu wprost boksinowski cios. Stało się to zupełnie nieoczekiwanie; na domiar złego Miki machnął drugą łapą, jak maczugą, trafiając niedźwiadka w oko. Tego było za wiele nawet ze strony druha; Niua z nagłym pomrukiem wyskoczył z gniazda i wpadł na szczeniaka.

Miki, chociaż postąpił nieszczemnie, prosząc o łaskę w czasie pierwszej walki — pochodził sam z rodu zabijaków. Jeśli się zmiesza krew mackenzie, który jest największym i najsilniejszym psem Północy, z krwią airdala lub szpica, rezultat nie może być zły. Kiedy mackenzie, mocny jak byk, jest równocześnie poczciwy i łagodny, to w ponocnym szpicu czy airdalu siedzi demon, a nie wiadomo która z tych ras bardziej kocha bójkę. W dobrym, małym Miki ozwał się raptem diabeł. Tym razem nie poprosił o łaskę; on również pokazał kły i w jednej chwili na chwiejnym dziobie czółna rozpetął się zaciekły pojedynek.

Próżno Challoner wołał i klął, walcząc jednocześnie z bystrym prądem rzeki. Niua i Miki byli zbyt podnieceni, by słyszeć głos pana. Łapy szczeniaka znów godziły w niebo, lecz obecnie ostre jego zęby ścisnęły mocno fałdy skóry pod gardłem Niuy, a wojował tak zajadle, że zwycięstwo przechyliłoby się bez wątpienia na jego stronę, gdyby nie zaszło to, co przewidywał Challoner. Szczeniak i niedźwiadek, szczepieni z sobą, stoczyli się przez burtę w skłębiony, rwący nurt. Na razie znikli zupełnie. Potem wychynęli nad wodą, o dobrych dwadzieścia metrów poniżej czółna, głowa przy głowie mknąc w kierunku porohów. Challoner krzyknął rozpaczliwie. Nie mógł ich ratować i czuł prawdziwy żal. W ciągu wielu tygodni Miki był mu jedynym kolegą i przyjacielem.

Złączeni razem półmetrową linką, Miki i Niua wpadli w skłębiony wir porohów. Opatrzność czuwała nad szczeniakiem, gdy Challoner uwiązywał go do niedźwiadka. Trzymiesięczny Miki ważył czternaście funtów, przy czym osiemdziesiąt procent przypadało na kości, a zaledwie pół procentu na tłuszcz; tymczasem Niua, ważąc trzynaście funtów, miał w sobie niemal dziewięćdziesiąt procent sadła. Miki zatem z trudem tylko mógłby się utrzymać na powierzchni, Niua zaś pływał jak korek i po prostu nie mógł pójść na dno. Żaden z nich nie poddał się losowi z rezygnacją. Obaj byli potomkami dzielnych ras i choć Miki znajdował się przeważnie pod wodą, ani przez chwilą nie przestał jednak walczyć o to, by wysunąć nos na powierzchnię. Czasem płynął na brzuchu, czasem na grzbiecie, ale bez względu na zajmowaną pozycję pracował łapami jak wiosłem. Częściowo pomagał w ten sposób towarzyszowi. Gdyby niedźwiadek był sam, jego dziesięć czy jedenaście funtów sadła uniosłoby go w dół rzeki, jak okrytą futrem piłkę; ale wobec przywiązanego do szyi czternastofuntowego balastu problem utrzymania się na wodzie nie należał do rzeczy zbyt łatwych. Parokrotnie nawet zanurzył się zupełnie, gdy jakiś głębszy wir, porywając szczeniaka, i jego pociągał na dno. Niua wypływał jednak zawsze na powierzchnię, pracując całą siłą tłustych łapek dla zachowania miłego życia.

Tak dotarli do wodospadu. Tymczasem Miki przyzwyczał się już do podwodnej wędrówki i mniej boleśnie odczuwał okropności nowego kataklizmu. Przestał niemal przebierać łapami. W uszach brzmiał mu wciąż jeszcze grzmot i łoskot, ale wszystko to nie było tak przykre jak z początku. Prawdę mówiąc, tonął. Niua nie zaznał słodczy nieświadomego konania. Gdy katastrofa

nadeszła, był najzupełniej przytomny. Łeb wystawał mu nad powierzchnią i wszystkie zmysły działały znakomicie. Rzeka umknęła spod niego raptownie i strzelił w dół wraz z lawiną wody, nie czując już u karku ciężaru szczeniaka.

Challoner mógłby niemal dokładnie określić, jaką głębokość posiada rzeka u stóp wodospadu. Gdyby Niua miał wydać o tym swą opinię, byłby przysiągł, że dno leży przynajmniej o milę od powierzchni. Miki znajdował się w stanie wykluczającym wszelką ocenę. Łapy zwiły mu bezwładnie i całkowicie poddał się swemu losowi. Ale Niua znowu wypłynął, a Miki uniósł się z dna wraz z nim. Lada chwila zresztą miał wydać ostatnie tchnienie, gdy prąd rzucił niedźwiadka na mknące z biegiem rzeki pnie zwalonych drzew.

Niua, gramoląc się z toni, szalonym wysiłkiem wyciągnął głowę szczeniaka ponad wodę, aż Miki zwiśł u pnia niby wisielec na końcu stryczka.

DWAJ ŻEGLARZE

Jest rzeczą dość wątpliwą, czy w ciągu następnych paru chwil w łebku Niuy odbył się jakikolwiek proces myślowy. Nieostrożnie byłoby twierdzić, że świadomie chciał uratować nieprzytomnego szczeniaka. Pragnął jedynie znaleźć się w miejscu suchym i bezpiecznym, aby zaś tego dopiąć, musiał mimo woli windować za sobą Mikiego. Wpijał więc ostre pazurki w pień drzewa i w miarę jak sunął coraz wyżej, Miki głową naprzód wynurzał się z chłodnego nurtu. Niua dotarł wreszcie do wielkiej kłody, wokół której kłębił się wir wodny, legł na brzuszku i uczeplił się kory z rozpaczliwą energią. Brzeg rzeki porastały w tym miejscu gęste chaszczce. Gdyby nie to, Challoner, idąc lądem, dostrzegłby małych rozbitków w ciągu najbliższych dziesięciu minut.

Tymczasem Miki nie odzyskał jeszcze na tyle przytomności, by wyczuć lub usłyszeć swego pana, gdy ten, wiedziony słabą nadzieją odnalezienia zguby, przeszukiwał brzeg. Niua zaś objął tylko pień jeszcze mocniej. Na całe życie miał dosyć widoku człowieka. Minęło dobre pół godziny, nim Miki począł oddychać, kaszleć, zrzucać wodę. Po raz pierwszy od chwili walki w czólnie Niua zainteresował się istnieniem szczeniaka. Po upływie nowych dziesięciu minut Miki uniósł łeb i spojrzał w krąg. Wtenczas Niua szarpnął linkę jak gdyby mówiąc, że należy działać, jeśli w ogóle mają zamiar dostać się na ląd. A Miki, wymokły i nieszczęsny, bardziej podobny do ogryzionego gnata niż do żywej istoty, na widok niedźwiadka usiłował machnąć mu ogonem. Wciąż jeszcze był częściowo pogrążony w wodzie i z tęsknym wejrzeniem w stronę suchej powierzchni, na której leżał Niua, jął pracować długimi łapami, by się tam również dostać. Pień był gruby i pozbawiony wilgoci; gdy Miki dotarł w jego pobliże, ponownie zabłysła mu nieszczęśliwa gwiazda. Począł się niezdarnie gramolić w górę, przebierając gorączkowo kościstymi łapami i wstrząsając pniem, by go oddzielić od reszty zatopionych drzew. Wir pochwycił koniec kłody i wolno zaczął ją wyciągać na środek rzeki. Potem niespodzianie szarpnął nią główny prąd, i to tak mocno, że Miki omal znowu nie wpadł do wody. Improwizowana łódź zatoczyła koło, wyrównała się i runęła szalonym pędem w dół rzeki.

Tymczasem Challoner omijał porohy, wodospad i zbyt szybki prąd poniżej. Uważał za bezsensowne ryzyko spuszczenie łodzi na wodę tam, gdzie obecnie żeglowali Niua i Miki, a wobec tego stracił parę godzin na przenoszenie swych rzeczy przez półmilową przestrzeń boru. Te pół mili właśnie stało się dla szczeniaka i niedźwiadka terenem nigdy nie zapomnianych przeżyć.

Przyglądali się sobie wzajem poprzez długość pnia. Niua leżał na brzuszku, wpijając ostre pazurki, jak haki, w korę i drzewo, a brunatne ślepki niemal zupełnie wylazły mu z orbit. Chyba tylko za pomocą dźwigni dałoby się go ruszyć z miejsca. Sprawa Mikięgo przedstawiała się o wiele gorzej. Nie posiadał dość ostrych pazurów, a i sztywne jego nogi nie mogły, tak jak chwytne łapy Niuy, objąć pnia silnym uściskiem. Jako tako utrzymywał więc równowagę, ślizgając się z boku na bok, w miarę jak pień chwiał się lub obracał na zmiennym prądzie, czasem leżąc w poprzek drzewa, czasem wzdłuż, a wciąż znajdując się w nader niepewnej sytuacji. Niua ani na mgnienie nie spuszczał zeń oczu. Gdyby to były świdry, wywierciłby nimi dziurki w ciele szczeniaka. Z ostrości tego spojrzenia można było wywnioskować, że niedźwiadek rozumie, iż jego bezpieczeństwo zależy nie tyle od mocy własnego chwytu, ile od żeglarskich zdolności Mikięgo. Jeśli Miki runie do wody i jego czeka tenże los.

Pień, w jednym końcu grubszy i cięższy niż w drugim, pędził naprzód niby olbrzymi pocisk. Niua był zwrócony tyłem do spienionego nurtu, Miki zaś, obrócony łebkiem ku biegowi rzeki, nie tracił nic z jej groźnego piękna. Raz po raz pień wlatywał w obręb piany i ginął w niej zupełnie; w takich chwilach Miki wstrzymywał oddech i zamykał oczy, a Niua wpijał pazurki jeszcze głębiej. Kiedyś drzewo otarło się niemal o skałę. Parę cali w bok — i nastąpiłaby ostateczna katastrofa. Nie przebyli jeszcze połowy drogi, a już i szczeniak, i niedźwiadek wyglądali jak dwa kłębki mydlin, w których dziko lśniły przerażone oczy.

Wkrótce ryk wodospadu zamarł w dali, zrzędy podwodne skały, wokół których prąd wrzał i budował wyjąć; trafiały się szerokie gładziny, gdzie pień płynął równo i bez wstrząsów, aż rozesała się w krąg spokojna i cicha toń wodna. Dopiero wtedy oba osnute pianą kłębki odważyły się wykonać jakiś ruch. Niua po raz pierwszy objął wzrokiem rozszalałą rzekę, która ich tu przyniosła; Miki, obrócony wciąż ku przodowi, zobaczył znowu milczące brzegi, gęsty las i wody przesycone słonecznym ciepłem. Wtedy głęboko wciągnął powietrze, a potem wyrzucił je z płuc w tak szczerym westchnieniu, że zdmuchnął sobie płyty piany z wąsów i nosa. Dopiero teraz ocenił niewygodę własnej pozycji. Jedną z tylnych łap miał skuloną pod brzuchem, a jedna z przednich była zgięta pod piersią. Cisza rzecznej toni i bliskość brzegu dodały mu odwagi, więc postanowił wyprostować członki. W porównaniu z Niua był doświadczonego podróżnikiem. Przeszło miesiąc żeglował wraz z Challonerem w jego czólnie i nie bał się wcale spokojnej wody. Uniósł się nieco i posłał w stronę niedźwiadka cichy skowyt.

Niua zaś, choć chowany był inaczej i dziś po raz pierwszy jeździł łódką, wiedział doskonale, czym jest pień drzewa. Sam przekonał się niejednokrotnie, że pień na wodzie udaje niemal żywą istotę i potrafi płać tak brzydkie figle, jakich nikt by się po nim nie spodziewał. Wychowanie szczeniaka w tym zakresie było niestety zupełnie niedostateczne. Ponieważ pień przewiózł ich cało i zdrowo przez najgorsze tarapaty, uważał go za pierwszorzędną łódkę, z tą tylko różnicą, że był u góry nieprzyjemnie zaokrąglony. Ale ten mały defekt nie martwił go zbyt. Ku niezmiernemu przerażeniu niedźwiadka Miki siadł i rozejrzał się wkoło. Instynktownie Niua objął silniej drzewo łapami, a Miki odczuł nieprzepartą chęć strząśnięcia z siebie piany, która okrywała go od stóp do głów. W czólnie otrząsał się niejednokrotnie; dlaczego nie miał tego uczynić tutaj? Nie zastanawiając się więc dłużej nad tą sprawą wprowadził zamiar w czyn.

Pień w jednej chwili zareagował na wstrząs, czyniąc gwałtownie pół obrotu. Nie zdoławszy

nawet jęknąć, Miki wyleciał w powietrze jak z procy, z głębokim i donośnym chlupnięciem runął do wody i raz jeszcze poszedł na dno jak kawałek ołowiu. Niua, chociaż zanurzony zupełnie, bohatersko nie rozluźnił chwytu i gdy pień wrócił do pierwotnej pozycji niedźwiadek, omyty z piany, tkwił wciąż na dawnym miejscu. Wzrokiem poszukał towarzysza; lecz Miki znikł. Nagle poczuł mocne szarpnięcie. Z konieczności, ponieważ rzemień ciągnął mu łeb w odpowiednim kierunku, spojrzął w wodę. Koniec rzemienia ginął w niej, lecz szczeniaka nie było wcale widać. Miki znajdował się zbyt głęboko, by Niua mógł go dojrzeć. Prąd, ogromnie słaby w tym miejscu, wcale szczeniaka nie unosił, toteż Niua czuł u szyi coraz większy ciężar i kurczowo obejmował pień łapami, trzymając się go ze wszystkich sił. Gdyby, straciwszy energię, runął do rzeki w ślad za Mikim, przyjazny los, który już poczynił się do nich uśmiechać, odwróciłby się ponownie. Bowiem Miki, gwałtownie miotając się pod wodą, służył jednocześnie jako kotwica i ster; pień zwolna zmienił kierunek, a pochwycony przybrzeżnym wirem osiadł miękko na mieliźnie.

Jednym szalonym skokiem Niua wydostał się na brzeg. Czując pod stopami ziemię spróbował biec; w rezultacie Miki wynurzył się z toni i legł na piasku niby potworny krab. Zrzucał wodę i oddychał kurczowo, a Niua, rozumiejąc, że jego towarzysz jest chwilowo niezdolny do dalszej podróży, czekał cierpliwie. Miki prędko przyszedł do siebie. Nie upłynęło pięć minut, a już stanął na nogach, otrząsając się tak gwałtownie, że fontanny wody i błota oślepiły niedźwiadka.

Gdyby pozostali czas dłuższy na jednym miejscu, Challoner odnalazłby ich w godzinę później, umyślnie bowiem wiosłował przy samym brzegu w poszukiwaniu ich zwłok. Być może instynkt uprzedził niedźwiadka o tej możliwości, gdyż już w piętnaście minut po wylądowaniu zwrócił się w głąb leśnej gęstwy, a Miki udał się w ślad za nim.

Dla szczeniaka był to dalszy ciąg niezwykłych przygód; Niua natomiast odzyskiwał zwolna dawną pogodę ducha. Las był mu domem nawet w nieobecności matki. Po wielu nieoczekiwanych przejściach, które zawdzięczał dwunogiej istocie — aksamitny kobierzec jodłowych igieł pod łapami oraz znajome wonie cichej głuszy napełniały go coraz większą radością. Powrócił na swój dawny szlak. Chciwie chłonał rześkie powietrze i nastawiał uszy podniecony rozkosznym uczuciem zupełnej swobody. Tego lasu nie zwiedzał jeszcze nigdy, ale nie przejmował się tym zbyt. Wszystkie knieje wydawały mu się jednakowe, a ponieważ ciągnęły się na przestrzeni tysięcy mil kwadratowych, nie mógł zapamiętać sobie ich ściślej topografii. Sprawa szczeniaka przedstawiała się zupełnie inaczej. Nie tylko tęsknił do Challonera i rzeki, ale w miarę jak Niua wiódł go głębiej w mroczne ostępy boru, począł się czuć coraz bardziej nieswojo. Wreszcie postanowił założyć energiczny protest i w związku z tą decyzją stanął raptem w miejscu tak nagle, że Niua ze zdziwionym pomrukiem przewrócił się na grzbiet. Miki wyzyskując sytuację i ciągnąc rzemień z końską siłą swego przodka, psa mackenzie, jął się cofać w stronę rzeki; włókł za sobą niedźwiadka na przestrzeni kilku metrów, nim wreszcie Niua zdołał ponownie stanąć na łapach.

Wtedy zaczęła się walka. Naprężając mięśnie, grzęznąc łapami w miękkiej ziemi, oba zwierzęta ciągnęły rzemień, aż im oczy wylazły z orbit i szyje się wydłużyły. Niua ciągnął równomiernie i bez szaleństw, Miki zaś, jak zwykle pies, szarpał się i rzucał, skacząc to w tył, to w boki, za każdym targnięciem zmuszając niedźwiadka do ustępstw. Prawdę mówiąc, szło teraz jedynie o to, który ma wytrzymalszy kark. Niua pod pokładem tłuszczu posiadał bardzo ograniczony zapas sił. Pod tym względem Miki stał o wiele wyżej. Jego kościste członki zawierały moc energii i po krótkim, choć bohaterskim oporze Niua dał za wygraną i potulnie ruszył w kierunku wybranym przez szczeniaka.

Dziedziczny instynkt Niuy powiódłby go ku rzece prosto jak strzebił — zamiary Mikiego zaś były o wiele lepsze niż jego zmysł orientacyjny. Niua szedł za szczeniakiem potulnie, gdyż wkrótce spostrzegł, że choć ów zatacza bezsensowne półkola, coraz bardziej jednak oddala się od

niebezpiecznej rzeki. Po upływie kwadransa Miki zupełnie stracił kierunek, siadł więc na mchu, spojrzał na niedźwiadka i zaskowyczał bezradnie. Niua ani drgnął. Wlepił przenikliwy wzrok w przedmiot, uczepiony gałęzi niskiego drzewa w odległości zaledwie kilku kroków. Przed pojawieniem się człowieka niedźwiadek spędzał na jedzeniu trzy czwarte dnia, ale od wczorajszego ranka jadł tyle co nic. Czuł okropny głód i to, co widział teraz, podrażniło go do tego stopnia, że bezustannie łykał ślinkę. Było to gniazdo os. Niejednokrotnie w swoim krótkim życiu obserwował, jak Nuzak ściągala na ziemię podobne gniazda, miażdżyła je łapami, a potem zapraszała go na ucztę. W ciągu miesiąca prawie osy stanowiły ich codzienne pożywienie i Niua uważał je za doskonałą potrawę. Zbliżył się więc do gniazda; Miki poszedł za nim. Gdy byli oddaleni zaledwie o metr, Miki usłyszał bardzo wyraźne i ogromnie niepokojące brzęczenie. Niua nie przeląkł się wcale; oceniając odległość gniazda od ziemi, stanął dęba, wyciągnął przednie łapy i szarpnął.

Łagodne brzęczenie, które Miki słyszał poprzednio, w jednej chwili zmieniło się we wściekły hałas. Doświadczona Nuzak zdarłaby błyskawicznie gniazdo i wydusiła zeń życie. Niua zaś tylko zruszył z miejsca osiedle Amu i jego groźnej bandy. Traf chciał, że Amu znajdował się w domu, a wraz z nim trzy czwarte jego wojaków. Nim Niua zdołał szarpnąć gniazdem po raz drugi, wyroiła się zeń zwarta chmura owadów i Miki wydał nagle dziki wrzask bólu. Amu we własnej osobie siadł na nosie szczeniaka, Niua milczał, ale przez chwilę zajadle machał łapami wokół pyska. Miki zaś tarł o ziemię pokłuty nos. Już w następnym mgnieniu oka każdy wojak z drużyny Amu pracował zaciekle. Rozpaczliwie rycząc Niua skręcił raptownie i rzucił się do ucieczki, Miki nie dał mu się wyprzedzić ani o włos. W całym ciele czuł ostry ból, niby ukłucia rozpalonych igieł. Z nich dwu większy gwałt robił zresztą Niua. Wył bez ustanku ponurym basem, co w połączeniu z sopranem szczeniaka tworzyło tak niesamowity zgiełk, że każdy przechodzący w pobliżu Indianin nabrałby niezachwianej pewności, iż to wilkołak hula po lesie. Teraz, gdy wrogowie ratowali się ucieczką, osy, będąc raczej rycerskiego ducha, powróciłyby zapewne do swej nadwerężonej fortecy, gdyby nie to, że Miki w dzikim pędzie wybrał drogę wiodącą z prawej strony niewielkiej sosny, Niua zaś okrążał drzewo ze strony lewej. W rezultacie obaj zostali wstrzymani tak nagle, że im o mało grzbiety nie pękły. Na domiar złego, pół tuzina wojaków Amu, stanowiących tylną straż, rozgorzało nową chęcią boju. Ale i Niua poczuł przyływ szału, więc robiąc pół obrotu, chwycił szczeniaka za kark. Miki, na pół ślepy, nieprzytomny z bólu i strachu, wyobraził sobie, że to osy znęcają się nad nim w dalszym ciągu, i z okropnym skowytym począł się miotać jak w obłędzie. To uratowało ich obu. Skacząc konwulsyjnie Miki znalazł się wnet po tej samej stronie drzewa co Niua, a niedźwiadek, czując się teraz wolnym, podjął na nowo przerwana ucieczkę. Miki gnał za nim, podkreślając każdy skok donośnym jękiem. Teraz Niua nie bał się już rzeki. Instynktownie pragnął wody; pragnął jej nawet całym sercem. Niby wiedziony kompasem biegł prosto w stronę rzeki, ale zaledwie przebyli sto metrów, ujrzeni strumień tak wąski, że każdy z nich bez trudu mógłby go przesadzić. Niua skoczył do wody głębokiej tu zaledwie na parę stóp, a Miki po raz pierwszy w życiu dobrowolnie dał nurka. Długą chwilę leżeli potem obaj w chłodnym łożysku. W oczach szczeniaka światło dnia stawało się coraz mętniejsze i mglistsze, cały bowiem poczynał puchnąć, od czubka nosa począwszy, a kończąc na kościstym ogonie. Niua, opancerzony sadłem, cierpiał mniej. Zachował dobry wzrok i podczas gdy mijały bolesne godziny, rozmyślał nad tym i owym. Wszystkie biedy przyszły wraz z pojawieniem się człowieka. To on odebrał mu matkę; to on wtłoczył go do wora; to człowiek wreszcie opasał mu szyję rzemieniem. Niua zwolna doszedł do przekonania, że ostatecznie najbardziej winny jest jednak rzemień.

Po upływie dłuższego czasu wygramolili się obaj ze strumienia i znaleźli miękką, suchą jamę u stóp wielkiego drzewa. Niedźwiadek, któremu wzrok służył po dawnemu, spostrzegł, że poczyna

zapadać zmrok. Słońce wisiało nisko na zachodnim skłonie nieba. Powietrze ochłodziło. Leżąc na brzuchu, opierając na łapach obrzmiały łeb, Miki skomlał płaczliwie. W miarę jak określony zamiar rodził się w łebku Niuy, zwracał on coraz częściej oczy w kierunku rzemienia. Pisnął żałośnie, częściowo odpowiadając na skomlenie szczeniaka, a częściowo opłakując nieobecność matki. Przyłgął bliżej do Mikięgo, ogarnięty naraz nieodpartą potrzebą przyjaźni. Ostatecznie Miki nie był niczemu winien; zło spowodował człowiek i rzemień.

Mrok wieczorny gęstniał nad nimi; tuląc się bliżej do szczeniaka Niua wsunął linkę między przednie łapy. Z cichym warknięciem ujął ją zębami. Potem uparcie zaczął żuć. Od czasu do czasu mruczał, jak gdyby mówiąc:

— Czy widzisz, Miki, przegryzam to na pół! Do rana skończę! Uszy do góry! Jutrzejszy dzień będzie chyba o wiele lepszy!

JEŻOZWIERZ

Następnego ranka Niua i Miki zbudzili się ze snu w głębi tajemniczej kniei, gdzie rzuciły ich perypetie dnia poprzedniego. W sercach obu panowała młodzieńcza beztroska, a choć Miki był tak opuchnięty od ukłuc os, że jego kościste ciało i zbyt długie łapy wyglądały jeszcze komiczniej niż zwykle, to bynajmniej nie stracił chęci do dalszych przygód. Łeb jego był okrągły jak księżyc w pełni, a tak nabrzmiały, że Niua mógł się słusznie obawiać, iż lada chwila nastąpi eksplozja. Ale oczy szczeniaka, o ile je w ogóle było widać, miały swój zwykły, rezolutny wyraz; uszy jego, zarówno całe jak i kalekie, były chwacko uniesione do góry, gdy spoglądał na niedźwiadka, oczekując jakiejś wskazówki, co mają dalej robić. Trucizna, zawarta w żądlach os, nie sprawiała mu już bólu. Czuł się okropnie napęczniały, ale poza tym nie doznawał żadnych przykrości.

Niua ze względu na pokład tłuszczu zmienił się o wiele mniej. Tylko jedno oko miał zapuchnięte zupełnie. Ale drugim bystro rozglądał się wokół. Pomimo połowicznego kalectwa i obrzękłych łap był nastrojony na wskroś optymistycznie, pewien, że los nareszcie zaczyna się doń uśmiechać. Znikł dwunogi potwór, który mu zamordował matkę; przyjazny bór stał przed nim otworem; w ciągu nocy przegryzł rzemienną linkę łączącą go z Mikim. Ponieważ pozbył się w ten sposób dwu największych bied, nie zdziwiłby się zbytnio, gdyby Nuzak wynurzyła się nagle spośród kolumnady pni. Myśl o niej wydarła mu z piersi tęskny skowyt A Miki, patrząc na wielką pustką otaczającego boru i wspominając swego pana, zaskomlał cicho w odpowiedzi.

Obaj byli głodni. Szalony pęd wczorajszych wypadków nie dał im czasu na posiłek. Przewrót w życiu szczeniaka był więcej niż dziwny; był oszałamiający. I kiedy Miki wstrzymywał dech w oczekiwaniu nowych tarapatów, Niua badał otoczenie. Wreszcie niedźwiadek, nabrawszy jakby

przekonania, że wszystko w porządku, zwrócił się tyłem do słońca, jak to zwykle czyniła jego matka, i ruszył w drogę.

Miki poczłapał za nim. Teraz dopiero doznał uczucia, jak gdyby w ciele jego znikły wszystkie ścięgna. Kark miał sztywny, nogi jak z drzewa, a próbując dotrzymać kroku niedźwiadkowi, w ciągu paru minut pięciokrotnie potknął się i upadł. Powieki mu zapuchły i widział bardzo źle, toteż padając po raz piąty, zupełnie stracił z oczu towarzysza. Obwieścił to rozpaczliwym skowyt. Niua stanął, wsuwając nos pod zbutwiały pień drzewa. Gdy Miki zbliżył się doń, Niua, leżąc na brzuchu, zbierał właśnie językiem wielkie czerwone mrówki tak szybko, jak tylko mógł nadażyć. Miki przyglądał mu się chwilę z zaciekawieniem. Dość prędko skombinował, że Niua coś je, ale wcale nie mógł zrozumieć, co by to mogło być. Zgłodniały węszył tuż koło mordy niedźwiadka. Przesunął językiem po ziemi w miejscu, gdzie lizał Niua, ale zebrał tylko śmieci. A tymczasem mały grubas chrząkał bez ustanku, bardzo zadowolony. Minęło dobre dziesięć minut, nim przełknął ostatnią mrówkę i ruszył w dalszą podróż. Trochę później dotarli do wilgotnej polanki; tu Niua powęszył nieco, powiódł zdrowym okiem w różnych kierunkach i wreszcie zaczął rozkopywać ziemię łapami. Wkrótce dobył z niej biały przedmiot wielkości ludzkiego palca i jał go chciwie żuć. Szczeniakowi udało się porwać kawalątko tego przysmaku. Rozczarował się natychmiast. To było zupełnie jak drzewo; obrócił korzeń kilkakrotnie w pysku i wypluł z obrzydzeniem, a Niua złapał go i zjadł mruczając słodko. Znów ruszyli dalej. W ciągu pełnych rozpaczy godzin Miki następował na pięty niedźwiadka; w miarę jak ginął przykry obrzęk, był coraz bardziej głodny. Pragnienie posiłku stało się istną męczarnią. Nie znajdował jednak żadnego pożywienia, Niua zaś co krok trafiał na jakiś smakołyk. Po upływie dwóch godzin jadłospis niedźwiadka osiągnął ogromną różnorodność. Zawierał on między innymi pół tuzina zielonych i czarnych żuków, niezliczoną ilość pluskw drzewnych, całe kolonie czerwonych i czarnych mrówek, parę białych robaków wydłubanych z głębi zmurszałych pni, garść ślimaków, młodą żabę, zalęgnięte jajko ptasie, a jako jarzyny — młode korzonki i trochę kapusty zajęczej. Od czasu do czasu Niua zginał gałązki topoli, ogryzając ich delikatne pędy. Zlizywał również żywicę z sosen i jodeł, a chwilami urozmaicał posiłek pęczkiem świeżej trawy.

Miki próbował większości tych rzeczy. Chętnie zjadłby żabę, ale Niua go wyprzedził. Żywica zlepiała mu szczęki, a gorycz jej pobudziła go do wymiotów. Nie rozróżniał prawie ślimaka od kamienia, a gdy pierwszy żuk, którego złowił, okazał się z gatunku śmierdzących, dał im spokój raz na zawsze. Ugryzł też koniuszek młodej łodygi, ale że zamiast topoli był to „wilczy korzeń”, więc język skołowaciał mu na dobry kwadrans. Wreszcie doszedł do przekonania, że jak na dziś, jedyną rzeczą w jadłospisie niedźwiadka, którą można jeść, jest trawa.

Gdy szczeniak przechodził męki głodowe, towarzysz jego stawał się coraz weselszy. Uważał, że nadeszły tłuste dni, i mruczał bezustannie, tym bardziej zadowolony, że i na drugie oko zaczynał już widzieć. Kilkakrotnie, znalazłszy nowe gniazda mrówek, zapraszał szczeniaka do uczy, wydając zachęcający skrzek. Aż do południa Miki chodził za niedźwiadkiem krok w krok, niby wierny satelita. Sytuacja się zmieniła, gdy Niua, odnalazłszy gniazdo zamieszkałe przez cztery wielkie szerszenie, zmiażdżył je zrećcznie i zjadł.

Od tej chwili Miki pojął, że należy rozpocząć łowy na własny rachunek. Wraz z tą myślą zbudził się w nim nowy dreszczyk. Oczy miał już teraz szeroko rozwarte i pozbył się prawie sztywności łap. Zagrała w nim krew ojca i matki i nie zwlekając rozpoczął wstępne kroki. Wykrył świeżą woń i póty szperał tu i ówdzie, aż z wielkim trzepotem skrzydeł porwała się przed nim kuropatwa. Ten wypadek zdziwił go trochę, ale jeszcze bardziej podniecił. W parę minut później, węsząc w zaroślach, stanął nos w nos ze swym obiadem. Był to Wabu, młody królik. Miki doskoczył błyskawicznie i silnie chwycił go za kark. Niua, słysząc trzask gałęzi i skrzek dławionego królika, zaniechał połowu

mrówek i w jednej chwili znalazł się obok. Wabu przestał wkrótce trzepotać łapami, więc Miki, trzymając w zębach swoją zdobycz, wycofał się z gęstwiny i triumfalnie spojrzął na niedźwiadka. Potem rzucił królika na ziemię, warknął dziko i począł drzeć na strzępy delikatną turzycę. Niuu przydreptał bliżej, chrząkając uprzejmie. Miki warknął jeszcze groźniej. Ale Niuu, nieulekły, mrucał coraz czulej i... powąchał królika. Miki przestał warczeć. Być może przypomniał sobie, że Niuu niejednokrotnie proponował mu część swych żuków lub mrówek. Wspólnie zabrali się do uczyty. Skończyli dopiero wtedy, gdy znikł ostatni strzęp mięsa i ostatni ułamek kości teraz Niuu siadł wygodnie i po raz pierwszy od czasu, gdy stracił matkę, oblizał się. Okazywał w ten sposób, że ma pełny brzusek i że jest zupełnie zadowolony. Obecnie nie wyobrażał już sobie większej rozkoszy nad dobrą drzemką i przeciągając się błogo, począł się rozglądać szukając odpowiedniego drzewa.

Za to Miki czuł nowy przyływ energii. Podczas gdy Niuu żuł pokarm bardzo starannie, Miki łykał go kawałami i w rezultacie pożarł cztery piąte królika. Zatem nie był już głodny. Otoczenie interesowało go bardziej niż kiedykolwiek. Po raz pierwszy samodzielnie zabił; po raz pierwszy chleptał ciepłą krew i to wszystko podnieciło go tak dalece, że nie czuł wcale chęci wypoczynku ani snu. Teraz, gdy zrozumiał, czym są łowy, instynkt myśliwski wypełnił każdy jego nerw. Polowałyby chętnie do zupełnego wyczerpania, gdyby nie to, że Niuu znalazł wreszcie miejsce odpowiednie na drzemkę.

Miki, zdumiony, ogłupiały doszczętnie, spoglądał, jak niedźwiadek drapie się leniwie na pień wielkiej topoli. Widywał wiewiórki skaczące po drzewach oraz ptaki fruujące z gałęzi na gałąź, ale postępowanie Niuu zapało mu dech w piersi. Dopiero gdy niedźwiadek leżał wygodnie w rozwidleniu konarów, Miki oprzytomniał trochę. Warknął niedowierzająco, obwąchał podstawę pnia i jakkolwiek bez przekonania, spróbował również wleźć na drzewo. Wywrócił się zresztą od razu i zrozumiał wnet, że z nich dwu Niuu jest stanowczo lepszym akrobatą. Strapiony odstąpił nieco w bok i przysiadł na murawie dla lepszej oceny sytuacji. Jak mu się zdawało, Niuu nie miał tam w górze nic do roboty. Na pewno nie polował na żuki! Miki szczeknął parę razy, ale Niuu zachował milczenie. Więc dał za wygraną i z ciężkim westchnieniem zwinął się w kłębek. Nie spał jednak. Każdej chwili był gotów do dalszej drogi. Pragnął rozpocząć nowe badania w tajemniczych i porywających leśnych głębinach. Nie czuł już trwogi, która go męczyła przed upolowaniem królika. W ciągu paru minut natura przeobraziła go całkowicie; z płacznego szczeniaka uczyniła istotę silną i rozważną. Minął okres niemowlęctwa przedłużony nadmiernie wskutek obcowania z Challonerem. Miki zabił i poczucie tego faktu syciło go nowym dreszczem. Nie miał się nigdy dowiedzieć, że ojciec jego Hela, z rasy mackenzie, był najwspanialszym łowcą w krainie Little Fox i że w pojedynkę powalił byka karibu. Ale czuł to. Czuł natrętny i nieustanny zew: A ponieważ w odpowiedzi nasłuchiwał szeptów i szumów leśnych, jego czujne uszy pochwyciły monotony skrzek jeżozwierzka Kawuk.

Miki leżał bez ruchu. W chwilę później usłyszał delikatny chrzęst igieł, po czym Kawuk ukazał się na polanie i stanął dęba, cały oblany słońcem. Kawuk przeżył w tej okolicy niczym nie zmąconych trzynaście lat i będąc w tak podeszłym wieku, ważył pełnych trzydzieści funtów. Tego popołudnia, wracając do domu na trochę spóźniony obiadek, czuł się jeszcze weselszy niż zwykle. Oczywiście miał słabe. Przyroda nie obdarzyła go silnym wzrokiem, dając w zamian groźną zbroję z twardych kolców. Oddalony od szczeniaka o dziesięć metrów zaledwie, zdawał się go wcale nie widzieć; a Miki silniej przyłgął do ziemi, instynkt bowiem mówił mu, że z tą istotą nierozsądnie byłoby zadrzeć.

Kawuk stał dobrą minutę na pozór bez ruchu, bełkocząc tylko pieśń swego plemienia. Obrócony do szczeniaka bokiem, wyglądał jak przemawiający z trybuny gruby poseł. Był tak otyły, że brzuch sterczał przed nim niby połowa piłki, a na tej wyniosłości spletał przednie łapy prawie ludzkim

ruchem. Robił wrażenie raczej opasłej samki niż samca i do tego ojca rodu.

Teraz dopiero Miki zauważył Iskwazis, młodą samicę jeżozwierz, która ostrożnie wychynęła z gęstwy w pobliżu Kawuka. Pomimo ciężaru lat Kawuk zachował młodzieńczy romantyzm i natychmiast postanowił olśnić „dame” swą niezwykłą ogładą i wytwornością. Rozpoczął od pokraccznego tańca, przestępując z nogi na nogę, aż brzuch mu się trząsał, i skrzecząc głośniejszym niż zwykle. Istotnie, wdzięki Iskwazis mogły zawrócić w głowie jeszcze starszemu lowelasowi. Była niezwykłą przedstawicielką swej rasy, blondynką, albo inaczej mówiąc albinoską². Miała różowy pyszczyk i różowe stopki, a różowe źrenice jej ślicznych oczu były obramowane błękitnym białkiem. Najwidoczniej taniec leciwego Kawuka nie zachwycał jej zbyt, co zrozumiał, jeżozwierz zmienił taktykę, opadł na czworaki i począł wywijać kolczastym ogonem, jak gdyby nagle postradał zmysły. Gdy przestał na chwilę i rozejrzał się, chcąc zobaczyć efekt tego popisu, był najwidoczniej zmieszany konstatając fakt, że Iskwazis znikła. Milcząc siedział teraz czas jakiś bez ruchu. Potem ku rozpaczy Mikiego ruszył wprost do drzewa, na którym spał Niua. Na tym drzewie właśnie znajdował się obiad jeżozwierz.

Sierść szczeniaka stanęła dęba ze zgrozy. Nie wiedział, że Kawuk, jak wszyscy z jego rasy, jest stworzeniem najpocziwszym w świecie i nigdy nikomu nie czyni zła, chyba że go napadną. Przerażony szczeknął głośno, ostrzegając niedźwiadka.

Niua poruszył się leniwie, a gdy rozwarł oczy, zobaczył przed sobą kolczastą głę i widok ten przyprawił go niemal o konwulsje. Tak nagle, że omal nie runął na ziemię, porwał się do ucieczki i polazł w górę pnia. Kawuk zachowywał się zupełnie spokojnie. Teraz, gdy Iskwazis odeszła, był całkowicie pochłonięty swym obiadem. Wolno, ale bezustannie piał się dalej wwyż, a przerażony Niua skoczył na jeden z bocznych konarów, ustępując jeżozwierzowi z drogi.

Niestety, był to właśnie ów konar, na którym Kawuk pozostawił resztki nie dojedzonego dawniej posiłku, toteż jeżozwierz gramolił się w ślad za Niua, na pozór zresztą nie dostrzegając go wcale. Miki rozpoczął w dole tak przenikliwy lament, że Kawuk zauważył wreszcie, iż dzieje się coś niezwykłego. Spojrzał w dół na szczeniaka, który miotał się wokoło pnia, próżno usiłując nań skoczyć; potem odwrócił głowę i po raz pierwszy z pewnym zainteresowaniem popatrzył na niedźwiadka. Niua oplatał konar całą siłą przednich i tylnych łap. Zdawało się niepodobieństwem, aby mógł się cofnąć jeszcze dalej, gdyż gałąź i tak ugięła się niebezpiecznie pod jego ciężarem.

Wtedy Kawuk począł zgryźliwie zrzedzić. Miki szczeknął ostro i siadł, obserwując z napięciem rozgrywający się powyżej dramat. Kawuk z wolna sunął naprzód, a Niua cofał się cal za cal, aż wreszcie przekreślił się na gałęzi i zawisł głową i grzbietem w dół. Teraz Kawuk umilkł i jał spożywać obiad. W ciągu dwu lub trzech minut Niua nie rozluźnił chwytu. Parokrotnie spróbował się ucieść tak, by znowu leć na gałęzi. To mu się nie powiodło. Tylnie łapy pośliznęły się raz i drugi. Chwilę wisiał na przednich, aż runął w dół z wysokości pięciu metrów. Padł tuż obok szczeniaka z takim impetem, że dech mu zapało. Wstał mrużąc, obłąkanym wzrokiem spojrzał na drzewo i nie dając Mikiemu żadnych wyjaśnień, począł umykać w głąb boru — na spotkanie nowej przygody, która miała być ich próbą ogniową.

Niua przebył dobre ćwierć mili, nim wreszcie zdecydował, że można stanąć.

Szczeniakowi wydało się, że po jasności dnia nastąpił nagle wieczorny zmierzch. Ta część boru, którą powiodła ich ucieczka, sprawiała wrażenie olbrzymiej a tajemniczej jaskini. Nawet Challoner zatrzymałby się tu na chwilę, zdumiony ciszą i powagą kniei, a oczarowany falą niepojętych szeptów. Słońce wciąż jeszcze stało wysoko na niebie, ale żaden z jego promieni nie był zdolny przebić gęstej plątaniny szpilkowych konarów, które niby baldachim zwisały nad głowami Niuy i Mkiego. Wokół nich nie rosły żadne krzaki ani krzewy; pod stopami nie mieli trawy ni kwiecia. Nic prócz zwartego pokrowca brunatnych igieł, pod którymi ginał wszelki ślad życia. Zdawało się, że nimfy leśne uczyniły tu sobie alkowę, o każdej porze roku osłonią przed śniegiem i deszczem; albo że wilkołaki mają tu kwaterę i z jej ponurej głębi odbywają niesamowite wyprawy pomiędzy ludźmi. Ani jeden ptak nie świergotał wśród gałęzi. W splątanej gęstwie konarów nie odzywał się trzepot skrzydeł. Panowała taka ogromna cisza, że Miki słyszał pulsowanie własnej krwi.

Spojrzał na Niue; w mroku ślepie niedźwiadka miały dziwaczne lśnienia. Zresztą żaden z nich się nie bał, ale w tej ogromnej pustce silniej zadzierzgnęły się między nimi węzły przyjaźni. W półdzikich duszyczkach zniknęła bolesna pustka wywołana śmiercią matki Niuy i stratą pana Mkiego. Szczeniak zaskomlił pieszczotliwie, a niedźwiadek mruknął cicho, kończąc przemowę zabawnym chrząknięciem podobnym do głosu prosiaka. Przyłgnęli do siebie wzajem i stali ramię przy ramieniu, spoglądając na świat boży. Potem zrobili parę nieśmiałych kroków, niby dwaj malcy zwiedzający opuszczony dom. Nie myśleli o łowach, ale instynkt myśliwski przesyczał ich zmysły, więc przystawali często, rozglądając się wkoło, wietrząc i nasłuchując.

Ponure otoczenie przypominało niedźwiadkowi ciemną pieczarę, w której się urodził. Zdawało mu się, że lada chwila Nuzak wyjdzie nagle spośród kolumnady drzew. Może śpi gdzieś w cichym ostępie, tak jak spała w głębi jaskini. W oddaleniu mrok gęstniał, tworząc wszędzie niby czarne sztolnie. Indianie nazywają takie miejsca munidu i wierzą, że obecność złego ducha wypłoszyła z nich wszelkie objawy życia. Istotnie, chyba tylko demon kazał drzewom rósć tak gęsto, by słońce nigdy nie mogło dotrzeć do ich podnóża. Jedynie sowy dotrzymują towarzystwa diabłom.

Tu, gdzie stali Niua i Miki, dorosły wilk zatrzymałby się i zawrócił; umknąłby lis płaszcząc się tuż przy ziemi; nawet krwiożerczy gronostaj, wylupiając czerwone oczy, cofnąłby się na otwartą przestrzeń, powodowany nie tyle strachem, ile dziedzicznym instynktem. Gdy mimo ciszy i mroku panowało tu jednak życie. Groza czaiła się w głębi czarnych sztolni. Zamieszkujące je potworne istoty budziły się już ze snu i w miarę jak Niua i Miki sunęli naprzód, krągłe ślepie jak jarzące zielonawe kule zapalały się w mroku. Śród konarów nic się nie poruszyło, nie było słychać najlżejszego szmeru. Olbrzymie sowy, złe duchy munidu spoglądały w dół leniwie, obmyślając dalsze plany i wyczekując odpowiedniej chwili.

Nagle wielki cień wyplął z mrocznego chaosu i przemknął tak blisko nad głowami Niuy i Mkiego, że usłyszeli groźny łopot ogromnych skrzydeł. Gdy niesamowita zjawa znikła, z dali dobiegł jeszcze krótki syk i trzask zamykanego dzioba. Miki zadygotał. Niejasny dotąd instynkt przemówił w nim teraz wyraźnie. W jednej chwili wyczuł bliskość nieznanego, lecz okropnego niebezpieczeństwa. Ponad nimi ozwały się rozliczne dźwięki: szelest gałęzi, upiorne falowanie powietrza i metaliczny

trzask dziobów. Miki zobaczył znowu wielki cień krążący raz dalej, to znów bliżej. Przyłączyły się doń inne marylki, sklepienie drzew zdawało się roić od nich. Z każdą nową zjawą stukot potężnych dziobów brzmiał głośniejszy i wyraźniejszy. Miki na podobieństwo wilka lub lisa przypadł brzuchem do ziemi i rozpląszczył się na niej zupełnie. Ale nie skomlał już jak wylękłe szczeniaki. Zebrał się cały w sobie, naprężając mięśnie jak postronki, a gdy jeden z ptaków opadł ponad nim tak blisko, że uczył wiew jego skrzydeł — Miki warknął groźnie i obnażył kły. Niua sapnął głośno; sapnięcie to w późniejszym wieku byłoby wyzywającym whuf jego matki. Jako niedźwiedź, nie kładł się, lecz stał prosto. Na niego właśnie runął jeden z wielkich cieni, niby rzucony z mroku potworny, pierzasty pocisk.

Płonące ślepie Mikiego widziały, jak o parę stóp zaledwie od niego Niua padł na ziemię, przygnieciony szarą lawiną; przez chwilę szczeniaki trwały bez ruchu, pełen lęku i oszołomiony łomotem potwornych skrzydeł. Niua ani się odezwał. Leżąc na grzbiecie szarpał pazurami puch, tak miękki i gęsty, iż zdawało się, że wcale nie ma pod nim ciała. Czuł nad sobą obecność śmierci. Uderzenia skrzydeł były jak ciosy maczugi; zapierały mu oddech, mąciły zmysły. Walczył jednak bez ustanku, rwąc pazurami pierś opancerzoną pierzem.

Przypuszczając pierwszy atak, Uhumisiu, którego skrzydła miały pięć stóp rozpiętości, chybił o cal swój śmiertelny chwyt Jego potężne szpony, zamiast jak ostre noże wnikać w głąb ciała niedźwiadka, utonęły w zwartej masie futra i luźnych fałdach skóry. Więc tłukł teraz skrzydłami swoją zdobycz wyczekując odpowiedniej chwili, by zakończyć dzieło strasznym uderzeniem dzioba. Jeszcze pół minuty i z łebka Niuy pozostałyby tylko strzępy.

Właśnie dlatego, że Niua wcale się nie odzywał, że nie wydał najmniejszego dźwięku, Miki skoczył na równe nogi, obnażył kły i warknął. W jednej chwili lęk go opuścił; uczył natomiast dzięką i szaloną radość. Rozpoznał wroga: był to ptak. Ptaki stanowiły dlań zdobycz, nigdy groźbę. Niejednokrotnie w ciągu wspólnej podróży Challoner strzelał do wielkich kanadyjskich gęsi lub do szerokoskrzydłych żurawi. Miki jadał ich mięso. Dwukrotnie, przeraźliwie ujadając, gonił ranne żurawie, a one umykały przed nim. Teraz nie szczekał ani skomlał. Jak błyskawica spadł na pierzasty kłęb. Czternaście funtów kości i mięśni uderzyło z impetem niby kamień i Uhumisiu runął na bok z wielkim łopotem skrzydeł. Nim się opamiętał, Miki dopadł go ponownie, chwytając od razu za łeb, tak jak w swoim czasie chwycił ranego żurawia.

Ptak przewrócił się na grzbiet, a Miki, podniecony, zaczął ujadać i warczeć groźnie. Zarówno dla Uhumisiu, jak i dla jego skrzydlatych towarzyszy, którzy w mroku przyglądali się walce, szczekanie psa było zupełnie nowym dźwiękiem. Kłapiące dzioby odfrunęły dalej, a Uhumisiu nagłym porywem skrzydeł uniósł się w powietrze.

Wbijając mocno w igliwie przednie łapy, zwracając ku mrocznemu sklepieniu rozjuszony pysk, Miki ujadał i warczał w dalszym ciągu. Pragnął powrotu sowy. Chciał drzeć i szarpać jej pierze, ale gdy siał w przestrzeń gniewne wyzwanie, Niua porwał się na nogi i z ostrzegawczym piskiem w stronę szczeniaka zaczął umykać co sił. Jeśli Miki dotąd nie ocenił sytuacji, on doskonale zdawał sobie z niej sprawę. Działał tu dziedziczny instynkt. Niua wiedział, że w mroku ponad nimi unosi się śmierć, toteż zmiatał jak nigdy w życiu. Gdy Miki zdecydował się wreszcie pójść za jego przykładem, ponure cienie opadły już znów niżej ku ziemi. Obaj zobaczyli w dali migotanie słońca. Drzewa stały rzadziej i wkrótce blask dnia przedarł się między gałęziami, rozpraszając groźną ciemność. Gdyby zamiast zawrócić szczeniaki i niedźwiadek posunęli się naprzód o dalsze sto jardów, znaleźliby się u skraju wielkiej doliny — łowieckiego terenu sów. Ale Niua miał doskonały instynkt samozachowawczy; tu, gdzie szpony Uhumisiu porwały mu boki, czuł piekący ból, toteż zaledwie spostrzegł stos drzew zwalonych wiatrem i poplątanych ze sobą, wśliznął się do tej

kryjówki tak szparko, że przez chwilę Miki nie mógł zrozumieć, gdzie się podział jego towarzysz.

Gdy pojął wreszcie, co się stało, wlaź do kryjówki w ślad za niedźwiadkiem, ale obrócił się w niej tylko i znów wystawił łeb na zewnątrz. Był niezadowolony. Wciąż jeszcze ścigał wargi obnażając kły i warczał bez ustanku. Zwyciężył wroga. Powalił go w uczciwej walce i napełnił pysk jego pierzem. Wobec tego triumfu tym bardziej haniebna była późniejsza ucieczka, toteż chciał teraz wrócić i zakończyć bój. Ozwała się w nim nie znająca trwogi krew airdala i szpica; ozwała się krew ojca, myśliwskiego psa, olbrzyma Hela. I gdyby nie to, że Niua wtulił się jeszcze głębiej między pnie, Miki byłby wyskoczył na zewnątrz i ujadając rzucił wyzwanie pierzastym istotom, przed którymi obaj umknęli.

Zbolały niedźwiadek nie miał najmniejszej ochoty do dalszej utarczki z groźnymi mieszkańcami powietrznych sfer. Począł lizać swoje rany, a po chwili Miki zbliżył się do niego i powąchał ciepłą krew. Warknął. Wiedział, że to jest krew Niuy, i gdy spojrział teraz w stronę otworu, przez który weszli do kryjówki, oczy jego lśniły jak dwa płonące żuźle. Potem trwał całą godzinę bez ruchu i w ciągu tej godziny, tak jak po zabiciu królika, rósł. Gdy wreszcie wypełził ostrożnie spod zwału drzew, słońce poczęło już zachodzić za szaniec borów. Miki spoglądał wokoło, starając się dojrzeć wszelki ruch i ułoić wszelki dźwięk. Nie miał już chwiejnych i niezdarnych ruchów szczenięcych. Jego wielkie łapy były rozstawione szeroko i pewnie, mięśnie sterczały jak sęki na gałęzi drzewa, ciało miał sztywne, uszy uniesione ku górze, łeb siedział twardo na potężnych barkach, które już dziś zapowiadały ogromną siłę. Wiedział, że świat wkoło jest pełen niezwykłych przygód. Życie przestało być sielanką. Wkroczył w nie nowy, niezmiernie ciekawy czynnik.

Po chwili Miki legł na brzuchu tuż obok zwału drzew i począł ogryzać koniec rzemienia, który mu jeszcze zwisał u szyi. Słońce osiadło niżej; wreszcie znikło zupełnie. Miki wciąż czekał, pełen nadziei, że Niua wnet się zjawi i legnie u jego boku. Gdy miejsce zmierzchu zajęła głęboka ciemność, szczeniak wlaź z powrotem do kryjówki i znalazł w niej niedźwiadka. Razem wyjrzeli teraz na świat boży.

Początkowo panowała zupełna cisza, jak zwykle o pierwszej godzinie mroku na dalekiej Północy. Na pogodnym niebie zakwitwały gwiazdy, na razie pojedynczo lub parami, potem w jarzących konstelacjach. Księżyc, młodzik, wyglądał spoza zrębu puszczy, oblewając kraj strugą złotych blasków, a w tej poświacie żyły tysiące niesamowitych cieni pozbawionych ruchu i głosu. Potem cisza została zerwana. Z ostępów nawiedzonych przez sowy nadbiegł dziwaczny, głuchy dźwięk.

Miki słyszał już nieraz ostry wrzask i ponure tu-hu-u-u, tu-huu- u małych sówek, złodziejasków napadających czasem drobną zwierzynę pojmaną w sidła; ale nie znał jeszcze hasła ich potężnych krewniaków, tych prawdziwych zbójów nocnych. Był to zdławiony, gardłowy głos, wycie raczej niż krzyk, wycie stłumione i krótkie, jakby ten, co je niebacznie wydał, bał się zdradzić swą obecność. Czas jakiś zew rozlegał się wszędzie, płynął z każdej gęstwy, aż umilkł, i nastąpiła cisza, przerywana jedynie łopotem wielkich skrzydeł wśród konarów sosen i jedli, podczas gdy łowcy unosili się nad szczyty drzew i szybowali w kierunku doliny.

Wyprawa sów była jedynie preludium nocnych harców. Niua i Miki trwali długi czas ramię przy ramieniu, nie śpiąc, lecz nasłuchując. Opodal przemknęła wydra, poczuli jej ostrą woń; z dala dobiegł szczek lisa, a potem ryk kłępył pasącej się u brzegu jeziora na przeciwległym krańcu równiny. Aż wreszcie stało się coś, co sprawiło, że krew w ich żyłach popłynęła szybciej, a serca im drgnęły.

Na razie byli przekonani, że ten głos, krwiożercze wycie wilków mknących świeżym tropem, płynie z ogromnej odległości. Ale stado zatoczyło łuk po równinie i zew jego poszybował z wiatrem

wiejącym z północnego zachodu. Teraz wycie stało się zupełnie wyraźne i w mózgu szczeniaka mgliste obrazy i niejasne wizje z wolna nabierały określonych kształtów. To, co słyszał, nie było głosem Challonera, a jednak on ten głos znał. To przemawiał Hela, jego olbrzymi ojciec; to przemawiała Numa, jego matka; to przemawiali członkowie jego plemienia od setek i tysiący pokoleń. Z czasem dopiero doświadczenie miało go pouczyć o różnicy między psem a wilkiem. Na razie wierzył, że to przemawia głos jego krwi.

Brzmiał ostro wokół, dziki, chciwy żeru i mordy. Miki zapomniał o niedźwiadku. Nie zważał na to, że Niua cofa się dalej w głąb kryjówek. Stał na łapach i czekał sprężony w sobie, sztywny, nieświadomy otoczenia, pochłonięty jedynie przejmującą do głębi pieśnią wilczej zgrai.

Zzajany, osłabły, nieprzytomnymi oczyma wypatrujący wśród mroku nocy tafli wody, która by go mogła ocalić, Atik, młody samiec karibu, walczył na śmierć i życie, mknąc o sto jardów przed stadem. Wilki rozbiegły się właśnie na dwie strony, tworząc podkowę, której oba końce wyprzedzały już Atika, a lada chwila miały się przed nim złączyć, zacisnąć w koło jak stryczek i zdławić go. Jak zwykle w ostatnich minutach walki zdyszane gardziele umilkły i karibu wyczuł początek końca. Oszałały ze strachu skoczył raptem w prawo i dał nurka w las.

Miki usłyszał trzask konarów oraz gałęzi i przywarł ciasno do zwału drzew. W dziesięć sekund potem Atik przemknął w świetle księżyca o piętnaście stóp od niego, niby wielkie a niezdarne zjawisko, rżąc chrapliwie w przeczuciu bliskiej agonii. Znikł równie szybko, jak się pojawił, a miejsce jego zajęło pół tuzina milczących cieni, lecących chyżo jak wiatr. Miki stał potem długi czas, nasłuchując bacznie, ale cisza znów niepodzielnie zawładnęła światem. Więc wrócił do kryjówki i legł obok niedźwiadka.

W ciągu następnych paru godzin nawiedzały go sny. Śnił o rzeczach już zapomnianych. Widział Challonera. Doznawał chłodu zimowych nocy i ciepła ogniska; słyszał głos pana, czuł pieśczętę jego dłoni, ale złączony z wszystkim innym, górujący ponad wszystko, powracał wciąż dziki, łowiecki zew jego rasy.

O pierwszym brzasku wylał z kryjówki i obwąchał szlak, którym przemknął karibu i wilki. Dotychczas Niua wybierał kierunek drogi; teraz dążył śladem szczeniaka. Miki, mając pełne nozdrza wilczej woni, uparcie człapał w kierunku równiny. Minęło pół godziny, nim dotarł do krańca boru. Wyszedłszy z otoku drzew, wkroczył na szeroki gzyms skalny i wciąż wiodąc nosem przy ziemi, znalazł się nad płytkim urwiskiem, które stromo opadało ku łące. Tu stanął.

O dwadzieścia stóp niżej leżał częściowo zeżarty trup karibu. Ale nie ten widok targnął Mikim do głębi serca. Z porosłej krzami równiny nadbiegła właśnie Mahigun, wilczyca renegatka³, by pożywić się zwierzyną, w której zabiciu nie brała udziału.

Była to zdradliwa samka o kłach ostrych i chwytnych, wynędzniała jednak i wychudła po niedawno przebytej chorobie, której się nabawiła zjadłszy raz zatrutą przynętę; istota podła, zdolna nawet pożreć własne dzieci. Inne wilki unikały jej starannie. Ale Miki patrzył na nią w krańcowo odrębny sposób. Dla niego Mahigun była żywym wspomnieniem matki. Matka zaś istniała jeszcze przed Challonerem.

Miki przywarował do ziemi i leżał chwilę drżąc, potem ruszył w dół idąc tak, jakby szedł teraz na spotkanie Challonera: ostrożnie, trochę nieufnie, a pełen tęsknoty tak silnej, że nawet obecność człowieka nie wywołałaby podobnej. Znalazł się opodal wilczycy, zanim jeszcze zauważyła jego obecność. Nozdrza miał pełne ciepłej woni matczynej; drżał ze szczęścia; mimo to czuł również silny lęk. Ale nie był to zwykły strach. Legł płasko na trawie i tuląc łeb między przednie łapy, cichutko zaskomlił.

Mahigun uczyniła błyskawiczny zwrot, szczerząc kły i dziko błyskając dwojgiem krwawych

ślepi. Miki nie zdołał się już ruszyć ani pisnąć. Wilczyca skoczyła nań jak kot. Szarpnęła zębami raz jeden i już jej nie było. Krew trysnęła z łopatki szczeniaka. Znieruchomiał na chwilę jak trup, ale nie stało się to pod wpływem cierpienia. Matczyna woń wciąż jeszcze wisiała w powietrzu, ale marzenia jego runęły. Wspomnienia zamarły; pożegnał je głębokim westchnieniem, przerwany jękiem bólu. Odtąd i dla niego, tak jak dla Niuy, przestał istnieć Challoner i przestała istnieć matka. Ale świat pozostał. Nad światem zaś wstawało właśnie słońce. Wraz ze słońcem szła radość życia. A blisko, prawie tuż, unosił się ciężki, rozkoszny zapach mięsa.

Miki sapnął żarłocznie. Potem obrócił się i zobaczył ciemną, okrągłą figurę niedźwiadka, który toczył się śpiesznie w dół zbocza, by również wziąć udział w uczie.

ROZŁAM

Gdyby Makoki, ciemnolicy Indianin z plemienia Cree, pełniący służbę pocztową pomiędzy jeziorem O'God a fortem Churchilla, znał dzieje Mikiego i Niuy od chwili ich wpadnięcia do rzeki aż po ów moment, kiedy uctowali nad tłustym padłem młodego karibu — rzekłby bez wątpienia, że Isku Wapu, dobry duch zwierząt, otacza tych dwoje szczególną pieczołowitością. Makoki bowiem pokładał niezłomną ufność w duchy leśne, jak też i w duchy własnego tepee4. Nadałby zatem przygodom szczeniaka i niedźwiadka swoisty koloryt i opowiedział je wnukom, a te zachowawszy ową historię w pamięci, powtórzyłyby ją z czasem własnym potomkom.

Nie należało bowiem wcale do zwykłego porządku rzeczy, by czarny niedźwiadek i szczeniak mieszaniec zawierali serdeczną przyjaźń, tak jak to czynili Niua i Miki. Ona więc (IskuWapu jest boginią, nie zaś bogiem) skierowała karabin Challonera przeciw wielkiej niedźwiedzicy; ona również natchnęła człowieka, by złączył oba bębny jednym rzemieniem tak, że gdy wypadły z czółna, ratowały siebie nawzajem. Makoki nazwałby Niue i Mikiego Nisuapewuk, co znaczy dwaj mali bracia, a spotkawszy ich, uciąłby sobie raczej własny palec, niż ukrzywdził czworonogich wędrowców. Ale Makoki nie wiedział nic o ich przygodach, a tego ranka właśnie znajdował się w odległości całych stu mil, zajęty targiem z pewnym białym panem poszukującym przewodnika. Nie miał też nigdy zgadnąć, że Isku Wapu stała wtenczas u jego boku nawiązując nici zdarzeń, mających odegrać tak ważną rolę w życiu Mikiego i Niuy.

Tymczasem jednak Niua i Miki przypięli się do jadła jak para głodomorów. Przeważał w nich zmysł praktyczny. Nie rozprawiali wcale o przeszłości — w chwili obecnej obchodziła ich jedynie terażniejszość. Te parę dni przygód i niezwykłych wstrząsów znaczyły w ich życiu tyle niemal co normalny rok. Tęsknota Niuy za matką stawała się coraz mniej i mniej żrąca, a dla Mikiego jego pan przestał w ogóle istnieć. W pamięci obu żywą i realną była przede wszystkim ostatnia doba: walka na śmierć i życie z potworną sową, ucieczka, łowy wilcze i wreszcie, jeśli szło o Mikiego, gorzkie doświadczenie nabyte przy spotkaniu z wilczycą Mahigun. Szczeniak czuł ostry ból w miejscu, gdzie przeniknęły jej zęby. Ale apetyt jego bynajmniej na tym nie ucierpiał. Pomrukując jadł tak długo, aż

się napchał do ostatnich granic. Wtedy siadł i spojrzął w stronę, gdzie umknęła wilczyca. Było to na wschód, w kierunku zatoki Hudsona. Olbrzymia równina zwężała się, biegnąc między dwoma rzędami wzgórz, które gęsto zalesione, lśniły złotem i miedzią w blaskach porannego słońca. Miki nigdy jeszcze nie widział ziemi takiej jak dziś. Wilki dognały karibu na kamienistej grzędzie, która wyglądała jak krótki a gruby palec wysunięty z mrocznego boru; trup zwierza leżał w porosłej murawą kotlinie, uwieszanej nieco powyżej ciągnącej się dalej równiny. Miki patrzył w dół i ogarniał oczyma taką połąć kraju, że dal roztopiła mu się wreszcie w błękicie niebios i złotym migotaniu słońca. Jak wzrokiem sięgnął, leżał raj ziemski pełen czarownych obietnic. Szerokie rozłogi miękkiej zielonej łąki; malowniczo rozsiane kępy drzew spojone w dali z ciemną smugą boru; krzaczaste zarośla lśniące szatą czerwcową; tu i ówdzie połysk wody, a o pół mili dalej jezioro, sprawiające wrażenie ogromnego zwierciadła i obramione purpurowo zieloną frędzlą jedliny i cedrów. Tam właśnie umknęła wilczyca Mahigun. Miki ważył możliwość jej powrotu. Wciągał powietrze szukając znajomej woni. Ale w sercu wygasła mu już tęsknota do matki. Poza tym jął właśnie pojmować ogromną różnicę między psem a wilkiem. Niewiele brakło, by zęby Mahigun zmiażdżyły mu łopatkę lub rozdarły tętnicę. Tibe-gon-gewin (jedyne, wielkie prawo) dawało znać o sobie, budząc w duszy szczeniaka poczucie, że musi dostosować się do otaczających go warunków. Aby żyć, należało walczyć i zabijać; należało zwyciężać wszelkie istoty czworonożne lub skrzydlate. Ziemia i powietrze były pełne gróźb. Od chwili gdy Miki stracił Challonera, nikt z wyjątkiem niedźwiadka-sieroty nie okazał mu przyjaźni. Więc zwrócił się teraz w stronę Niuy, który warczał właśnie na jaskrawo upierzonego ptaka, polującego uparcie na strzępek mięsa.

Przed chwilą jeszcze Niua ważył około dwunastu funtów; teraz miał czternaście do piętnastu funtów wagi. Brzuch mu nabrzmał jak przeładowany worek; siedział, szeroko rozparty w ciepłym zalewie słonecznych blasków, oblizując się raz po raz, głęboko zadowolony z siebie i z całego świata. Miki otarł się o niego bokiem i Niua chrząknął przyjaźnie. Potem przewinął się na grzbiet i zapraszał szczeniaka do zabawy.

Zdarzało się to po raz pierwszy; Miki szczeknął radośnie i nie dał się długo prosić. Drapiąc się wzajem, gryząc i szarpiąc, przy czym Miki warczał niby groźnie, a Niua kwiczał jak prosię, zjechali na brzeg kotliny. Strome zbocze, porosłe murawą, długości przeszło trzydziestu metrów opadało ku niżej położonej łące i obaj polecili nagle w dół jak dwie duże piłki.

Dla Niuy nie było w tym nic strasznego: gruby i tłusty toczył się lekko. Sprawa szczeniaka przedstawiała się gorzej. Składał się on z kanciastych gnatów, skóry i nadmiernie wyrosłych łap, toteż leciał w podrzutach i skrętach, objijając boki, a gdy wylądował wreszcie u stóp wzgórza, na gliniastej platformie, zamroczyło go i nie mógł prawie tchu złapać. Kurczowo chwytając powietrze, chwiejnie stanął na łapach. Przez chwilę świat kołował mu w oczach. Wreszcie jednak oprzytomniał i o parę metrów dostrzegł niedźwiadka.

Niua dopiero teraz zaczął pojmować cały urok mimowolnego wynalazku. Nikt chyba, z wyjątkiem saneczkującego dziecka oraz bobra ślizgającego się na ogonie, nie uwielbia tak dalece podobnych sportów jak mały czarny niedźwiadek. Podczas gdy Miki zwolna zbierał rozproszone zmysły, Niua wgramolił się kilkanaście metrów w górę zbocza i dobrowolnie zjechał znowu w dół. Miki aż pysk rozwarł ze zdumienia. Niua powtórnie wlaźł na pochyłość i powtórnie z niej się stoczył, a Miki przestał prawie oddychać. Trzykrotnie jeszcze widział, jak niedźwiadek pnie się na stok porosły murawą i zjeżdża po nim. Za trzecim razem zniecierpliwiony skoczył na Niue, szturchnął go, przewrócił i cała historia omal że się nie skończyła prawdziwą walką.

Miki począł zwiedzać odnogi wzgórza, przy czym Niua towarzyszył mu dobrowolnie na przestrzeni mniej więcej stu jardów — natomiast uparcie odmawiał przekroczenia tej granicy. Mając

poza sobą zaledwie cztery miesiące życia, Niua nie znał większej rozkoszy nad bezustanne opychanie się dobrą strawą. Dla niedźwiadka posiłek był jedynym celem i jedyną przyczyną istnienia. Przypuszczenie, że Miki zamierza dobrowolnie porzucić tłuste ścierwo młodego karibu, napełniało go zgrozą i buntem. W oka mgnieniu zapomniał o rozrywkach i pognął wprost do kotliny, co widząc Miki poniechał wywiadów i ruszył w ślad za nim.

Wgramolili się na górę, zapadli na chwilę poza grzędę wielkich głazów i z odległości dwudziestu jardów spojrzeli na swoje mięso. Zglupieli na moment i stracili zdolność ruchu. Dwie olbrzymie sowy szarpały padlinę. Dla Niuy i Mikiego były to skrzydlate potwory leśnych ostępów, przed którymi w swoim czasie ledwo zdołali umknąć z życiem. Ale w gruncie rzeczy te ptaki należały do innego gatunku niż Uhumisiu i jego banda zbójów, polująca tylko nocą. To były „śnieżne sowy”, tym się różniące od pokrewnych stworzeń, że przy dziennym świetle miały wzrok iście sokoli. Mispun, wielki samiec, lśnił niepokalaną bielą. Jego samka nosiła tu i ówdzie brunatne smugi. Oba ptaki miały łby zupełnie okrągłe, pozbawione nawet kępek puchu ponad uszami. Mispun, rozpostarłszy wspaniałe skrzydła nad ścierwem karibu, rwał mięso tak żarłocznie, że Niua i Miki słyszeli odgłos darcia. Samka jego, Niuwisz, ukryła niemal cały łeb we wnętrzościach Atika.

Widok pierzastych potworów i dźwięk ich ucztę mogły wstrząsnąć nerwami nawet starego niedźwiedzia, toteż Niua tak się skulił za głazem, że jedynie część łba wystawała mu ponad krawędzią. W gardle szczeniaka zabulgotał ponury warkot. Zdławił go jednak i przywarował do ziemi. Krew ojca, wspaniałego myśliwca, buszowała w nim jak pożar. Padło karibu stanowiło jego własność i gotów był walczyć o nie. Poza tym, czyż tam w lesie nie poturbował olbrzymiej sowy? Teraz jednak sów było dwie. Ten fakt na krótką chwilę powstrzymał go od jakiegokolwiek działania, a tymczasem zaszedł nieprzewidziany wypadek.

Miki zobaczył nagle Mahigun, samotną wilczycę, która wypełzła chyłkiem z obramiających kotlinę niskich chaszcz. Miała zapadłe boki i krwawe ślepia, a puszysty jej ogon zwisał ku dołowi, zdradzając nieczne zamiary; przez niewielką otwartą przestrzeń sunęła cicho jak szary, złowieszczy cień. Choć wynędziała i z gruntu podła, nie była tchórzem. Skoczyła wprost na skrzydlatego samca z warknięciem i szczękiem kłów tak strasznym, że Miki mocniej przywarł do ziemi. Zatopiła głęboko kły w pierze i puch, które tworzyły warstwę grubą na cztery cale. Mispun, napadnięty zniemacka, byłby wnet poległ, gdyby nie Niuwisz. Samka wyciągnęła skrwawiony łeb z wnętrzości karibu i runęła na wilczycę z okropnym, chrapliwym wrzaskiem, nie dającym się porównać z głosem jakiegokolwiek innej istoty. Wpiła w kark Mahigun dziób i szpony aż wilczyca porzuciła pierwotną zdobycz, by rozprawić się z nowym napastnikiem. Mispun na razie ocalał, ale Niuwisz zapłaciła zań krwawo. Zręcznym chwytem szczęk uzbrojonych w długie kły, wilczyca po prostu urwała jedno z wielkich skrzydeł ptaka. Śmiertelny skrzekot Niuwisz zbudził żądzę odwetu w sercu Mispuna; samiec poderwał się w górę na skrzydłach, chwilę krążył w powietrzu, aż runął na kark wilczycy z takim impetem, że zwałił ją z nóg. Wpił ostre szpony głęboko pomiędzy jej żebra; rwał i szarpał wnętrzości z mściwym, nieubłaganym uporem. Mahigun poczuła tchnienie śmierci. Padła na grzbiet, tarzała się i przewracała po ziemi rycząc, charcząc, chwytając zębami powietrze, drąc wkoło pazurami. Mispun jednak trzymał krzepko, tarzając się wraz z nią, łomocąc olbrzymimi skrzydłami, pracując szpony coraz głębiej z zaciekłością, którą jedynie zgon mógł ukrócić. Opodał konała jego samka. Krew tryskała z otwartej rany, ale choć tchnienie śmierci zaciemniało już jej wzrok, Niuwisz czyniła jeszcze słabe wysiłki, by wziąć udział w walce. A Mispun, bohaterski do ostatka, nie rozluźniał chwytu, aż skonał.

Mahigun dowlokła się do skraju zarośli. Tam potrafiła się wreszcie uwolnić od trupa sowy. Ale ciężkie rany pozostały nadal w jej bokach. Ociekała posoką, brnąc w kierunku bardziej zwartej

gęstwy, a krwawy ślad znać jej przejście. O ćwierć mili od pola walki legła pod kępą karłowatych sosen i tam nieco później zdechła.

Dramat, którego byli świadkami, rozszerzył ogromnie horyzont Niuy i Mkiego. Dał im niezapomnianą mądrość doświadczenia, popartą wiekowym instynktem oraz spuścizną rasy. Obaj mordowali już drobne stworzenia: Niua — żuki, żaby i trutnie, Miki — królika, ale dopiero napięcie, jakie przeżyli, tragedia, oglądana na własne oczy, dała im nowy pogląd na sprawy bytowania.

Upłynęło sporo czasu, nim Miki zdecydował się postąpić naprzód i obwąchać zmarłą sowę. Nie chciało mu się teraz wcale szarpać jej piór w dziecinny upojeniu triumfem i dzikością. Wraz z nowym doświadczeniem zyskał nowy spryt i chytryść. Los Mispuna i jego samki pouczył go o bezcennej wartości milczenia i rozwagi; Miki rozumiał już, że na świecie jest wiele istot nie czujących przed nim lęku i wiele takich, które na jego widok nie zemkną. Przestał darzyć pogardą skrzydlate twory; wiedział, że ziemia należy nie tylko do niego i żeby zachować na niej skromne miejsce, trzeba walczyć tak, jak walczyła Mahigun oraz sowy. To ostatnie pojęcie zrodziło się w nim dzięki krążącej w żyłach krwi wojowniczych przodków, która niegdyś łączyła go z plemieniem wilczym.

Niua z tych samych zdarzeń wysnuł krańcowo różne wnioski. Rasa, z której pochodził, walczyła zazwyczaj jedynie z przedstawicielami własnego gatunku. Jego przodkowie nie opierali swego bytu na mordowaniu innych stworzeń; ich również nikt nie mordował dla mięsa. Grał tu rolę czysty przypadek, okoliczność, że żadne zwierzę północnych krain nie jest dość potężne, by w pojedynkę lub nawet gromadnie mierzyć się z dorosłym czarnym niedźwiedziem. Stąd Niua, patrząc na walkę Mahigun z sowami, nie nabrał bojowych doświadczeń. Zyskał jedynie zdwojoną rozwagę. Ale najbardziej obszedł go fakt, że wilczyca i ptaki nie zdążyły pożreć mięsa. Jego wieczerza istniała nadal. Bezpiecznie ukryty za złomami głazów, obserwował teraz dwójgim okrągłych ślepek, jak Miki zwiedza pole walki. Od trupa sowy szczeniak podszedł do ścierwa Atika, a stamtąd, ostrożnie węsząc, śladem rannej wilczycy dążył ku zaroślom. Na skraju chaszczy znalazł Mispuna. Nie poszedł już dalej, tylko zawrócił do Niuy, który tymczasem domyślił się, że można już wyjść bezpiecznie na otwartą przestrzeń.

W ciągu tego dnia Miki chyba z pięćdziesiąt razy rzucał się na ratunek spiżarni. Kanadyjskie sójki były najbardziej uprzykrzone. Dwukrotnie nadbiegał maleńki, popielaty gronostaj o oczach lśniących czerwono jak granaty. Miki przepędzał go tak zaciekle, że gronostaj nie powrócił już po raz trzeci. W południe wrony zwęszyły czy też dojrzały trupa i krążyły w powietrzu, oczekując, by Niua i Miki zechcieli się wreszcie oddalić. Później nieco, gromadnie obsiadłszy szczyty pobliskich drzew, rozpoczęły chrapliwym głosem donośny protest.

Tej nocy wilki nie odwiedziły kotliny. Wszędzie było moc mięsa i te spośród stada, które uczuły głód, daleko na zachodzie rozpoczęły nowe łowy. Niua i Miki parokrotnie słyszeli odległe wycie. Śród promiennej nocy, pełnej gwiazd, znowu wyteżali wzrok i słuch, zasypiając od czasu do czasu. O szarym świcie wzięli się znów do uczy.

Makoki, stary Indianin z plemienia Cree, byłby tu bez wątpienia wielbił obecność dobrego ducha. Bowiem szedł dzień za dniem, noc szła za nocą, a mięso Atika żywiło szczeniaka i niedźwiadka, rozwijając w nich niezwykle wzrost i siłę. Na czwarty dzień Niua stał się tak okrągły i spaśny, że ważył teraz niemal dwa razy więcej, niż kiedy wypadł z czółna. Miki również tył. Z daleka trudno by już było policzyć jego żebra. Pierś stała się szersza, a łapy straciły kanciastą koślawość. Na gnatach Atika rozwinał siłę szczęk. W miarę jak rósł fizycznie, czuł coraz rzadziej dziecinną chętkę zabaw, natomiast umacniał się w nim ruchliwy instynkt myśliwego. Czwartej nocy usłyszał ponownie przeciągły łowiecki zew wilczego stada i schwytał w nim dziką, przejmującą do głębi

nutę.

Co się tyczy Niuy, to zadowolenie i pogoda ducha szły dlań zawsze w parze z pełnym żołądkiem. Jak długo trwał zapas mięsa, daleki świat nie przedstawiał dlań żadnych pokus. Dwa lub trzy razy w ciągu dnia zstępował ku rzece; a rankiem i wieczorami, szczególnie zaś o zachodzie słońca, używał ślizgawki w dół zbocza. W dodatku urządzał sobie poobiednie drzemki w rozwidleniu konarów niewielkiej sosny. Ponieważ Miki nie znajdował w saneczkowaniu żadnej przyjemności, a nie umiał się gramolić na drzewa, począł spędzać coraz więcej czasu na wałęsaniu się u stóp wzgórza. Z przyjemnością zapewniłby sobie na te wycieczki towarzystwo Niuy. Ilekroć ruszał w drogę, zawsze najpierw zapraszał niedźwiadka do opuszczenia drzewa lub też próbował go odciągnąć z jedynej drogi, którą Niua wydeptał chodząc ku rzece i z powrotem.

Upór Niuy nigdy zresztą nie wywołałby między nimi prawdziwego rozłamu. Miki przywiązał się zbyt silnie do małego przyjaciela; gdyby zaś niedźwiadek uwierzył naprawdę, że szczeniak odejdzie i nie wróci, to bez wątpienia podążyłby wnet w ślad za nim.

Pierwszy poważny zatarg miał o wiele głębsze podstawy niż zwyczajna kłótnia. Poszło o to, że Miki należał do rasy zwierząt lubiących świeże mięso. Niua zaś jadł najchętniej dobrze odleżały pokarm. Otóż, począwszy od czwartego dnia, resztki Atika zaczęły się psuć. Na piąty dzień Miki uznał, iż jedzenie nie sprawia mu żadnej przyjemności; szóstego dnia nie mógł już mięsa przełknąć. Niua natomiast wyczuwał tym głębszą rozkosz, im ostrzejszy stawał się smak ścierwa i silniejszy jego zapach. Szóstego dnia, wielce uradowany, wytarzał się w gnijącym mięsie. Tej nocy Miki po raz pierwszy nie mógł spać obok niedźwiadka. Po tygodniu nastąpił kryzys. Woń Atika sięgała niebios. Ciepły czerwcowy wiatr roznosił zapach zgnilizny po całej okolicy, gromadząc niezliczone zastępy wron. Miki, jak sponiewierany kundel, powlókł się nad brzeg strumienia. Gdy Niua po obfitym rannym posiłku zeszedł ku wodzie, chcąc ugasić pragnienie, szczeniak obwąchał go podejrzliwie i co prędzej uskoczył w bok.

Prawdę mówiąc, między padłem karibu a niedźwiadkiem nie było obecnie prawie żadnej różnicy, z wyjątkiem tej, że Atik leżał bez ruchu, a Niua przenosił się z miejsca na miejsce. Obaj śmierdzieli okrutnie. Nawet wrony polatywały nad głową Niuy, zdziwione wielce, że rusza się, jakby żył jeszcze.

Tej nocy Miki spał sam jeden, opodal rzeczki, pod osłoną kępy krzewów. Był głodny, opuszczony i po raz pierwszy od wielu dni czuł pustkę i bezmiar świata. Pragnął towarzystwa Niuy. Skomlił z tęsknoty za nim w długie, gwiazdne a milczące godziny pomiędzy zmierzchem a świtem. Słońce stało już wysoko na niebie, gdy Niua zeszedł z pochyłości wzgórza. Skończył przed chwilą śniadanie i wytarzał się w gnijącym padle, toteż śmierdział gorzej niż kiedykolwiek. Miki zrazu próbował go namówić do porzucenia tych miejsc, ale Niua ani myślał rezygnować dobrowolnie z resztek mięsa. Tego dnia nawet szło mu o możliwie prędki powrót do kotliny. Od wczoraj już musiał starannie odganiać wrony od swego mięsa, a dziś ptaki kradły ze zdwojonym uporem. Toteż powitawszy szczeniaka przyjaznym pomrukiem i chrząknięciem, szybko zaspokoił pragnienie i pośpieszył na opuszczone stanowisko. Droga jego wiodła przez rumowisko skalne, spoza którego przed paru dniami obaj z Mikim obserwowali walkę wilczycy i sów. Na wszelki wypadek Niua zawsze przystawał na chwilę, ukryty za zwaliskiem głazów, by się upewnić, że na otwartej przestrzeni nic mu nie grozi. Tego ranka doznał silnego wstrząsu. Ścierwo Atika było wprost czarne od wron. Kekekiu wraz z całym stadem spadł z niebios jak chmura, a teraz ptaki walczyły ze sobą, biły skrzydłami i krakały tak donośnie, jakby je ogarnął atak szaleństwa. Nowa zgraja wisiała już w powietrzu; każdy krzak i każde drzewo w pobliżu uginały się pod ich ciężarem, a pióra czarne jak smoła lśniły w słońcu metalicznym połyskiem. Niua zgłupiał. Nie czuł trwogi; niejednokrotnie już

odganiał precz tchórzliwą bandę złodziejasków. Ale jeszcze nigdy nie oglądał ich w takiej ilości. Nie mógł nawet dojrzeć śladu swego mięsa. Ziemia wkoło była czarna.

Wybiegł zza skały, szczerząc zęby, tak samo jak kilkanaście razy przedtem. Ozwał się potężny łopot skrzydeł. Niebo pociemniało, a chrapliwy wrzask rozszedł się chyba o milę wokoło. Tym razem jednak Kekekiu wraz ze swą olbrzymią bandą nie umknął na skraj lasu. Liczebność napełniła wrony odwagą. Smak mięsa i jego woń upoiły je, doprowadzając niemal do obłędu. Niua doznał zawrotu głowy. Ptaki szybowały w górze tuż nad nim, krążyły ze wszystkich stron, polatywały blisko, kracząc i wrzeszcząc, a co odważniejsze były go w przelocie skrzydłami. Groźna chmura gęstniała w oczach i raptem niby lawina opadła w dół. Pokryła znów całe ścierrwo. Niua omal że nie został zgnieciony. Przywaliły go niezliczone ciała i skrzydła, więc począł walczyć, jak walczył w lesie z sową. Dziesiątki ostrych dziobów sięgały po jego skórę i kudły; inne znów mierzyły w oczy; zdawało mu się, że wydzierają mu uszy ze łba, a koniec nosa zbrzękł momentalnie i spłynął krwią. Niedźwiadkowi dech zaparło; oślepl, zgłupiał i w każdym calu swej osoby czuł dojmujący ból. Zapomniał o mięsie. Pragnął tylko jednej rzeczy na świecie: możliwości ucieczki.

Wyteżając całą energię, zdołał powstać i runął naprzód poprzez żywy, skrzydlaty zator. Wobec tak oczywistej kapitulacji część wron opuściła go w jednej chwili, przyłączając się do uczty. Nim Niua przebył połowę drogi dzielącej go od kępy, gdzie w swoim czasie umknęła Mahigun — porzucili go wszyscy prześladowcy prócz jednego. Tym jednym był przypuszczalnie sam Kekekiu. Uczepił się dziobem krótkiego ogonka Niuy i wisiał tak, podczas gdy Niua gnał co siły w nogach. Kekekiu nie rozluźnił chwytu, aż niedźwiadek znalazł się w gąszczu. Wtedy puścił ogon, wbił się ku górze i wrócił do braci uczujących nad padliną.

Nigdy jeszcze Niua nie tęsknił za Mikim tak, jak teraz. Cały jego światopogląd uległ znowu gruntownej zmianie. Był okropnie obolały. Palił go żywy ogień. Nawet podeszwy łap piekły, gdy stapał; toteż dobre pół godziny spędził ukryty pod krzakiem, liżąc rany i węchem szukając Mikięgo. Potem zlął w dół zbocza ku rzeczce i pośpieszył do tropu, który wydeptał w swoim czasie, chodząc stale tą samą drogą do wodopoju. Próżno jednak starał się odnaleźć przyjaciela.

Mruczał i chrząkał próbując uchwycić w powietrzu znajomą woń. Biegał tam i z powrotem nad brzegiem strugi. Atik zobojętniał mu do szczętu.

Miki znikł.

CZŁOWIEK

Miki w oddaleniu pół mili słyszał donośne krakanie wron. Ale nie miał wcale chęci wracać i nie wróciłby, nawet gdyby wiedział, że Niua potrzebuje poparcia. Po długim poście był

bardzo wygłodniały i na razie miał wyraźnie określony plan działania. Gotów był zadrzeć z każdą napotkaną istotą, nie licząc się z jej wzrostem, byle tylko należała do rzędu jadalnych. Uszedł jednak dobrą milę, nim napotkał marnego raka. Schrupał go wraz z pancerzem. Niesmak, który poprzednio czuł w pysku, częściowo ustąpił. Ten dzień miał go obdarzyć niezapomnianym przeżyciem. Teraz, gdy znalazł się zupełnie sam, wspomnienie Challonera nie było już znów tak mgliste jak poprzednio. W miarę jak upływał ranek, a nadchodziło południe, Miki coraz częściej myślał o swym panu. Podniecenie, wywołane nadzieją przygód, minęło. Czuł się bardzo samotny. Wahał się kilkakrotnie i gotów był niemal wrócić do Niuy. Ale głód zawsze zwyciężał, pchając go dalej. Znalazł jeszcze dwa raki. Potem rzeczulka stała się głębsza, a ciemny nurt zwolnił biegu. Miki gonił dwukrotnie stare króle, ale te umknęły przed nim bez trudu. Raz omal że nie złapał młodego królika. Przepiórki, trzepocąc skrzydłami, porywały się często spośród traw. Widział sójki i wiewiórki. Wszędzie wokoło było mięso, którego nie mógł dostać. Wreszcie jednak los uśmiechnął się do niego.

Wsunąwszy łeb w dziuplę powalonego pnia, zdybał królika z tak bliska, że ten w żaden sposób nie mógł uciec. Wnet też Miki zabrał się do uczy, pierwszej od trzech dni. Był tak pochłonięty jedzeniem, że nie zauważył przybycia nowego stworzenia. Nie dosłyszał nadejścia wydry Uczak i nie zwęszył jej na razie. W naturze Uczaka nie leżało robienie awantur. Z urodzenia i przekonania był on myśliwym i dżentelmenem, toteż gdy zobaczył Mikię (którego wziął za młodego wilka), pozerającego świeżą zdobycz, nie próbował nawet uzyskać dla siebie części mięsa. Nie próbował też uciec. Bez wątpienia, w krótkim czasie ruszyłyby w swoją drogę, gdyby nie to, że Miki zwierzył wreszcie jego obecność i spojrział nań.

Uczak nadszedł z drugiej strony pnia i stał oddalony zaledwie o dwa metry. Dla kogoś, kto wiedział o wydrach tak mało jak Miki, nie było w tym zwierzątku nic groźnego. Przypominał pokrewne sobie: łasicę, kunę i skunksa. Długością ciała dorównywał szczeniakowi, ale był odeń o połowę niższy, toteż jego łapy robiły wrażenie koślawych jak łapy jamnika. Ważył zapewne osiem do dziesięciu funtów i miał krągły łeb, prawie pozbawiony uszu. Miał też puszysty ogon i maleńkie oczki, świdrujące zda się każdy przedmiot. W jego nagłym pojawieniu się Miki wyczytał wyzwanie i groźbę. Zresztą Uczak wyglądał na słabego przeciwnika, toteż szceniak obnażył kły i warknął.

Uczak przyjął to jako wezwanie do oczyszczenia placu, a ponieważ zwykł po dżentelmeńsku szanować cudze prawa, bez zwłoki zabrał się do odwrotu. To przekraczało granicę pojęć Mikię, który nie znał jeszcze etykiety leśnych szlaków. Uczak zląkł się! Uczak ucieka! Miki szcęknął triumfalnie i skoczył w pogoń. Prawdę mówiąc, był to krańcowo mylny sąd, bowiem Uczak, jakkolwiek nie wchodzący zazwyczaj w drogę innym, należał do najdzielniejszych małych zapaśników Ameryki Północnej.

Miki nie mógł nigdy dobrze pojąć, co właściwie zaszło w ciągu następnych paru sekund. Ściśle biorąc, nie była to nawet walka; była to jednostronna klęska, zupełny pogrom. Wydało mu się w pierwszej chwili, że zaatakował nie jedną wydrę, ale cały tuzin. Potem przestał rozumować, a nawet widzieć cokolwiek. Został pokiereszowany tak, jak nigdy przedtem ani później w życiu. Był podarty, pocięty, zбитy; był zdławiony i poszarpany. Był zmasakrowany tak okropnie, że choć Uczak się oddalił, Miki jeszcze leżał na grzbiecie, gmerając łapami w powietrzu; nie wiedział na razie, że zło już minęło. Wreszcie otworzył oczy, zobaczył, że jest sam, i wpęłzył do dziupli, w której poprzednio zdybał królika.

Przeleżał tam dobre pół godziny, próżno starając się zrozumieć, co właściwie zaszło. Gdy wygramolił się z dziupli, słońce opadało już ku zachodowi. Kulał. Jedyne całe ucho miał przegryzione na wylot. Tu i ówdzie, w miejscach, gdzie Uczak zdarł mu sierść, świecił nagą łysiną. Bolały go kości, w gardle zaschło, a nad okiem tkwił potężny guz. Tęsknie spojrział wstecz, na szlak

wiodący ku „domowi”. Tam był Niua. Wraz z wieczornym zmierzchem ogarnęła Mikięgo straszna samotność i chęć powrotu do małego przyjaciela. Ale tą drogą właśnie oddalił się Uczak, a Miki nie miał najmniejszej chęci spotkać się z nim na nowo. Pokulał tedy na południowy wschód i uszedł może z ćwierć mili zaledwie, gdy słońce ostatecznie zgasło. W gęstniejącym mroku dotarł do przejścia Big Rock, wiążącego z sobą Beaver i Loon. Nie był to nawet utarty szlak. Z rzadka jedynie używali go podróżnicy nadchodzący z północy, gdy chcieli się przedostać z jednej rzeki do drugiej. Wilcze nozdrza najwyżej trzy lub cztery razy do roku mogły tu ułować woń ludzką. Ale tej nocy trwał tak wyraźny zapach człowieka, że Miki stanął raptem, jakby mu nowy Uczak zastąpił drogę. Potężne wzruszenie na chwilę zmieniło go w kamień. Wszystko poszło w niepamięć wobec faktu, że znalazł trop ludzki, zatem trop swego pana Challonera. Podążył tropem na razie dość wolno, jakby się bojąc, że mu ta woń ucieknie. Zapadła noc, a Miki wciąż szedł. Przy świetle gwiazd trwał nadal w uporze, wyzuty z wszelkich innych uczuć, prócz psiej tęsknoty za panem. Wreszcie dotarł niemal do koryta Loon i tu ujrzał ognisko Indianina Makoki oraz białego wędrowca.

Nie skoczył naprzód. Nie szczekał, nie skomlał; ciężka szkoła, którą przeszedł w leśnej głuszy, odbiła na nim swoje piętno. Zbliżał się wolno, potem stanął i przywarował tuż u krawędzi świetlnego koła. Teraz dopiero spostrzegł, że żaden z ludzi nie jest Challonerem. Ale obaj ćmili fajki, jak to w swoim czasie czynił Challoner. Słyszał ich głosy podobne do głosu Challonera. I obóz był taki sam: ogień, zawieszony ponad nim kociołek, namiot oraz woń świeżo gotowanego jada rozsnuta w powietrzu.

Jeszcze chwila i Miki byłby wpętlzył w obręb światła. Ale biały człowiek wstał raptem, przeciągnął się wzorem Challonera i ujął w dłoń kij długości ludzkiego ramienia. Postąpił parę kroków i znalazł się o trzy metry od szczeniaka, a Miki wykonał lekki ruch naprzód i stanął na łapach. Ten ruch wprowadził go w świetlne kolisko. Oczy jego zabłyśły odbiciem ognia. I człowiek dojrzał Mikięgo.

Błyskawicznie zawinął kijem ponad głowę; kij wyleciał w powietrze jak z procy. Gdyby trafił celnie, Miki zginąłby na miejscu. Ale grubszy koniec minął szczeniaka, a cieńszy zawadził jedynie o kark. Miki odleciał wstecz i w ciemność tak gwałtownie, że człowiek był pewien, iż go zabił. Krzyknął więc głośno do Indianina, że udało mu się dostać młodego wilka czy też lisa, i skoczył w las na poszukiwanie zwierzyny.

Siła ciosu rzuciła szczeniaka pod zwarty splot gałęzi karłowatej jodły. Leżał tam nie wydając najmniejszego dźwięku, chociaż w zranionej łopatce czuł straszny ból. Widział, jak człowiek pochyła się, by podjąć z ziemi kij. Widział, jak nadbiega Makoki z nowym kijem w rękę, skulił się więc pod gałęziami jeszcze bardziej. Przejmował go lęk, teraz bowiem rozumiał już prawdę. Żaden z tych dwu nie jest Challosierem. Pojął też, co znaczy kij. Kości miał niemal przetrącone. Leżał cichutko, kiedy ludzie szperali w krąg. Indianin wsunął nawet swój kij między zwartą jedlinę. Biały twierdził uparcie, że na pewno dobrze trafił, a raz stanął tak blisko, że nos szczeniaka dotykał prawie jego nóg. Potem wrócił do ogniska i dorzucił doń naręcze brzoźowego suszu, aż płomień buchnął wyżej, dając jaskrawe światło. W Mikim zamarło serce. Ale ludzie szukali teraz w innej stronie i wreszcie wrócili do obozu.

Miki trwał dobrą godzinę bez ruchu. Ogień przygasł. Stary Cree owinał się kocem, a biały podróżnik wszedł do namiotu. Dopiero wtenczas Miki odważył się wyleźć z ukrycia. Kulejąc co krok z powodu obolałej łopatki, umykał z powrotem po tym samym szlaku, którym niedawno biegł z taką nadzieją. Woń człowieka nie budziła już w jego sercu radosnych dreszczy. Niosła groźbę, przestrogę. Chciał uciec przed nią. Wolał raczej stawić czoło sowom lub wydrze niż ludziom zbrojnym w kije. Z tamtymi mógł walczyć, ale kij miał nad nim przygniatającą przewagę. Noc była ogromnie cicha, gdy

dobrnął do spróchniałego pnia, w którego dziupli zabił królika. Wlażł do wnętrza i aż do świtu lizał swoje rany. O wczesnym brzasku wyszedł z dziupli i zjadł resztki mięsa. Potem spojrzął na północny zachód, gdzie przebywał Niua. Nie wahał się już. Chciał zobaczyć niedźwiadka i oblizać jego pyszczek, choćby nawet śmierdział po dawnemu. Chciał słyszeć jego przyjazny pomruk i zabawne pochrząkiwanie; chciał polować z nim wspólnie, bawić się i usnąć razem w słonecznym cieple. Odnalezienie Niuy stało się dlań obecnie koniecznością życiową.

Ruszył w drogę.

A Niua, daleko w górze rzeczulki, uparty i pełen nadziei, szedł tropem Mikięgo. Spotkali się na otwartej łące, pełnej słońca, w połowie odległości między spróchniałym pniem a kotliną. Nie było żadnego niezwykłego okazywania uczuć. Stanęli i chwilę przyglądali się sobie wzajem, jak gdyby chcąc nabrać pewności, że nie zachodzi tu żadna pomyłka. Niua chrząknął, Miki machnął ogonem. Obwąchali sobie nosy. Niua kwiknął cichutko; Miki zaskomlił. Jak gdyby jeden drugiemu rzekł:

— Dzień dobry, Miki!

— Dzień dobry, Niua!

Potem Niua legł w cieple słonecznym, a Miki rozpląszczył się obok. Świat był jednak piękny. Co prawda czasem coś się w nim zepsuło, ale ostatecznie najgorsze nawet dało się naprawić. Dziś na przykład wszystko szło jak najlepiej. Raz jeszcze byli przyjaciółmi i było im dobrze.

BITWA W PAROWIE

W całej krainie Kiwatin, jak długa i szeroka, panowało senne, upalne lato, zwane przez Indian porą „ulatującego w górę księżycy”.

Od zatoki Hudsona po Athabaskę i od Wysokiego Kraju po wielkie barren — lasy, łąki i mokradła trwały w cichej martwocie zarówno podczas słonecznych dni, jak i wśród gwiazdzistych sierpniowych nocy. Księżyc na niebie rósł w oczach, a dołem wszelkie dzikie istoty wchodziły raz jeszcze w swoje prawa. Bowiem ścieżek tej ziemi, rozesłanej tysiącem mil ze wschodu na zachód i z północy na południe, nie deptały ludzkie stopy. W faktoriach Kompanii Zatoki Hudsona, rozsianych tu i ówdzie po bezmiernym państwie szponów i kłów, zgromadziły się setki traperów i myśliwych wraz z żonami i dziećmi, by wypaść się, naplotkować i zabawić przez tych kilka tygodni ciepła i dobrobytu, nim nadejdzie nowa zima pełna dramatów i walk. Dla leśnych ludzi było to Mukusewajn, wielkie doroczne święto. Teraz właśnie zaciągali po faktoriach nowe długi, ustalali nowy kredyt, kochali się i zawierali małżeństwa oraz tyli w lenistwie, na zapas, przed długim pasmem zimnych, głodnych i ponurych dni. I dlatego właśnie dzikie bractwo chwilowo rządziło swoją krainą. W całej kniei nie ułowiłbyś zapachu człowieka. Ustały ludzkie łowy. Sidła nie chwytały zwierzęcych łap; nie

nęciły zwierząt zdradzieckie, zatrute przynęty. Na jeziorach i mokradłach ptactwo radosnym świergotem lub kwakaniem porozumiewało się z młodzieżą, próbującą właśnie mocy skrzydeł. Rys igrał z kociętami i nie przerywał zabaw, by niespokojnie szukać w powietrzu ludzkiej woni. Łosza wiodła otwarcie swoje cieleta w chłodną toń jeziora. Rosomak i kuna biegały po dachach pustych chat. Bóbr i wydra pluskały się radośnie w ciemnych toniach. Szczebiotały ptaki i ponad całym krajem stała dźwięczna pieśń przyrody, czyniąc go takim, jakim zapewne pragnął go mieć Stwórca. Przyszły na świat nowe pokolenia leśnych istot. Był to okres młodzieńczy. Dziesiątki i setki tysięcy zwierząt rozpoczynały pierwszą fazę zabaw, brały pierwsze lekcje i rosły chyżo, by w pełni sił spotkać grozę pierwszej w życiu zimy. A dobry duch leśny, wiedząc, co je czeka, raczył je teraz hojnie. Wszędzie panowała obfitość jadła. Czernice, jeżyny, jarzębiny i sesketun już dojrzały; drzewa i krzewy uginały się pod ciężarem owoców. Po wiosennych deszczach trawa była zielona i soczysta. Słodkie bulwy oraz kłącza wyglądały nad murawą. Okołą błot i brzegi jezior roiły się od smacznego jadła. Dzięki temu Niua i Miki żyli w nieskończonej i nie kończącej się nigdy radości. W to sierpniowe południe leżeli obaj na słonecznym złomie skały uniesionym ponad cudowną doliną. Niua, wypchany słodkimi czernicami, spał mocno, Miki, lekko mrużąc oczy, patrzył w głąb doliny owianej złotą mgiełką. Z dołu dochodził perlisty szmer strumienia płynącego wśród skał i przez zwirowe mielizny, a łączyła się z nim tęskna gęźba całej ziemi. Miki drzemał z pół godzinki, aż przecknął się zupełnie.

Spojrzał bystro przed siebie. Potem zwrócił oczy na Niuę, który leniwy i tłusty spałby chętnie do wieczora. Jedynie interwencja Mikięgo utrzymywała go niemal w ciągłym ruchu. I teraz również Miki szczeknął ostro raz i drugi, a potem szarpnął niedźwiedzia za ucho.

— Zbudź się! — mówił. — Czyż warto spać w taki dzień jak dziś? Chodź, pójdziemy w dół strumienia i zapolujemy po drodze!

Niua wstał, rozprostował tłuste ciało i ziewnął. Małymi ślepkami sennie objął dolinę. Miki ruszył naprzód i wydał cichy, lękliwy skowyt, którym zawsze objawiał chęć ruchu. Niua odpowiedział przyjaznym chrząknięciem i obaj poczęli zstępować w dół zielonego stoku, ku żyznej łące leżącej pośród dwu zboczy.

Niua i Miki mieli teraz każdy około sześciu miesięcy, a jeśli szło o wzrost, przestali niemal być szczeniakiem i niedźwiadkiem. Byli to już prawie niedźwiedź i pies. Niezdarne łapy Mikięgo jęły przybierać określoną formę; pierś mu się wypełniła; ogromny łeb i potężne szczęki nie raziły w zestawieniu z szerokim karkiem; dalej zaś rosło póty wzwyż i wzdłuż, aż stał się niemal dwukrotnie większy niż przeciętny pies w jego wieku. Niua stracił okrągły, klockowaty wygląd, chociaż wciąż jeszcze, o wiele bardziej niż Miki, ujawniał wiek młodzieńczy. Jednakże nie lubił już tak bardzo spokoju jak za dziecinnych czasów. Krew Suminitika wchodziła w swoje prawa. Teraz Niua w czasie walki nie myślał wyłącznie o bezpiecznej kryjówce, uciekał tylko wtedy, gdy ponura konieczność zmuszała go do tego. Prawdę mówiąc, wbrew niedźwiedziej naturze lubił bitwy. Zresztą Miki prześcigał go pod tym względem. Obaj byli pokryci bliznami, które mogły stanowić dumę każdego weterana. Dzioby wron i sów, kły wilka i pazury wydry pozostawiły na nich ślady, a Miki nosił na karku ośmioocalową łysinę, pamiątkę po zębach rosomaka.

Z biegiem czasu w zabawnym okrągłym łbie Niuy wzrosła przemożna chęć, by zmierzyć się raz wreszcie z przedstawicielem własnego gatunku. Dwukrotnie nadarzyła mu się już okazja, ale nie mógł jej wykorzystać, gdyż spotykane niedźwiadki znajdowały się, jak dotąd, zawsze w towarzystwie matek. Toteż obecnie, ilekroć Miki ruszał w dalszą włóczęgę, Niua dążył za nim pchany innym pragnieniem, nie tylko, jak bywało dawniej, chęcią żeru. Nie znaczyło to jednak, że Niua stracił apetyt. Bynajmniej. Mógł zjeść więcej w ciągu dnia, niż Miki zjadał w ciągu trzech,

głównie dlatego, że Mikiemu wystarczały dwa lub trzy posiłki dziennie, gdy tymczasem Niua wolał jeden, ciągnący się bez przerwy od świtu do zmroku. W drodze cały czas coś żuł.

O ćwierć mili w dół zbocza, w kamienistym parowie, którego dnem sączył się wąski strumień, rosły najpiękniejsze dzikie porzeczeki, jakie tylko można było znaleźć w całej krainie Shamattawy. Wielkie jak wiśnie, czarne jak atrament, napęczniałe słodkim sokiem wisiały w tak obfitych gronach, że Niua mógł je zgarniać pełną paszczą. We wszystkich kniejach Północy nie ma nic równie dobrego jak owe dobrze dojrzałe czarne porzeczeki, toteż Niua uważał, że parów, w którym one rosną tak hojnie, stanowi jego wyłączną własność. Miki również nauczył się łykać jagody. Poza tym znajdował tu moc innych smacznych rzeczy. Jar roił się od kuropatw i królików, dzikich kur o delikatnym i aromatycznym mięsie, które dały się łowić niezmiernie łatwo, oraz koszatek i wiewiórek. Obaj przyjaciele szli teraz w kierunku parowu, gdyż porzeczeki można było jeść, nawet mając pełny żołądek.

Dziś, ledwo poczęli łykać pierwsze soczyste grona, dobiegł ich dźwięk, który nie budził żadnych wątpliwości. W jednej chwili każdy poznałby, o co chodzi. O kilkadziesiąt jardów w górę parowu ktoś obierał krzaki z porzeczek. Jakiś złodziej zakradł się do skarbcza, toteż Miki natychmiast obnażył kły, a Niua zmarszczył nos, sapiąc groźnie. Ostrożnie jęli się posuwać naprzód, aż doszli do niewielkiej otwartej przestrzeni, gładkiej jak stół. Śród tej polany znajdowała się mała kępa krzaków wprost czarna od jagód. U stóp porzeczek, szeroko rozparty, garnąc ramionami ciężkie gałęzie, siedział młody, czarny niedźwiedź, czterokrotnie prawie wyższy niż Niua.

Niua, ogarnięty szałem i rozpaczą, nie zważał w tej chwili wcale na wzrost przeciwnika. Czuł się jak człowiek, który po powrocie do domu zastał mieszkanie i mienie we władzy intruza. Poza tym mógł teraz stanąć do walki z osobnikiem własnej rasy, a to pragnienie od dawna nosił w sercu. Miki jak gdyby zrozumiał to wszystko. Zazwyczaj on pierwszy rozpoczynał bój; nim Niua zdołałby uczynić pierwszy krok, Miki już by zawisł u gardła bezczelnego złodziejaska. Teraz jednak coś trzymało go na miejscu, za to Niua runął naprzód jak czarny pocisk i gruchnął wprost w żebra nie spodziewającego się napaści wroga.

Stary Makoki z plemienia Cree, widząc ten atak, wnet znalazłby imię dla drugiego niedźwiedzia. Nazwałby go „Pitute--wepis-kum, co znaczy dosłownie „Zbity z nóg". Może w skróceniu nadałby mu imię — Pit.

Pit, zaskoczony zniecka, z pyskiem pełnym jagód, uległ gwałtownej napaści i przewrócił się jak zbyt wyładowany wóz. Na razie jego klęska była tak widoczna, że Miki, w skupieniu przyglądający się jej z boku, nie mógł powstrzymać radosnego szczeknięcia. Porzeczeki sypały się jeszcze z rozdziawionej mordy Pita i nie zdążył zrozumieć, o co chodzi, a już Niua capnął go za gardło i rozpoczęła się komedia.

Niedźwiedzie, zwłaszcza młode, mają odrębny rodzaj walki. Przypomina to nieco darcie kudłów między dwiema niewiastami o gorącej krwi. Nie ma tu żadnych przyzwyczajęń ani żadnych praw. Gdy Niua i Pit wzięli się za bary, obaj puścili w ruch tylne łapy i zaraz strzępy futra jęły fruwać w powietrzu. Pit, leżąc na grzbiecie, znajdował się w świetnej pozycji i wnet zyskałby przewagę, gdyby nie to, że Niua trzymał go za gardło. Niua wpijał kły jak najgłębiej i zaciekle darł wroga ostrymi pazurami. Na widok latających z wiatrem kudłów Miki przysunął się nieco bliżej i patrzył radośnie.

Potem Pit jął pracować jedną łapą, w minutę później drugą i kły Mikiego szczeknęły kurczowo. Obaj wojacy tarzali się to tu, to tam, Niua uwieszony był wciąż u gardła przeciwnika, ale żaden z nich się nie odezwał. Żwir i gałązki fruwały zmieszane z kłakami sierści. Kamienie z trzaskiem toczyły się w dół parowu. Nawet powietrze drżało jakby podniecone walką. W wyczekującej postawie Mikiego widać było teraz podejrzliwość i niepokój. Gdy osiem kudłatych łap szarpało i

darło wściekle, gdy dwaj zapaśnicy tarzali się, skręcali i wiercili jak oszalałe skrzydła wiatraka, było prawie niepodobieństwem orzec, kto bierze gorsze lanie: Niua czy Pit. W każdym razie Miki trwał parę chwil w niepewności. Potem poznał głos Niuy. Był bardzo słaby, ale czuło się w nim wyraźnie nutę bólu.

Zduszony teraz pod ciężkim ciałem Pita, Niua jął wreszcie pojmować, że zadarł z mocniejszym od siebie. Grał tu rolę jedynie wiek Pita, nie zaś jego bojowe zdolności, gdyż Niua był niezaprzeczenie lepszym szermierzem. Walczył zapalczywie, wierząc w zmienny uśmiech fortuny, aż wreszcie Pit począł mu obrabiać boki tak zaciekle, że gdyby nie Miki, Niua w ciągu najbliższych paru minut zostałby odarty ze skóry.

Jeszcze chwila i Miki capnął Pita za ucho. Był to straszny chwyt. Nawet stary Suminitik ryknąłby z bólu. Pit zawył rozpaczliwie. Zapomniał o całym świecie, wiedząc jedynie, że coś drze mu ucho na strzępy. Lament jego bił w niebo nieprzerwaną burzą dźwięków i Niua wiedział, że Miki wystąpił już czynnie.

Wygramolił się więc spod ciała młodego rabusia, a był po temu najwyższy czas: mknąc w dół parowu jak wściekły bawół gnała matka Pita. Niua uskoczył w bok niby zając w chwili, gdy miała go już trzepnąć. Cios chybił i stara niedźwiedzica ruszyła na ratunek sponiewieranego syna. Miki, radośnie uczepiony swej ofiary, dostrzegł niebezpieczeństwo dopiero wtedy, gdy oszalała samka siedziała mu już niemal na karku. Zobaczył ją w chwili, gdy długą łapą zamachnęła się nań jak cepem.

Nurknął w bok, a cios, przeznaczony dla niego, trafił z taką siłą w łeb nieszczęsnego Pita, że ten potoczył się jak piłka dwadzieścia jardów w dół parowu.

Miki nie czekał dłużej. Jak błyskawica wpadł w gąszcz porzeczek i wrywał w ślad za Niuą. Razem znaleźli się na łące i w ciągu dobrych dziesięciu minut nie zwolnili biegu o tyle, by móc spojrzeć wstecz. Gdy wreszcie przystanęli, parów leżał już o milę. Siedli, ciężko dysząc. Czerwony ozorek Niuy wiewał mu u zziąjanego pyska. Był skrwawiony i cały pokryty szramami, a wydarte kudły zwisały mu po bokach. Gdy spojrzał na Mikięgo, w bolesnych jego ślepkach było smętne wyznanie gorzkiej prawdy: Pit odniósł nad nim zwycięstwo.

WIELKA PRZEMIANA

Po bitwie w parowie Niua i Miki zrezygnowali już z rajy pełnego słodkich czarnych porzeczek. Miki był typowym włóczęgą od końca ogona po czubek nosa i wzorem dawnych nomadów czuł się szczęśliwy jedynie wtedy, gdy wędrował z miejsca na miejsce. Dzika kraina wywarła na nim swoje piętno, odcisnęła niezatartą pieczęć na jego duszy i ciele, więc na równi z Niuą unikał w

owym czasie zbliżania się do osiedli ludzkich. Ale w życiu zwierząt, zarówno jak w życiu ludzi, przeznaczenie gra dominującą rolę, toteż zaledwie wkroczyli obaj w obręb krainy wielkich rzek i jezior, rozpoczął się dla Mikiego najcięższy bodaj okres istnienia.

U schyłku lata oraz wczesną jesienią Miki i Niua spędzili sześć cudownych, słonecznych tygodni w zachodnich połaciach kraju. Szli w stronę Jackson's Knee, Touchwood, Clearwater i jeziora O'God. Zobaczyli wiele ciekawych rzeczy. Dłoń natury uczyniła z tych stron prawdziwe królestwo dzikich istot. W ciemnych, milczących zakątkach spotykali wielkie żeremia bobrowe; przyglądali się igrającym wydrom; widywali tak często stada karibu i łosi, że nie obawiali się już ich wcale, lecz otwarcie brnęli środkiem łąk lub brzegiem moczarów, gdzie pasły się ogromne zwierzęta. Miki poznał wielką prawdę, że pazury i kły stworzone są po to, by żyć kosztem rogów i racic, wilki bowiem snuły się tu w znacznej ilości bądź stadami, bądź pojedynczo i częstokroć napotymano ślady ich mordów, a częściej jeszcze słyszano dziki zew łowiecki. Od czasu przygody z Mahigun, Miki nie tęsknił do ich towarzystwa. Niua zaś nie upierał się wcale, by długo pozostawać obok znalezionej padliny. Niedźwiedź czuł instynktownie nadchodzącą Kueski-Hao, czyli Wielką Przemianę.

Aż do pierwszych dni października Miki nie dostrzegł w towarzyszcu prawie żadnych zmian. Tylko w miarę jak chłodziły noce i jesień wyraźniej snuła się w powietrzu, Niua stawał się mniej ocieżały. Teraz już on kierował stale wspólną wędrówką i wciąż zdawał się czegoś szukać, jakiejś wielce tajemniczej rzeczy, której Miki nie umiał ani wyczuć, ani dojrzeć. Nie przesypiał już nigdy wielu godzin z rzędu. W połowie października przestał niemal w ogóle sypiać, lecz włączył się dniem i nocą i jadł, jadł bez ustanku, a jednocześnie wciąż węszył w poszukiwaniu czegoś, co instynkt nakazywał mu odnaleźć. Niestrudzenie bobrował wśród zwałów drzew, między skałami; Miki deptał mu po piętach, gotów każdej chwili do walki z owym czymś tropionym przez Niue. Lecz pozostało ono nadal nieuchwytnie.

Potem Niua skręcił na wschód, Wracał ku krainie swej matki Nuzak i swego ojca Suminitika. Miki nie odstępował go na krok. Noce stały się jeszcze chłodniejsze. Gwiazdy jakby uciekły wyżej, a księżyc świecił mniej krwawo. Rankiem ludzie wyglądali ciekawie z wnętrza wigwamów lub chat, wciągali w nozdrza mroźny powiew, a potem nurzali sidła w rybim tłuszczu czy w sadle bobrowym, szyli zapasowe mokasyny, naprawiali sanie i rakiety śnieżne. Mokra dła przycichły. Łosza nie nawoływała już swoich cieląt. Natomiast na polanach i łąkach brzmiał wyzywający ryk samców, a nocą pod lśnieniem gwiazd rozlegał się śmiertelny łoskot rogów. Wilk przestał głośnym wyciem obwieszczać swą obecność. W stąpaniu miękkich łąp czaiła się łowiecka rozwaga. Cała knieja jak długa i szeroka tętniła szkarłatną krwią.

Wreszcie nastąpił listopad.

Miki nie miał, zdaje się, nigdy zapomnieć dnia, w którym ujrzał pierwszy śnieg. Na razie myślał, że wszelkie skrzydlate twory potraciły jednocześnie pióra i puch. Potem uczył pod stopami miękkie, aksamitne dotknięcie i chłód. Krew poczęła w nim krążyć szybciej i goręcej; doznał dzikiego szczęścia, bezmiernej radości, napełniającej wilcze serca wraz z nadejściem zimy.

Na Niue śnieg podzielał zupełnie inaczej. Nawet Miki wyczuł różnicę i zalękniony trochę, trochę niepewny, czekał na to, co miało nadejść. Tegoż dnia niedźwiedź począł wyczyniać rzeczy dziwne i niezwykle. Jadł strawę, której dawniej nigdy nie tknął. Zgarniał i łykał miękkie sosnowe igły. Żarł próchno wygrzebane ze zmurszałych pni. Potem wszedł w przepastną wyrwę, która przecinała na dwoje skaliste zbocze góry, i znalazł wreszcie to, czego szukał. Była to jaskinia głęboka, ciemna i ciepła.

Przyroda czyni dziwne rzeczy. Ptakom daje oczy, jakich nie posiada żaden człowiek, a czworonożne istoty obdarza instynktem, który nie będzie nigdy ludzkim udziałem: Niua, aby odbyć

pierwszy sen zimowy, wrócił do tej samej jaskini, w której przed dziewięciu miesiącami przyszedł na świat. Znajdowało się tu wciąż jeszcze jego dawne leże — wgłębienie w miękkim piasku, wysłane kudłami Nuzak; ale zapach matki znikł. Niua ułożył się w swej dziecinnej kołysce i po raz ostatni chrząknął łagodnie pod adresem przyjaciela. Czuł prawie na sobie miękki dotyk niewidzialnej dłoni, która pieściwie a jednak stanowczo nakłaniała go do snu. Nie mógł się już uchylić od tego nakazu i mówił teraz Mikiemu dobranoc.

Tej nocy z północnych stron nadleciała pajpu kestin, czyli pierwsza śnieżycą. Wraz z nią przybył wiatr, który wył jak tysiąc bawołów, i w całej kniei żadne zwierzę nie opuściło swego legowiska. Miki słyszał nawet w głębi pieczary, jak huragan grzmi i zawodzi, jak kłęby śniegu biją w skały u wejścia — i tulił się do boku Niuy, ogromnie rad, że mają tak dobrą kryjówkę. Rankiem podszedł do wyrwy i zdziwił się tak dalece, że nie mógł nawet wydać głosu, lecz stał i patrzył na świat zupełnie inny niż ten, który oglądał wczoraj. Wszędzie królowała oślepiająca biel. Słońce już wzeszło, rażąc oczy Mikięgo tysiącem migotliwych strzał. Ziemia, jak okiem sięgnąć, okryta była diamentowym płaszczem. Ze skał, z drzew i krzewów biły płomienie; ogień lśnił w konarach zgiętych pod ciężarem śniegu; dolinę zalewało morze tak jaskrawego światła, że niezamarzły strumień, płynący jej środkiem, wydawał się czarny. Miki nigdy jeszcze nie oglądał tak pięknego dnia. Jeszcze nigdy serce nie biło mu na widok słońca tak silnie jak dziś, a krew nie pulsowała tak dziką radością.

Zaskowyczał i pobiegł z powrotem do Niuy. Szczeknął w głąb jaskini, a potem trącił niedźwiedzia nosem. Niua chrząknął sennie. Przeciągnął się nieco, uniósł łeb i znów zwinął się w kłębek. Próżno Miki nacierał, tłumacząc, że już dzień, że pora ruszać. Niedźwiedź nie reagował na to wcale, więc po chwili pies wrócił znów do wejścia pieczary i spojrzał wstecz, by stwierdzić, czy Niua podąża za nim. Potem rozczarowany i trochę zniechęcony stąpił w dół, na śnieg. W ciągu godziny mniej więcej nie oddalał się od pieczary dalej niż na parę metrów. Trzykrotnie jeszcze wracał do Niuy, nagłąc go, by wstał i wyszedł na światło dzienne. W tym odległym kącie jaskini panował wieczny mrok i Miki chciał widocznie wytłumaczyć przyjacielowi, iż jest pełnym idiotą, skoro leżąc tu, w ciemności, myśli, że i na świecie również nadal trwa noc. Nic jednak nie wskórał. Niua rozpoczynał już długą drzemkę i wkraczał właśnie do Uski-po-e-miu, niedźwiedziej krainy snów.

W pewnej chwili Miki uczuł napływ gniewu i wyraźną chęć, by zatopić zęby w uchu Niuy; ale zwolna gniew minął. Instykt, który między zwierzętami gra rolę ludzkiej mowy, odezwał się w nim wyraźnie i niepokojąco. Czuł ogromne zmieszanie. Z rozpaczą niemal krążył po grocie i wokół wejścia do niej. Jeszcze raz podszedł do Niuy, a potem ruszył sam jeden w dół doliny. Czuł silny głód, ale w pierwszym dniu po zamieci niewielka była szansa znalezienia jakiejś zwierzyny. Króliki zapadły w kotlinach, pod zwałami drzew i wśród skał, nie opuszczając wcale ciepłych gniazd. Od wczoraj nikt nie zmieniał miejsca pobytu. Miki nie mógł odnaleźć żadnych śladów żywych istot, natomiast sam raz po raz tonął w zaspach aż po grzbiet. Udał się w stronę strumienia. Nie był to jednak wcale strumień znany poprzednio. Obrzeżał go lód. Wyglądał ponuro i tajemniczo. Szmer jego nie przypominał w niczym perlistej gęźby lata lub złotej jesiennej kapeli. Gwarzył groźnie i monotonicznie, jak gdyby przeszedłszy we władanie zakazanych czarnych duchów, słał Mikiemu przestrożę, że czasy się zmieniły, że nowe prawa i nowe siły rządzą teraz wszechwładnie jego krajem rodzinnym.

Pies ostrożnie począł chłeptać wodę. Była zimna, lodowato zimna. Zwolna jął pojmywać, że nowe piękno ziemi pozbawione jest życia i ciepła. Był sam! Zupełnie sam. Wszystko inne ginęło pod śniegiem. Wszystko inne zdało się martwe!

Wrócił do Niuy i przeleżał cały dzień tuż obok niego. Nie ruszył się z pieczary również i całą

noc następną. Podszedł jedynie do szczeliny i zobaczył niebo jarzące się od gwiazd oraz księżyc płynący górą niby białe słońce. Księżyc i gwiazdy były również na pozór zupełnie inne niż te, które znał dawniej. Były straszliwie dalekie i chłodne. A ziemia leżała u ich stóp odziana w śmiertelną biel i ciszę.

Z nadejściem świtu Miki raz jeszcze spróbował rozbudzić Niwę. Tym razem jednak czynił to mniej natarczywie i bez przekonania. Nie miał wcale ochoty szarpać niedźwiedzia za kudły. Zaszło coś, czego absolutnie nie mógł pojąć. Czuł zmianę, ale jej nie rozumiał. Ogarniał go przy tym dziwny lęk.

Zeszedł znów w dolinę na łowy. Nocą pod światłem księżycy i gwiazd króliki wyprawiały szalone harce i miejscami ich łapki twardo ubiły całe połacie śniegu. Tego ranka zatem Miki bez trudu zdobył śniadanie. Zabił i zjadł. Potem zabijał jeszcze i jeszcze. Mógłby tak mordować bez końca, teraz bowiem, gdy śnieg je zdradzał, wszelka kryjówka była zarazem dla królika pułapką. Pies nabrał fantazji. Radość życia rozplómiła mu krew. Nigdy jeszcze nie miał tak wspaniałych łowów; nigdy nie odkrył jednocześnie tak wielu skarbów nawet w parowie, który był rajem porzeczek. Jadł póty, aż nie mógł zmieścić nic więcej, a potem wrócił do Niwy, niosąc złowionego królika. Rzucił go przed niedźwiedziem i zaskomlał. Ale Niwa milczał w dalszym ciągu, tylko westchnął głęboko i ułożył się wygodniej.

Po południu jednak, po raz pierwszy od wielu godzin, Niwa wstał, przeciągnął się i obwąchał martwego królika. Ale nie jadł nic. Ku rozpaczycy Mikiego skulił się znów w swym piaszczystym gnieździe i ponownie usnął. Nazajutrz, o tej samej mniej więcej porze, Niwa zbudził się ponownie. Tym razem wyszedł na zrab pieczary i łyknął trochę śniegu. Ale stanowczo nie chciał próbować mięsa. Instynkt mówił mu, że nie powinien naruszać igieł, suchej kory i próchna, którymi napchał sobie kiszki i żołądek. I znowu legł spać. Teraz już nie wstał.

Płynął dzień za dniem i Miki coraz bardziej opuszczony polował samotnie. W ciągu listopada co noc wracał do pieczary i spał u boku Niwy. Niedźwiedź był jak martwy, tyle że ciało miał ciepłe i nieraz bulgotało mu coś w gardle. Ta milcząca obecność nie zaspokajała żrącej tęsknoty psa. Miki chciał mieć żywego towarzysza łowów i wędrówek. Kochał Niwę. W ciągu pierwszych tygodni zimy wiernie przynosił mu mięso. Był pełen ogromnego smutku: cierpiał bardziej, niż gdyby Niwa zmarł. Miki bowiem wiedział, że Niwa żyje, ale nie mógł absolutnie pojąć, co mu jest. Śmierć byłby zrozumiał; trupa porzuciłby raz na zawsze.

I stało się, że pewnej nocy, zabrnawszy daleko na łowy, Miki nie wrócił do pieczary, lecz spał pod wielkim zwałem drzew. Później już było mu coraz trudniej ujarzmić wołanie. Spędził z dala od Niwy drugą i trzecią noc. Aż przyszła nieunikniona chwila, gdy pojął wreszcie, że nigdy, póki na świecie panować będą śnieg i chłód, Niwa nie pójdzie z nim w drogę ramię przy ramieniu jak za dawnych dobrych czasów, kiedy obaj stawiali czoło komicznym i tragicznym perypetiom życia.

Niwa ani podejrzewał, że Miki opuszcza pieczarę po raz ostatni. Być może jednak dobry duch nawet we śnie szepnął mu na ucho, że przyjaciel odchodzi, gdyż w ciągu paru następnych dni drzemka niedźwiedzia była bardzo niespokojna.

— Cicho, cicho, śpij! — szeptał mu instynkt. — Zima jest długa... Rzeki są czarne i chłodne, jeziora okryte lodem, a wodospady zamarły i wyglądają jak białe kolumny. Spij!... Miki musi iść swoim szlakiem, tak jak rzeki muszą biec ku morzu. On bowiem jest psem. Ty jesteś niedźwiedziem. Spij!

POTWÓR

Od wielu lat nie pamiętano w krajach północnych takiej zamieci, jaka przyszła wnet po pierwszych śniegach. Kuskite Pajpun, Czarny Rok, przyniósł mrozy nagłe a dziwnie ostre, przyniósł głód i śmierć.

Zaczęło się w tydzień po opuszczeniu przez Mikię jaskini, w której Niua spał tak smacznie. Las leżał pod białym całunem, słońce świeciło dzień po dniu, a księżyc i gwiazdy płonęły nocą niby małe, złote ogniki. Wiatr dął z zachodu. Króliki hasały w tak znacznej liczbie, że na moczarach i wśród chaszczy śnieg był twardo ubity ich skokami. Karibu i łosie pojawiły się obficie, a pierwszy zew łowiecki wilczej zgrai brzmiał jak muzyka w uszach tysięcy traperów. Nieoczekiwana groza nadeszła przeraźliwie szybko. Nic nie ostrzegło o katastrofie. Świt zaróżowił pogodne niebo i jaskrawe słońce obwieściło dzień. Potem zapadł zmrok tak nagle, że ludzie sprawdzający linie siodeł przystanęli w zdumieniu. Wraz z gęstniejącą ciemnością nadbiegł niepojęty dźwięk; jakby grzechotał olbrzymi bęben obwołując ponurą przepowiednię. Był to grzmot. Ostrzegał jednak zbyt późno.

Nim ludzie zdołali wrócić do chat lub pobudować sobie schrony, dopadła ich zamieć. Szalała trzy dni i trzy noce niby wściekły bawół. Na otwartych przestrzeniach pustkowia żadna żywa istota nie mogła ustać na nogach. Walły się lasy i ziemia szła w perzynę. Wszystkie stworzenia zagrzebywały się w śniegu lub marły, śnieg bowiem, który tworzył ogromne zaspę i całe wzgórza, był twardy jak śrut, a na dobitkę srożył się mróz okropny.

Na trzeci dzień pomiędzy Jackson's Knee a Shamattawą termometr spadł do sześćdziesięciu stopni poniżej zera. Dopiero czwartego dnia niektóre stworzenia odważyły się wyleźć z kryjówek. Łosie i karibu wstały, strząsając grube warstwy śniegu, który chronił je dotychczas; mniejsze zwierzęta ryły tunele wiodące z głębi zasp na powierzchnię. Połowa królików i ptactwa wymarła. Największe jednak straty poniósł rodzaj ludzki. Wielu spośród zaskoczonych zamiecią zdołało utrzymać w ciele iskrę życia i dotrzeć później do wigwamów i chat. Lecz wielu nie wróciło wcale. W roku Kuskite Pajpun pomiędzy zatoką Hudsona i Athabaską pastwą jednej śnieżycy padło pięciuset ludzi.

Na początku wielkiej zamieci Miki znalazł się wśród pogorzeli w okolicy Jackson's Knee. Instynktownie poszukał wnet gęstszych ostępów. Potem wlaź głęboko w przepastny wykrot, zabezpieczony konarami zwalonych drzew, i przez trzy dni nie ruszał się wcale. Opadła go straszna tęsknota za Niua, chęć powrotu do jaskini i położenia się obok przyjaciela, choćby ten nadal spał jak zabity. Niezwykła przyjaźń, która wyrosła między nimi, wspólne wędrówki wiosną, jesienią i latem, radosne i ciężkie przeżycia w czasie uczt czy walk — stały mu w pamięci tak wyraźnie, jakby to wszystko było wczoraj. Leżąc w ciemnym wykrocie, coraz głębiej zasypywany śniegiem Miki śnił. Śnił o Challonerze, który mu był panem w pogodnych chwilach niemowlęstwa; śnił o czasach, gdy zjawił się w obozie mały niedźwiadek-sierota, i o tym, co później zaszło; śnił o utracie Challonera, o niezwykłych i przejmujących dreszczem przygodach w głuszy leśnej i wreszcie o tym, jak Niua pozostał w ciemnej grocie. Nie mógł tego pojąć. Zbudził się i nasłuchując wycia wichru, próżno rozważał, dlaczego Niua nie poluje nadal u jego boku, lecz zwinięty w kłębek śpi nieprzerwanym

snem. W ciągu długich godzin zawieruchy żarła go bardziej samotność niż brak pożywienia. Gdy rankiem czwartego dnia wylazł z wykrotu, miał wystające żebra i krwawą błonkę na oczach. Przede wszystkim spojrzał na południowy wschód i wydał żałosny skowyt.

Tego dnia przebył dwudziestomilową przestrzeń, zasypaną śniegiem, by wrócić do pieczary, w której zostawił Niuę. Słońce płonęło na niebie jak rozpalone ognisko. Migotanie śniegu raziło mu oczy, że czerwieniały coraz bardziej. Gdy stanął wreszcie u celu podróży, zapadał zmierzch i na zachodzie widniała tylko słaba luna. Zbocze, w którym Niua odnalazł swoją jaskinię, całkowicie zmieniło wygląd. Właściwie przestało istnieć. Wicher zwałił na nie potworne góry śniegu. Znikły głązy i krzewy. Tam, gdzie dawniej ziały skalne wrota, leżała zaspą gruba na dziesięć stóp.

Zmarznięty i głodny, wychudły po wielu dniach postu, straciwszy nadzieję powrotu do przyjaciela, Miki zawrócił brnąc dawnym szlakiem. Na całym świecie pozostał mu teraz jedynie ów samotny wykrot. W sercu zagasła radość. Łapy miał poodbijane i skrwawione, ale szedł. Na niebie wytrysnęły gwiazdy; w ich bladym świetle noc stała się widmowo przejrzysta. Panował przejmujący chłód. Drzewa jęły pękać. Raz po raz, gdy mróz docierał do serca pni, rozlegał się trzask niby rewolwerowy strzał. Było trzydzieści stopni poniżej zera. A mróz jeszcze tężał. Pchany chęcią odnalezienia wykrotu Miki włókł się dalej i dalej. Nigdy jeszcze nie poddał takiej próbie swych sił i swojej wytrzymałości. Psy starsze niż on padłyby na szlaku lub wyszukały sobie inne schronisko. Ale Miki, godny syn olbrzymiego mackenzie, gotów był zwyciężyć lub zginąć.

Stała się jednak rzecz dziwna. Miki uszedł już dwadzieścia mil od wykrotu do jaskini i piętnaście mil drogi powrotnej, gdy nagle śnieg ustąpił mu pod łapami i runął w jakiś dół. Gdy oprzytomniał i wyprostował się, spostrzegł, że znajduje się w dziwnym miejscu. Wleciał w głąb stożkowatej budowli uczynionej z gałęzi i sosnowego drzewa, a w nozdrza biła mu silna woń mięsa. Znalazł mięso o ćwierć metra zaledwie od własnego pyska. Był to zmarzły ochłap, zatknięty na małym paliku; nie zastanawiając się nad jego pochodzeniem, Miki zaczął jeść żarłocznie. Jedynie Jack Le Beau, mieszkający o osiem lub dziesięć mil w kierunku wschodnim, mógłby wyjaśnić zagadkę. Miki wpadł do jednej z jego pułapek i obecnie pożerał przynętę.

Nie było tego zbyt wiele, a jednak krew szybciej popłynęła mu w żyłach. Odzyskał dawny węż i zaczął rozkopywać śnieg. Po chwili szczerknął zębami o jakiś chłodny i twardy przedmiot. Była to stal — sidła wydrze. Wyciągnął je spod białego pokrowca, a wraz z nimi wielkiego królika. Królik, dobrze okryty śniegiem, choć martwy od paru dni, nie był zmarznięty na kość. Miki schrupał go nie zostawiając nawet łba ani gnatów. Potem powędrował do swego wykrotu i w cieplej kryjówce przespał do rana.

Tego dnia Jack Le Beau, zwany przez Indian Mu-czit-te-eo (człowiek o złym sercu), powędrował wzdłuż swej linii sideł, odbudowując pułapki, kładąc nowe przynęty i zastawiając wnyki.

Polując o zmierzchu Miki natrafił na jego ślad pośród mokradeł oddalonych o parę mil od wykrotu. W duszy psa nie drżała już dawna tęsknota za panem. Podejrzliwie obwąchał wgłębienia rakiet Le Beau i kiedy, stojąc nieruchomo, łowił wiatr, sierść jeżyła mu się na karku. Ostrożnie ruszył szlakiem trapera i o sto jardów zobaczył mały szałas, osłaniający sidła, czyli tak zwany z indiańska kikik. I tu również był kawałek mięsa umocowany na kołku. Miki sięgnął po nie. Spod przednich łap ozwał mu się raptem złowieszczy trzask i stalowe zęby sideł bryznęły mu w pysk śniegiem i igliwiem. Miki warknął i czekał chwilę, nie spuszczając oczu z pułapki. Potem wydłużył szyję, aż nie ruszając się z miejsca, mógł chwycić mięso. Przypadkowo poznał ukrytą groźbę stalowych szczęk, a instynkt mu doradził, jak ma ich unikać.

Szedł później szlakiem Le Beau około ćwierć mili. Czuł obecność nowego niebezpieczeństwa,

jednak nie porzucił śladów. Pragnienie, którego nie był w stanie opanować, pchało go naprzód. Znalazł drugie sidła i tym razem okradł je z przynęty, nie naruszając żelaza, które jak wiedział, jest utajone tuż obok. Idąc dalej szcząkał długimi kłami. Teraz chciał zobaczyć człowieka. Nie śpieszył się jednak. Zrabował mięso z trzeciej, czwartej i piątej pułapki. Nad wieczorem skręcił ku zachodowi i szybko przebył paromilową przestrzeń, dzielącą jego wykrot od moczarów.

W pół godziny później Le Beau wracał wzdłuż linii sideł. Zobaczył pierwszy pusty kikik i ślady łap na śniegu.

— Tonnerre! Wilk! — zawołał. — I to w biały dzień! Potem z wolna wyraz zdumienia osiadł mu na twarzy. Ukląkł w śniegu i starannie obejrzał trop.

— Non! — wycharczał — to pies! Dziki pies, który okrada moje sidła!

Wstał klnąc. Z kieszeni kurty wyjął małe blaszane pudełko, a z pudełka kulkę tłuszczu. Wewnątrz kulki tkwiła porcja strychniny. Była to trucizna przeznaczona dla wilka lub rysia.

Le Beau chichotał radośnie, przylepiając śmiertelną przynętę u szczytu kołka.

— Oui, dziki pies! — mruczał. — Dam mu nauczkę! Jutro zdechnie...

Wszystkie okradzione pułapki zaopatrzył w truciznę, ukrytą wewnątrz smakowitych kulek łoju.

TRUCIZNA I OGIEN

Następnego ranka Miki wybrał się znów na linię sideł Jacka Le Beau. Nie pchała go tam bynajmniej chęć łatwego zdobycia jada. Wolał sam zabijać swoje mięso. Ale szlak, przesycony ludzką wonią, pociągał go niby magnes. W miejscach, gdzie zapach człowieka stawał się wyraźniejszy, Miki miał ochotę lec na śniegu i czekać. Lecz z tym pragnieniem łączył się lęk i coraz silniejsza nieufność. Pierwszy i drugi kikik wyminął z daleka. Przy trzeciej pułapce Le Beau niezdarnie umieścił przynętę, tak iż mała kulka tłuszczu zachowała mocną woń jego rąk. Lis umknąłby stąd w jednej chwili. Miki jednak ujął kulkę zębami i rzucił ją na śnieg, między przednie łapy. Potem obejrzał się i nasłuchiwał długą chwilę. Polizał przynętę. Zapach rąk Le Beau powstrzymał go od połknięcia sadła. Nieufnie zdusił kulkę w zębach. Tłuszcz był dobry. Chciał już zjeść wszystko, gdy uczył inny, mniej miły smak, więc prędko wypluł w śnieg to, co mu zostało w pysku. Lecz ostra gorycz trucizny gryzła mu język i gardło, wżerała się coraz głębiej.

Miki chwycił pełen haust śniegu i przełknął go, by zagasić żar, który już mu się dobierał do trzewi. Gdyby zjadł kulkę łoju jak inne przynęty, zdechłby w przeciągu kwadransa i Le Beau bez trudu znalazłby jego ciało. Ta zaś nie zjedzona całkiem trucizna wzięła go w obroty po upływie piętnastu minut. Przeczucie nieszczęścia odciągnęło go już poprzednio od linii sideł w kierunku wykrotu. Przebył jednak dopiero nieznaczną przestrzeń, gdy nogi ugięły się pod nim i runął na ziemię. Począł dygotać. Każdy mięsień w nim drżał. Szcząkał zębami. Oczy mu wylazły z orbit i nie mógł ruszyć się z miejsca. I raptem niby potworna dłoń zdławiła mu krtań, kark zeszywniał, a powietrze świszcząc wydierało się z gardła. Sztywność jak płomień ogarnęła mu mięśnie. Nie drżał już, ale stęzał cały niby trup. Okropny skurcz wyprężył mu łeb tak silnie, że pysk godził prosto w niebo. Nie wydał najmniejszego dźwięku. Przez chwilę stał u progu śmierci. Potem nadeszła reakcja. Jakby mu kto stryczek z szyi zerwał, minęła sztywność karku. Natomiast chwyciły go dreszcze i już w następnej chwili Miki rwał i szarpał śnieg miotając się w obłąkanych konwulsjach. Atak trwał dobrą minutę.

Gdy wreszcie ustał, pies dyszał jak wyjęty z wody. Ślina mu ciekła z rozwartego pyska. Ale żył. Śmierć ominęła go o włos. Po pewnym czasie chwiejnie stanął na łapach i powlókł się w kierunku wykrotu. Odtąd, choćby mu Jack Le Beau kładł na szlaku tysiące zatrutych kulek tłuszczu, Miki nie tknąłby żadnej.

W dwa dni później Le Beau znalazł miejsce, na którym Miki walczył ze śmiercią, i serce spłynęło mu wściekłością zawodu. Począł iść śladami psa. W południe dotarł do wykrotu i zobaczył ubity szlak, którym Miki gramolił się do wnętrza. Klęcząc zajrzał w głąb czarnej jamy — i nie spostrzegł nic. Lecz Miki, zawsze czujny, dojrzał twarz człowieka, podobną do twarzy brodatego potwora, który kiedyś rzucił weń kijem. Serce psa było również pełne zawodu, podświadomie bowiem tęsknił wciąż za utraconym panem, a ilekroć zaleciała go woń ludzka, zawsze spodziewał się ujrzeć Challonera.

Le Beau usłyszał warknięcie i podniecony skoczył na równe nogi. Nie chciał leżeć do jamy w ślad za psem; nie mógł go wywabić stamtąd. Ale miał inny sposób. Wykurzy go dymem.

Miki słyszał daleko w lesie chrzęst śniegu pod stopami trapera. Nieco później zobaczył znów brodatą twarz zaglądającą do wnętrza kryjówki.

— Bete, bete! — zawołał kpiąco Le Beau, a Miki warknął ponownie.

Jack był rad. Wykrot miał zaledwie dziesięć metrów średnicy, a wysokopienny las wkoło był pozbawiony poszycia. Dzikie pies w żadnym razie nie mógł uniknąć kuli. Jeszcze raz zatoczył krąg wokół zwałonej masy drzew. Z trzech stron pnie i konary ginęły pod zaspą śniegu; jedyny otwór był ten, którym wlaził Miki.

Le Beau, mając wiatr w plecy, podpalił isku z brzoźowej kory oraz suszu i wsunął ją pod węgiel wykrotu. Zleżałe pnie i gałęzie zajęły się jak hubka i po upływie paru minut płomień już huczał i wył tak głośno, aż Miki się zdziwił. Na razie zresztą dym nie docierał do niego. Le Beau pełen napiętej uwagi, z karabinem w nagich dłoniach, nie spuszczał wzroku ze szczeliny, w której pies miał się ukazać lada chwila.

Wtem gryzący kłęb dymu napełnił nozdrza Mikiego, a biały woal legł pomiędzy nim a wyjściem. O parę metrów, spośród dwóch pni, wypełził siny zwój, a niepojęty trzask, coraz groźniejszy, zbliżał się i potężniał. Potem pies po raz pierwszy zobaczył migotliwe błyski płomieni, a ogień wżerał się w gałązki przesycone żywicą. Po upływie dalszych dziesięciu sekund płomień bił już na dwadzieścia stóp w górę, a Jack Le Beau stał z bronią u ramienia, gotów do strzału.

Pomimo wiszącej nad nim groźby Miki nie zapomniał o istnieniu trapera. Instynkt oraz iście lisia przebiegłość wyjawily mu wnet sedno rzeczy. To człowiek nasłał nań nowego wroga, a teraz sam czeka u wyjścia. Więc Miki uczynił coś, czego Le Beau nie spodziewał się wcale. Przemknął szybko wśród splecionych gałęzi, dotarł do śnieżnej zapory i prędko, sprawnie jak lis, jął ryc przejście przez śnieg. Zębami rozdarł zlodowaciałą zewnętrzną powłokę i w chwilę później stał już na wolnej przestrzeni, mając płomień między człowiekiem a sobą.

Zwał drzew był jednym morzem ognia. Le Beau uskoczył nagle kilkanaście kroków wstecz, tak by objąć wzrokiem szerszy widnokrąg. O sto jardów zobaczył Mikiego, który gnał ku pobliskiej gęstwini. Strzał był łatwy. Le Beau poszedłby o największy zakład, że z tej odległości nie podobna chybić. Nie śpieszył się wcale. Jedna kula — i gra się skończy. Uniósł karabin, ale w tej chwili smuga dymu niby bat cięła go po oczach i kula poszła o trzy cale nad łbem Mikiego. Świergot jej był dla psa zupełnie nowym dźwiękiem. Ale poznał huk karabinu, wiedział zaś, czego karabin może dokonać. W oczach Jacka Le Beau, strzelającego bez ustanku, pies za opatrnościową chmurą dymu wyglądał jak siwa błyskawica mknąca w stronę gęstwy.

Le Beau strzelił jeszcze trzykrotnie. Miki dopadł krawędzi zwartej masy chojarów i posłał mu w

odpowiedzi wyzywający skowyt.

Pies znikł w chwili, gdy ostatnia kula sypnęła mu spod łap fontannę śniegu.

Przygoda ta, w której o mało nie postradał życia, nie wypłoszyła Mikię z krainy Jackson's Knee. Raczej przeciwnie, przywiązała go do tych stron jeszcze silniej. Jak lis wraca, by przyrzeć się żelazom, które go miały schwytać, tak Miki czuł, że linia sideł pociąga go nieodparcie. Woń człowieka nie miała dlań dotąd wyraźnej mowy; teraz bezwzględnie wieściła śmierć. Ale Miki był rad niebezpieczeństwu. Podniecało go.

Zatoczył wielki łuk od miejsca niedawnego pożaru i w pół godziny później na krawędzi mokradeł znalazł ślad Le Beau; ukryty za gęstwą krzewów, przyglądał się traperowi wracającemu do domu.

Od tej pory niby ponury duch nawiedzał stale linię sideł Jacka. Milczący, ostrożny, mając się wciąż na baczności, dążył śladami kroków i myśli Le Beau z uporem wilkołaka. W ciągu następnego tygodnia Le Beau dostrzegł go dwukrotnie. Po trzykroć usłyszał jego wycie. Dwa razy tropił czworonożną bestię, aż wyczerpany i zniechęcony zrezygnował z pogoni. Nigdy nie mógł zaskoczyć psa zniecka. Miki nie jadał już martwej przynęty. Nie dał się nawet skusić padłem całego królika. Z sideł Le Beau wybierał tylko żywe stworzenia, przeważnie ptaki i wiewiórki. Raz pojmany skunks rzucił się na niego i rozdarł mu nos, poszarpał więc moc innych skunksów tak dokładnie, że odjął ich futrom wszelką wartość. Znalazł sobie schronienie w innym wykrocie, ale instynktownie nie udawał się tam nigdy prostą drogą, lecz kluczył przemyślnie, zarówno wtedy gdy szedł do swej kryjówki, jak i wtedy gdy ją porzucał.

Le Beau polował na psa dzień i noc. Założył moc trutek. Zabił łanię i nafaszerował ją strychniną. Budował zapadnie i na przynętę kładł mięso pieczone w tłuszczu. Sklecił szałas z jedliny oraz gałązek cedru i przesiedział w nim długie godziny z karabinem gotowym do strzału. Ale Miki wychodził zwycięsko z wszelkich oparów Pewnego dnia znalazł w sidłach ogromną wydrę. Nie zapomniał jeszcze walki z Uczakiem ani cięgow, które wtedy dostał. Ale tego wieczoru nie miał w sercu krzty urazy ni chęci zemsty. Zazwyczaj już o zmierzchu udawał się do kryjówki, dziś jednak poczucie ogromnej samotności nie pozwalało mu zaznać wypoczynku. Ciężył nad nim duch Kuskajetuma, bożka powszechnej przyjaźni. Ciało jego i krew były pełne tęsknoty. Płonął jak w gorączce. Zapomniał o głodzie i łowach.

Właśnie wtedy znalazł wydrę. Być może, był to ten sam Uczak sprzed kilku miesięcy. Jeśli tak, wyrósł znacznie od tej pory. Wyglądał wspaniale, odziany w gęste, lśniące futro; nie buntował się przy tym na swój los. Na Mikim zrobił wrażenie istoty miękkiej, cieplej i potulnej. Przypomniał mu Nię i nocę przespane wspólnie. Zapragnął jego przyjaźni. Podeszedł ku niemu, cicho skomlać. — Bądźmy w zgodzie! — mówił. Tęsknota tak mu gryzła serce, że gotów był przytulić się nawet do Uczaka.

Uczak milczał i nie czynił najmniejszego ruchu; siedział zwinięty w wielki, puszysty kłęb spoglądając na zbliżającego się psa. W Mikim zbudził się szczeniak. Skręcał się i warował, zawzięcie merdał ogonem, a gdy zaskomlał ponownie, zdawał się mówić:

— Zapomnijmy o starych urazach! Bądźmy przyjaciółmi! Mam doskonałą kryjówkę i upoluję dla ciebie królika...

Lecz Uczak milczał nadal i nie ruszał się wcale. Wreszcie Miki mógł go niemal dosięgnąć wyciągniętą łapą. Przysunął się jeszcze bliżej i gwałtownie tłukł ogonem o śnieg.

— Oswobodzę cię z pułapki! — zdawał się dowodzić. — To człowiek ją zastawił, a ja nienawidzę tego człowieka!

I raptem, tak niespodzianie, że pies nie zdołał zająć obronnej pozycji, Uczak skoczył na całą

długość łańcucha. Zębami i pazurami ostrymi jak brzytwy w jednej chwili głęboko przeorał mu pysk. Pies tak dalece nie miał chęci do walki, że i teraz jeszcze gotów był się z niej wycofać, ale Uczak wpił kły w jego łopatkę i nie puszczał. Miki, rycząc, starał się go pozbyć. Wreszcie zacisnął szczęki na karku wydry. Gdy zwolnił chwyt, Uczak już nie żył.

Miki porzucił trupa i uniknął w gąszcz; nie czuł radosnej dumy zwycięzcy. Zabił, ale ten mord nie cieszył go wcale. Ciężko mu to, co na dalekiej Północy doprowadza nieraz ludzi do obłądu. Znajdował się w sercu ogromnego kraju i ten kraj był dla niego pustynią. Miki był wyrzutkiem leśnego społeczeństwa. Całą duszą łaknął miłości i przyjaźni, a oto wszelki zwierz nienawidził go lub się go obawiał. Był pariasem bezdomnym włóczęgą. I chociaż nie obejmował tego myślą, ponura rzeczywistość przygniatała go jak wieczna noc. Nie wracał do swego wykrotu. Zmęczony usiadł na małej polanie i patrzył w gwiazdy, które jedna po drugiej ukazywały się na niebie. Nad krawędź boru wypłynął księżyc w pełni, drżący, krwawy dysk, i Miki ponuro zawył mu w twarz. Później powlókł się przez wielkie pogorzelsko, gdzie noc była jasna jak dzień, kikuty pni kładły na śniegu ostre cienie, a cień Mikiego wędrował w ślad za nim. I nagle, w poszumie wiatru złowił od dawna znajomy dźwięk. Nadlatywał z bardzo daleka i w pierwszej chwili brzmiał prawie jak szept. Miki słyszał wycie wilków już chyba ze sto razy. Od czasu gdy wilczyca Mahigun pokaleczyła go z taką zajadłością, ustępował im z drogi. Nienawidził ich niemal. Ale krwiożerczy zew mimo woli zawsze go podniecał. Dzisiejszej nocy wstrząs, jakiego doznał słuchając wycia, był silniejszy niż lęk i nienawiść. Tam daleko mknęła gromada. Tam, skąd płynął głos, dzicy bracia biegli parami, biegli razem. Miki zadygotał. Szczeknął w odpowiedzi, kończąc ponurym skowytym. Nastąpiła cisza. W ciągu najbliższej godziny wiatr już mu nie donosił wycia wilków. Stado skręciło na zachód, zataczając tak wielki łuk, że głosy zamarły w dali. W świetle księżycy przeleciało tuż obok chaty Metysa Pierrota. W chacie Bierrota znajdował się biały człowiek idący od fortu O'God. Zobaczył, że Pierrot kładzie na piersi znak krzyża i zdziwił się.

— To obłąkane stado — wyjaśnił Metys. — Już na nowiu dostały szału. Każdy wilk ma w sobie diabła!

Uchylił nieco drzwi chaty i wycie buchnęło ku nim pełną falą. Gdy je znów zamknął, miał w oczach wyraz trwogi.

— W czasie głębokiej zimy wilki dostają nieraz napadów szaleństwa — szeptał. — Przed trzema dniami było ich dwadzieścia, widziałem na własne oczy i policzyłem potem ślady na śniegu. Od tej pory niektóre padły zamordowane i poszarpane przez resztę stada. Słyszysz pan, jak wyją? Czy m'sieur5 wytłumaczy mi, dlaczego wilki szaleją zimą, choć nie ma przecież upałów ani zgniłego mięsa? Non? Ale ja za to wiem! To są wilkołaki! Noszą w sobie diabła i będą nosić póty, aż zdechną. Bo wilki, które szaleją w czasie mrozów, giną zawsze. Tak, m'sieur, giną.

Oszalałe wilki z Jackson's Knee, skręcając od chaty Metysa Pierrota na wschód, trafiły w okolice wielkich błot, gdzie drzewa nosiły znak podwójnego X, wyciętego siekierą Jacka Le Beau. W świetle księżycy mknęło czternaście bestii. Nikt nie mógł dotąd stwierdzić, co właściwie powoduje zimną szaleństwo wilków. Być może początek daje „zły” wilk, bywa przecież, że „zły” pies pociągowy póty szarpie i dręczy towarzyszy, aż posieje w karnym zaprzęgu ziarno niezgody i zmieni go we wstrętą, obłąkaną horde. Doświadczony poganiacz zabija takiego psa albo przepędza go na cztery wiatry.

Wilki, które pomykały rejonem Jacka Le Beau, wyglądały jak szkielety i miały krwawe ślepie. Boki ich nosiły ślady ran, a u pysków zwisały im czerwone sople. Biegły zupełnie inaczej niż w czasie łowów. Była to ponura, podejrzliwa horda o węzowych ruchach, a ich zew nie przypominał wcale wspaniałej myśliwskiej pieśni, lecz brzmiał ochryple, wydzierając się z gardzieli bezładnie i

jakby bez sensu. W pewnej chwili jedna z burych bestii otarła się o ramię drugiej, a ta, skręcając w miejscu, szybko jak gadzina zatopiła kły w barkach towarzysza. Gdyby Pierrot mógł ujrzeć tę scenę, wiedziałby, w jaki sposób zmniejsza się liczebność obłąkanego stada.

Pojedynek rozgorzał szybko jak cięcie bicia. Tuzin pozostałych wilków wstrzymało bieg. Zwierzęta zawróciły i milcząc, ponurym kręgiem opasały walczących towarzyszy. Czekały, rozdziawiając paszcze, szczękając kłami, a w gardzielach bulgotał im nerwowy skowyt. Aż stało się, co się miało stać. Jeden z walczących wilków runął. Reszta skoczyła nań w mgnieniu oka, rozdarła na strzępy i pożarła zostawiając tylko kłaki futra i kości. Potem pozostała trzynastka zagłębiła się w rejon Jacka Le Beau.

Po godzinie ciszy Miki usłyszał je ponownie. Tymczasem opuścił las i oddalił się od niego znacznie. Minął pogorzelnisko i szedł po szerokiej płaszczyźnie, poprzecinanej grzędami skał, a zamkniętej wielką rzeką. Było tu mniej ponuro i samotność nie gnioła go tak dalece jak w gęstej kniei. Nad równiną przeleciało raptem wycie wilków.

Tej nocy Miki nie zeszedł mu z drogi. Czekał, widoczny z daleka na tle gwiazdnego nieba, stojąc u szczytu skały na platformie tak małej, że inny zwierz z trudem zmieściłby się obok. Równina słała się w krąg niego w bladym świetle księżyca i gwiazd. Nigdy jeszcze chęć dania odpowiedzi dzikim współbraciom nie grała w nim tak ostro jak dziś. Zadarł łeb wysoko, tak że ciemny pysk mierzył prosto w gwiazdy, i zawył. Nie rozwinął jednak całej siły głosu. I teraz nawet, przygnieciony ogromem samotności, instynktownie bał się zdradzić swą obecność. Więc zamilkł znowu, a gdy wilki gnały coraz bliżej, zeszywniał, a w gardle przewalał mu się ponury warkot. Wyczuł niebezpieczeństwo. W ujadaniu zgrai pochwycił obłąkaną nutę; przypadł do skały, rozpląszczył się na niej i czekał.

Zobaczył je wreszcie. Pomykały między nim a borem niby czarne, zwinne cienie. Nagle stanęły i umilkły na chwilę, po czym zbite w ciasny kłęb zaczęły obwąchiwać na śniegu jego świeże tropy. Potem runęły śladem; tym razem wycie ich było wprost przepojone szaleństwem. W ciągu paru sekund dotarły do podnóża skały. Wyminęły ją, zataczając krąg, i rwały dalej wszystkie z wyjątkiem jednej bestii, olbrzymiego burego wilka, który dojrzał zdobycz i runął wprost na wzniesienie. Miki przywitał wroga groźnym rykiem. Wstrząsnął nim dreszcz bitewny. Krew szybciej popłynęła w żyłach. Strach odleciał jak dym odegnany wiatrem. Skoczył na równe nogi. Nastawionym łbem odparował atak. Paszcze ich spotkały się i kły Mikiego zdruzgotały szczęki wilka, jakby to był nie wilk, ale szczeniak. Bury zwierz w konwulsjach agonii stoczył się w dół ze skały. Ale już inny potwór zajął jego miejsce. W chwili gdy laził na skałę, Miki szarpnął go zębami za gardziel. Był to okropny chwyt; gardło wilka zostało rozcięte niby ciosem noża, a krew bluznęła fontanną. Napastnik runął w śnieg. Jednocześnie zgraja opadła Mikiego lawiną śmigłych ciał.

Gdyby dwie lub trzy bestie równocześnie rozpoczęły atak, Miki skonałby niechybnie w mgnieniu oka. Nadmierna ilość wrogów stała się dla niego zbawieniem. Na równinie podarto by go w strzępy jak starą szmatę; ale na szczycie kopie utonął wprost pod wyjącą hordą napastników. Kły, ostrzone na jego skórę, rwały mięśnie innych wilków; szal zązartej zgrai zmienił się w ślepy obłęd i zamiast szukać psa, oszalałe zwierzęta jęły się wzajemnie mordować. Miki, leżąc na grzbiecie zgnieciony przez zajadłą tłuszczę, ciał i gryzł bez przerwy. Czyjeś szczęki wpiły mu się w pachwinę. Był to śmiertelny chwyt. W samą porę inny wilk schwytał tamtego za gardziel i kły, trzymające Mikiego, zelzały. W tejże chwili Miki poczuł, że leci w dół po stromym zboczku skały, a w ślad za nim runęły pozostałe przy życiu bestie.

W oka mgnieniu Miki zdławił w sobie chęć walki; zbudził się w nim natomiast lisi spryt, który w chwilach niebezpieczeństwa przysłużył mu się nieraz bardziej niż siła mięśni i odwaga. Ledwie

znalazł się na ziemi, już stał na łapach; ledwie uczuł pod łapami twardy grunt, już gnał jak wichur w kierunku rzeki. Nim wilki spostrzegły jego ucieczkę, odsadził się o dobre pięćdziesiąt jardów. Osiem bestii rzuciło się w pogoń. Spośród trzynastu zaciekłych zwierząt pięć zdechło już lub konało właśnie u stóp skały. Miki zabił dwa wilki; reszta padła pod ciosami towarzyszy.

O pół mili dalej w głębokim parowie płynęła rzeka, a na urwistym brzegu znajdował się labirynt wielkich głazów, w którym Miki wyszukał sobie niegdyś doskonałą kryjówkę. Nie zapomniał dotąd o istnieniu skalnego tunelu ani o tym, jak łatwo było się w nim bronić. Mógł stanąć u wejścia i mordować napastników jednego po drugim, gdyż ze względu na ciasnotę miejsca mogliby atakować tylko w pojedynkę. Nie brał jednak pod uwagę olbrzymiej szarej bestii, zasługującej na miano Błyskawicy, najdzikszej i najszybszej pośród bandy obłąkanych wilków. Ogromny zwierz jak piorun wystrzelił na czoło słabszych towarzyszy i Miki przebywszy zaledwie połowę drogi, dzielącej go od labiryntu, usłyszał tuż za sobą zziębnięty dech. Nawet wspaniała Hela nie mogłaby biec szybciej niż Miki, ale Błyskawica gnał jeszcze prędzej. Gdy przebyli dwie trzecie odległości, pysk wilka sięgał niemal karku psa. Miki zebrał wszystkie siły i odsadził się o krok. Ale Błyskawica jął wnet nadrabiać stracony teren, sunąc coraz bliżej jak ponury i bezlitosny cień.

Tunel znajdował się o sto jardów i nieco w prawo. Ale Miki nie mógł skrócić w tym kierunku, gdyż właśnie tam czyhały szczęki Błyskawicy; pojął także, że jeśli nawet dopadnie kryjówki, to nim się w niej obróci, wróg siądzie mu już na karku. W obecnej chwili nie mógł stanąć, by podjąć walkę, albowiem reszta stada gnała tuż za nim. Jeszcze dziesięć sekund i zaczerniał przed nim urwisty brzeg rzeki.

Nagle Miki skręcił w bok i skoczył na Błyskawicę. Czuł, że nadchodzi śmierć, i ześrodkował całą nienawiść na łbie burej bestii. Runęli obaj. O dwa jarde od urwiska Miki wpił kły w gardziel wilka; w tej chwili dognała ich reszta stada. Pęd gromady odrzucił walczących wstecz. Ziemia umknęła im spod łap i poleciała w dół. Miki nie rozluźnił chwytu. Wywinęli w powietrzu parę koźłów i gruchnęli o ziemię. Błyskawica znalazł się pod spodem. Mimo że jego wielkie ciało osłabiło nieco wstrząs, siła upadku była tak znaczna, że psu świat zawirował w oczach. Upłynęła dobra minuta, nim zdołał wstać.

Błyskawica zmiądzony trwał bez ruchu. Nieco dalej leżały ciała dwu innych wilków, które w obłąkanym pędzie również skoczyły w przepaść.

Miki spojrział w górę. Wysoko nad sobą, na tle gwiazd, widział zębaty szczyt urwiska. Obwąchał jedno po drugim trzy martwe zwierzęta. Potem pokiwał wolno wzdłuż skalnej ściany, aż znalazł dużą szczelinę. Wlaź w jej głąb i począł lizać rany. Prawdę mówiąc, były jednak na świecie rzeczy gorsze niż pułapki Jacka Le Beau. Były może nawet gorsze istoty niż on sam.

Po pewnym czasie Miki położył wielki łeb między przednie łapy, światło gwiazd z wolna zmierzchnęło mu w oczach, zszarzała biel śniegu — i usnął.

NANETTA

W zgięciu rzeki Three Jackpine, pomiędzy Shamattawą a zatoką Hudsona, okryta mrocznym borem stała chata Jacka Le Beau. Był to najpodlejszy i najbardziej zbrodniczy typ spośród wszystkich ludzi żyjących w tej dzikiej krainie; mógł się z nim równać chyba tylko Henryk Durant, który o sto mil w kierunku północnym polował na lisy. Olbrzymiego wzrostu, z ponurą twarzą o zielonych ślepiach, którymi zdawała się wyzierać okrutna dusza — jeśli Le Beau w ogóle miał duszę — był prawdziwym wyrzutkiem społeczeństwa. Indianie twierdzili po cichu, że w tym człowieku tkwi legion diabłów.

Straszne zrządzenie losu dało Jackowi Le Beau żonę. Gdyby to była wiedźma, zła w myśli i uczynkach, rozdźwięk nie zaznaczałby się tak ostro. Ale tych dwoje, mieszkając pod jednym dachem, krańcowo różniło się od siebie. Kobieta miała słodką twarz, a na białych policzkach i w zmęczonych oczach jaśniały wciąż jeszcze resztki niezwykłego piękna. Drżała, gdy mąż się do niej zbliżał; w jego obecności była korną niewolnicą; wraz z psami stanowiła jego własność. Kobieta ta miała dziecko. Jedno już jej zmarło. A na myśl, że i to także może umrzeć, w czarnych źrenicach zapalał się nieraz dziwny błysk.

— Modłę się do dobrego Boga i przysięgam, że będziesz żyć! — szeptała nieraz, tuląc maleństwo do piersi. — A z czasem, z czasem...

Ale nie kończyła nigdy i nawet wobec dziecka nie chciała wyjawić, co ma na myśli.

Nieraz nawiedzały ją sny ułudne. Świat był znów młody i piękny, a ona również była młoda. Teraz właśnie wspominała dawne, dobre czasy, stojąc przed ułamkiem lustra i rozczesując włosy czarne, lśniące, a tak długie, że opadały jej poniżej bioder. Cud jej włosów pozostał nietknięty. „Potwór” nie zdołał go zniszczyć. A w głębi oczu i na twarzy nosiła nadal piętno dziewczęcej pogody i gotowa była zakwitnąć jak kwiat, byle los zechciał wreszcie wyznać swój błąd i raz na zawsze uwolnić ją od obecności „pana”. Dłużej niż zwykle spoglądała dziś w lustro, gdy nagle usłyszała za oknem skrzyp śniegu. Wyraz jej twarzy uległ błyskawicznej zmianie. Le Beau od wczoraj zwiedzał linie sideł i jego powrót nappełnił ją trwogą. Dwukrotnie przedtem zastał ją przed lustrem i obrzucił stekiem obelg, krzycząc, że zamiast się mizdrzyć, powinna oskrobywać tłuszcz z futer. Za drugim razem pchnął ją na ścianę, a lustro stłukł, tak że pozostał jedynie ułamek wielkości jej dwu drobnych dłoni. Strzegła go jak skarbu. Za nic nie da się złapać ponownie! Chwyliła lustro, ukryła je czym prędzej i śpiesznie splotła włosy w gruby warkocz. Zamiast rozmarzenia, w jej oczach legł teraz okropny strach. Podeszła do drzwi, by przywitać męża.

„Potwór” wszedł jak zawsze ponury i groźny. Był w podłym humorze. Rzucił na podłogę świeżo zdobyte futra. Wskazał je palcem i spojrzał na żonę, złowieszczo mrużąc oczy.

— Ten bies był znowu! — warknął. — Patrz, poszarpał wydrę, rozrzucił przynęty i zniszczył schrony sideł. Par les mille cornes du diable⁶, dostanę go jednak! Przysięgłem już, że potnę go nożem na drobne kawałki... Złapię go jutro! Daj mi jeść i obejrzyj futra! Zeszyj wydrę i dobrze pokryj szew tłuszczem, tak by agent nie zauważył, że skóra rozdarła. Do pioruna z tym bębniem! Dlaczego pozwalasz mu wrzeszczeć, ilekroć wrócę do chaty? Odpowiedzże, głupia!

Takie było jego przywitanie. Cisnął rakiety w kąt izby, otrząsał śnieg z butów i z półki zawieszanej nad piecem wziął nową prymkę tytoniu. Potem znów wyszedł, a kobieta z twarzą pełną bezsilnej rozpacz, czując w sercu lodowaty dreszcz, zabrała się do przyrządzania posiłku.

Le Beau poczłapał teraz do swej psiarni, zagrody z sosnowych bali, pośród której stał niewielki szałas. „Potwór” szczyił się ogromnie tym, że ma najdzikszy zaprząg spomiędzy wszystkich, jakie istnieją od zatoki Hudsona po Athabaskę. Kwestia ta była powodem nieustannej kłótni między nim a traperem Durant. Le Beau marzył, by wychować psa, który by zdołał zwyciężyć bojowego huski⁷ Duranta. Tej zimy na wielkie noworoczne zapasy w porcie O'God Le Beau przeznaczył Netaha (Zabójcę). W dniu, kiedy zamierzał rzucić na szalę pieniądze i honor, pies miał skończyć rok i jedenaście miesięcy. Le Beau wszedł do zagrody i zawołał Netaha.

Pies zbliżył się doń chyłkiem, cicho warcząc i po raz pierwszy coś na kształt radości błysnęło na twarzy Le Beau. Lubił ten głos. Lubił widzieć krwawy, zdradziecki błysk ślepi Netaha i słyszeć groźne kłapanie jego szczęk. Jeśli Netah posiadał kiedy żdźbło godności, kij człowieka wypłenił ją w nim doszczętnie. Teraz obaj byli równi — obaj pozbawieni dusz. Netah był diabłem w psiej skórze. Dlatego właśnie Le Beau uczynił go swym szermierzem.

Jack spojrzał w dół na czworonożną bestię i odetchnął głęboko zadowolony.

Oho, doprawdy wspaniale wyglądasz, Netah! — cieszył się. — Krew ci niemal tryska z tych diabelskich ślepi, krew płynna i gorąca jak ta, którą wytoczysz z gardła poosa Duranta. Jutro zrobimy próbę, wspaniałą próbę! Zobaczysz dzikiego psa, który okrada moje sidła i niszczy moje futra. Złapię go; będziesz z nim walczył, aż go prawie na śmierć zadręczysz. Potem żywcem wytnę mu serce i zjesz je, gdy jeszcze będzie biło. Musisz potem zwyciężyć tego poosa, którego przywiezie ze sobą m'sieu Durant. Comprenez? Jutro odbędziesz piękną próbę. A jeżeli się zblamujesz, zabiję! Oui! Jeżeli piśniesz choć raz jeden, zabiję!

W MOCY DIABŁA

Tej samej nocy o dziesięć mil na zachód Miki spał pod zwałem pni i konarów, oddalony zaledwie o pół mili od linii sideł Jacka Le Beau. O wczesnym brzasku, gdy Le Beau opuścił chatę w towarzystwie Netaha, Miki wylazł również z kryjówki. Noc miał niespokojną. Śnił o czasach, gdy straciwszy pana, wędrował po kniei wraz z Niuą; wspomnienia tych przeżyć napoiły go tęsknotą tak silną, że skomlił cicho, patrząc, jak mroczne cienie giną z nadejściem dnia. Gdyby Le Beau mógł go teraz dojrzeć, jak stał w chłodnych blaskach świtu, przemowa do Netaha ugrzęzłaby mu w gardle. Bo choć Miki liczył niespełna rok życia, był prawdziwym olbrzymem. Ważył sześćdziesiąt funtów, w czym ani funta tłuszczu. Ciało miał gibkie i suche jak wilk. Gdy wykonywał jakiś ruch, to na potężnych barkach mięśnie nabrzmiewały mu jak postronki. Łapy wziął po ojcu, wspaniałym Hela; w mocarnych szczękach miażdżył kość równie łatwo, jak Le Beau rozbijał gnat kamieniem. Spośród jedenastu miesięcy istnienia osiem spędził w głuchej dzicy; ten byt zahartował go na żywą stal. Bezlitosna szkoła puszczy urobiła go na swój sposób; kazała mu walczyć o życie; kazała mordować w obronie własnego ja; kazała puszczać w ruch najpierw spryt, a potem dopiero kły. Miki, choć o połowę młodszy, był równie potężny jak Netah, a prócz siły posiadał taką szybkość działania i chytryść, jakiej Netah nigdy nie mógł osiągnąć. Surowa knieja przysposobiła go godnie na dzień próby.

Gdy chłodny promień słońca wytrysnął nad borem, Miki ruszył w kierunku sideł Jacka Le Beau. Doszedł do tropu, który Le Beau wydeptał wczoraj, i podejrzliwie wciągnął woń ludzką, wyraźnie zalegającą ślady rakiet. Przywykł już do tego zapachu, ale zawsze usposobiony był doń nieufnie. Był mu wstrętny, ale pociągał go nieodparcie. Poił niejasnym lękiem, lecz Miki nie mógł się z nim rozstać. W ciągu ubiegłych dziesięciu dni Miki widział trapera trzykrotnie. Raz, gdy leżał ukryty w gęstwie jedliny, człowiek minął go w odległości zaledwie paru metrów. Miki dążył tego ranka wprost w kierunku bagien, poprzez które wiódł rząd sideł. Hasały tam niezliczone ilości królików, trafiając raz po raz do małych kikik, budowanych z patyków i jedliny, a mających ochraniać przynętę od śniegu. Króliki stanowiły istną klęskę. Ilekroć Le Beau zwiedzał pułapki, stwierdzał zawsze, że dwie trzecie sideł zatrzasnęło się już nad tą marną zdobyczą i tym samym nie mogły złowić żadnej wartościowej zwierzyny. Ale gdzie było dużo królików, tam znajdowały się również wydry i rysie, toteż klnąc plagę gryzoniów, Le Beau nadał umieszczał żelaza na powierzchni moczarów. Teraz do szkód, wyrządzonych przez króliki, doszły jeszcze szkody czynione przez dzikiego psa.

Toteż serce „Potwora”, dążącego lasem o brzasku, przepojone było chęcią zemsty, a Netah, uwiązany na rzemieniu, deptał mu po piętach. Miki obwąchiwał właśnie pierwszą łapkę, kiedy Le Beau i Netah o trzy mile dalej ku wschodowi wkroczyli na mokradła.

Poprzedniego ranka właśnie w tym kikik Miki zabił wydrę. Teraz schron ział pustką. Znikł słupek unoszący zwykle przynętę; nie było znaku sideł. O ćwierć mili dalej pies znalazł inny kikik, również próżny. Ten fakt zdziwił go trochę. Powędrował do trzeciego schronu. Stał tam długą

chwile, podejrzliwie wciągając nosem powietrze, nim wreszcie zdecydował się podejść bliżej. Siady człowieka krzyżowały się tu niezwykle gęsto. Śnieg był nimi mocno ubity, a woń ludzką czuło się tak wyraźnie, że Miki na razie osądził, iż Le Beau znajduje się gdzieś w pobliżu. Uczynił kilkanaście kroków i zajął do wnętrza szałas. Skulony, wylupiając krągłe ślepka, siedział w nim wielki biały królik. Przecucie niebezpieczeństwa wstrzymało psa. Uderzyło go coś nieokreślonego w wyglądzie królika. Różnił się znacznie od innych, znajdowanych poprzednio w sidłach Jacka Le Beau. Ten nie wydierał się ze stalowej pastki; nie leżał w śniegu martwy; nie zwisał na drucianej pętli. Był zwinięty w miękki, spokojny kłęb. Prawdę mówiąc, Le Beau schwytał go gołymi rękoma w dziupli drzewa i uwiązał do kołka przy pomocy rzemienia; po czym ułożył opodal gniazdo stalowych sideł i przykrył je śniegiem.

Pomimo że instynkt doradzał mu odwrót, Miki sunął coraz bliżej. Królik, jak urzeczony tym powolnym a jednostajnym ruchem, siedział sztywno niby bryła lodu. Raptem pies skoczył. Zwarł potężne szczęki. A w tejże chwili stalowe sidła z ostrym trzaskiem zamknęły się na jednej z jego tylnych łap. Warknął, puścił królika i zwinął się ku nim. Szczęknięły trzy nowe pastki. Dwie chybiły. Trzecia capnęła psa za przednią łapę. Tym samym chwytem, którym kiedyś mordował wydrę, Miki zacisnął szczęki wokół nowego wroga. Kły jego zgrzytnęły na chłodnej stali; po prostu zdarł ją z nogi, aż krew bluznęła w śnieg. Skręcił się teraz jak szaleniec, by sięgnąć do tylnej łapy. Ale tu sidła zatrzasnęły się tak twardo, że nie sposób było je zerwać. Próbował jednak, aż mu krew poszła z pyska. Walczył jeszcze, gdy spoza kępy drzew, odległej o dwadzieścia jardów, wyszedł Le Beau wiodąc za sobą Netaha.

„Potwór” stanął. Dyszał ciężko, a oczy mu płonęły. Już o ćwierć mili słyszał szczęk łańcucha sideł.

— Ha! Oto jest! — wrzeszczał, mocno zaciskając w pięści rzemień, na którym był uwiązany Netah. Oto jest! Musisz zetrzeć tego złodzieja na miazgę! Puszczę cię zaraz, a wtedy bierz!

Miki przestał walczyć z pułapką i przyglądał się nadchodzącym. W tej tragicznej chwili nie obawiał się człowieka. Krew płynęła mu w żyłach jak strumień lawy. Błyskawicznie pojął prawdę. Wrogami jego byli właśnie ci dwaj: człowiek-potwór i wilczur Netah. Nie po raz pierwszy widział człowieka z kijem w ręku. Tamtą chwilę pamiętał, jakby to było wczoraj. Le Beau niósł kij w garści. Lecz Miki nie czuł trwogi. Bez drgnienia powiek śledził oczyma Netaha. Wilczur, zwolniony ze smyczy, stał sztywno w odległości paru metrów, jeżąc sierść na grzbiecie i prężąc mięśnie. Miki usłyszał głos człowieka.

— Bierz go, ty diable! Bierz!

Miki czekał bez ruchu. Życie w dzikiej kniei wyrobiło w nim trzy zasady: czekać, patrzeć, myśleć. Leżał płasko na brzuchu, wyciągnąwszy łeb między przednie łapy. Trochę, ledwo widocznie, marszczył wargi. Milczał jednak, a oczy mu płonęły jak dwa żuźle. Le Beau gapił się zdziwiony. Uczuł naraz nowy wstrząs, lecz nie była to zadowolona chęć zemsty. Nigdy dotąd nie widział w sidłach wilka, rysia lub lisa, który by się zachowywał w ten sposób. Nigdy nie widział psych ślepi o takim wyrazie. Na chwilę wstrzymał dech.

Netah sunął naprzód stopa za stopą, a potem niemal cal za calem. Trzy metry, dwa, jeden, a Miki wciąż ani drgnął, ani nawet mrugnął okiem. Wreszcie z okropnym rykiem Netah skoczył.

To, co się stało później, było najdziwaczniejszą rzeczą, jaką Le Beau oglądał kiedykolwiek. Tak szybko, że oczy traperza ledwo dostrzegły ruch, Miki przemknął pod brzuchem Netaha, skręcił, wlokąc za sobą łańcuch sideł, i porwał wilczura za gardło. Runęli obaj, a Le Beau miał w garści kij i patrzył jak urzeczony. Słyszał okropny zgrzyt kłów i wiedział, że to kły dzikiego psa; słyszał charkot, przechodzący zwolna w rozpaczliwy jęk konania, i wiedział, że dźwięk ten

płynie z piersi Netaha. Krew uderzyła mu do głowy. Radosne uniesienie zmąciło mu oczy. — Tonnerre de Dieu! Ależ on morduje Netaha! — wrzasnął. — Non, nigdy nie widziałem takiego psa! Zostawię go przy życiu! Będzie walczył z poosem Duranta w faktorii nad jeziorem O'God. A do diabła!...

Jeszcze minuta a Netah by zginął. Le Beau podniósł kij i ruszył naprzód. Wpijając kły coraz głębiej w gardło wilczura, Miki kątem oka dojrzał nową groźbę. Rozluźnił szczęki i w chwili, gdy kij opadał, skoczył w bok. Tylko połowicznie uniknął ciosu. Uderzenie trafiło go w łopatkę i rzuciło na ziemię. Błyskawicznie porwał się na nogi i runął na człowieka. Le Beau był mistrzem we władaniu kijem. Używał go bezustannie, i tym razem, zamachnąwszy się, ze straszliwą siłą ugodził psa w łeb. Z nozdrzy i pyska Mikięgo trysnęła krew. Pociemniało mu w oczach. Skoczył raz jeszcze i znów kij go dosięgnął. Usłyszał dziki krzyk radości. Trzeci raz, potem czwarty i piąty padał pod ciosami maczugi. Le Beau już się nie śmiał; wymachiwał pałką z wyrazem prawie lęku w oczach. Za szóstym razem kij chybił i zęby psa szczęknęły u piersi człowieka, rwąc jak papier grubą koszulę i kurtę oraz pozostawiając na skórze krwawą szramę. Jeszcze parę cali i rozszarpałby mu krtań. Le Beau wrzasnął dziko. Uczuł bliskość śmierci.

— Netah! Netah! — krzyknął, obłądnie wymachując kijem.

Netah nie reagował na wołanie pana. Może w tej chwili właśnie pojął, że to człowiek uczynił z niego potwora. Las wkoło rozwierał wrota ku wolności. Gdy traper krzyknął ponownie, Netah umykał w dal, krwawiąc co krok — i Le Beau nie zobaczył go już nigdy więcej. Zapewne przystał do wilczego stada, gdyż Netah był w trzech czwartych wilkiem.

Le Beau raz jeszcze zamachnął się kijem i chybił haniebnie. Uratował go czysty przypadek. Łańcuch sideł zaczepił o pień i Miki wywrócił się w chwili, gdy jego gorący dech owiewał niemal gardło człowieka. Padł na bok. Nim zdołał wstać, kij wtłoczył mu głowę w śnieg. Świat pociemniał w oczach. Nie mógł się już ruszyć. Półmartwy, wciąż jeszcze słyszał nad sobą zdyszany, triumfalny śmiech Jacka Le Beau.

WYZWOLENIE

Już o zmierzchu Nanetta dostrzegła męża, wychodzącego spośród drzew i wlokącego po śniegu jakiś ciężar. Gdy Jack Le Beau po raz pierwszy wspomniął przy niej o dzikim psie, Nanetta prawie nieświadomie poczuła gorącą sympatię dla bezdomnego zwierzęcia. Niegdyś, jeszcze nim została matką, polubiła psa. Tylko ten pies dał jej poznać prawdziwą przyjaźń, ale „Potwór”, wyrafinowanie okrutny, odebrał go jej. Nanetta z czasem zdołała namówić sukę, by umknęła w las, na swobodę, tak jak to dziś uczynił Netah. Teraz zaś modliła się prawie, żeby dziki pies mógł uniknąć zemsty jej męża.

Kiedy Le Beau podszedł bliżej, zobaczyła, że wlecze on za sobą sanki zbite z czterech konarów;

a gdy po chwili spostrzegła leżący na nich ciężar, wydała głośny okrzyk. Łapy Mikięgo były uwiązane do sań tak silnie, że nie mógł się wcale ruszyć. Szyję opasywał mu sznur również umocowany do poprzecznych drążków, a wokół pyska miał kaganiec z mocnych rzemieni. Le Beau ubezpieczył jeńca w ten sposób, nim pies oprzytomniał po otrzymanych razach. Kobieta patrzyła z zapartym tchem. Widziała już niejednokrotnie, jak traper bił zwierzęta, ale nigdy jeszcze nie zmasakrował psa tak okrutnie. Łeb i barki Mikięgo stanowiły jedną masę skrzepłej posoki. Dostrzegła jego oczy. Patrzyły na nią. Odwróciła się co prędzej w obawie, że mąż dojrzy wyraz jej twarzy.

Le Beau zawlókł zdobycz do chaty; potem wyprostował się i zatarł ręce z zadowoleniem. Nanetta widziała, że mąż jest w świetnym humorze. Czekwała milcząco.

— Na Boga! Gdybyś go tylko mogła zobaczyć, jak dławił Netaha! — wykrzyknął. — Tak, capnął go za gardło szybciej, niżbyś zdążyła mrugnąć okiem, a potem, gdy go obrabiałem kijem, dwukrotnie o mało nie pozbawił mnie życia. Dieu! Cż dopiero będzie z psem Duranta, gdy się spotkają w faktorii nad jeziorem O'God. Postawię, co kto chce, o zakład, że zabije go najdalej w ciągu dwu minut. Wspaniały okaz! Dopilnuj go, Nanetto, a ja mu tymczasem urządzę więzienie. Muszę go trzymać osobno. Jeśli go posadzę z innymi psami, wymorduje mi w mig całą sforę!

Miki śledził go oczyma, aż Jack znikł za progiem. Potem szybko spojrzął ku Nanecie. Przysunęła się doń bliżej. Gdy pochylała się nad nim, oczy jej lśniły. Warknięcie wezbrało mu w gardle i wnet zamarło. Po raz pierwszy w życiu widział kobietę. W jednej chwili pojał olbrzymią różnicę. Serce mu przestało bić. Nanetta przemówiła. Nigdy jeszcze nie słyszał głosu o brzmieniu tak słodkim i łagodnym, a pełnym łez. Wtem, o cudzie, klękła obok i dłońmi dotknęła jego głowy. W tej chwili duch Mikięgo popłynął wstecz, poza najbliższe pokolenia, aż do tych dni, gdy krew w żyłach jego rasy była wyłącznie krwią psa domowego, igrającego z dziećmi, gdy słuchał rozkazów kobiety i ubóstwiał cały rodzaj ludzki.

Nanetta szybko podbiegła do piecyka i wróciła, niosąc miskę ciepłej wody oraz miękką szmatę; uklękła obok i poczęła mu obmywać łeb, przemawiając wciąż tym samym głosem, drgającym pieśczęcią i żalem. Miki do reszty wyzbył się lęku i przytknął oczy. Westchnął głęboko. Miał ochotę wysunąć język i polizać delikatne, białe ręce, które mu niosły ulgę i spokój. Raptem stała się dziwna rzecz. Dziecko siadło w kołysce i poczęło gaworzyć. Dla Mikięgo ten szczebiot był dźwiękiem zupełnie nowym; wstrząsnął nim do głębi jak żaden inny głos. Szeroko rozwarł oczy i zaskomlił.

Kobieta roześmiała się radośnie, pobiegła do kołyski i wróciła z dzieckiem na rękę. Teraz klękła ponownie obok psa, a dziecko na widok leżącej na podłodze dziwacznej zabawki wyciągnęło ramionka, jęło wierzgać nóżkami obutymi w małe mokasyny i świergotać, i gaworzyć, aż Miki naprężył rzemienie chcąc za wszelką cenę dotknąć nosem cudownej istotki. Zapomniał o bólu. Nie czuł już męki zmiażdżonych i zbitych szczęk. Zniknęło cierpienie w zmarzniętych i zeszywniałych od sznura łapach. Tym dwojgu, kobiecie i dziecku, poświęcił wszystkie swoje myśli.

Nanetta wyglądała teraz prześlicznie. Pojęła duszą psa. Serce biło w niej radością, niepomne tyranii męża. Oczy lśniły jak gwiazdy. Rumieniec zakwitł na bladych policzkach. Posadziła dziecko na ziemi i obmywała znów łeb Mikięgo. Gdyby le Beau miał w sobie choć iskierkę ludzkich uczuć, powinien był ją wielbić taką właśnie jak teraz: śliczną, czystą w swej macierzyńskiej czułości, promienną w chwili zupełnego zapomnienia o nim. Le Beau wszedł właśnie, tak cicho, że w pierwszej chwili nie zauważyła jego obecności. Patrzył więc na nią, a ona nadal śmiała się i gwarzyła, czasem prawie płacząc. Dziecko szczebiotało radośnie, wierzgając nóżkami i rozkładając rączki w szczęsnym upojeniu.

Szerokie wargi traperza wykrzywił brzydki uśmiech; zaklął ordynarnie. Nanetta zachwiała się,

jakby w nią trafił cios.

— Wstań, wariatko! — syknął.

Usłuchała i cofnęła się, tuląc dziecko do piersi. Miki zauważył nagłą zmianę w jej twarzy, a gdy dojrzał Jacka Le Beau w jego ślepiach zapłonął znów zielony błysk. Warknął głucho jak wilk.

Le Beau zwrócił się do żony. Na twarzy jej pozostał jeszcze ślad rumieńca, a w oczach jasny płomień; pasmo włosów opadło na ramię, błyszcząc w świetle ginącego dnia jak aksamit. Le Beau był jednak ślepcem, gdy szło o piękno Nanetty.

— Jeśli zmienisz go w niedołęgę, jeśli rozpieścisz go jak tamtą sukę, Majnu, to ja...

Nie skończył, lecz zacisnął pięści, w oczach zamigotał mu dziki błysk. Nanetta nie pragnęła dalszych wyjaśnień. Już rozumiała. Bił ją często, a jeden cios pozostał jej na zawsze w pamięci. Marzyła, iż jeśli trafi kiedy do fortu O'God, a znajdzie dość odwagi, powiadomi o wszystkim agenta. Opowie mu, jak przed dwoma laty mąż zbił ją tak, że dziecko, które wtenczas karmiła, zmarło. Ale by oskarżyć „Potwora”, musiała wpierw mieć pewność, iż uniknie jego zemsty. Tylko agent, pan i władca w dalekiej faktorii nad jeziorem O'God, był dość potężny, by ją osłonić.

Dobrze się stało, że Le Beau nie mógł czytać jej myśli. Rzuciwszy ostrzeżenie zwrócił się do psa i wywlókł go za próg, a potem wsadził do klatki zbitej z młodych jedli, w której poprzedniej zimy chował parę żywych lisów. Opasał kark Mikiego łańcuchem długim zaledwie na dziesięć stóp, którego koniec przytwierdził do węgła klatki. Wreszcie przeciął rzemienie krępujące więźnia i zatrzasnął za nim drzwi.

Miki leżał jakiś czas bez ruchu. Krew poczynąła zwolna krążyć w jego sztywnych i zmarzniętych członkach. Wreszcie wstał z trudem, a wtedy Le Beau zachichotał radośnie i wrócił do chaty.

Dla Mikiego nastąpiły teraz dni pełne piekielnej męki: dni nierównej walki między duszą „Potwora” a duszą psa.

— Muszę cię złamać! Na Boga, złamię cię bezwzględnie! — twierdził Le Beau, ilekroć pojawiał się obok klatki ofiary, niosąc w jednej dłoni kij, w drugiej — bicz. — Będziesz mi się czołgał u nóg, oui, i pójdziesz walczyć, gdy każę!

Klatka była tak ciasna, że Miki w żaden sposób nie mógł uniknąć przeznaczonych dlań razów. Bat i kij doprowadzały go niemal do szaleństwa, a podła dusza Le Beau triumfowała, gdy pies rzucał się na drewnianą kratę, rwał ją zębami i toczył z pyska krwawą pianę niby wściekły wilk. Traper od dwudziestu lat zajmował się tresurą bojowych zwierząt i miał swoistą metodę treningu. W ten sposób właśnie poskramiał Netaha, aż wilczur na głos pana kornie przypadał mu do nóg.

Nanetta z okna chaty trzykrotnie przyglądała się ohydnej egzekucji; za trzecim razem wybuchnęła płaczem, kryjąc twarz w dłoniach. Gdy Le Beau po powrocie do domu zastał ją we łzach, powlókł ją przemocą do okna i zmusił, by spojrzała na Mikiego, który leżał w klatce półmartwy, cały zlany krwią. Zresztą tego ranka wyruszył na obchód linii sideł, a wracał zazwyczaj dopiero następnego dnia o zmierzchu. Ledwie znikł w gęstwie boru, Nanetta wybiegła z chaty i pomknęła do klatki.

Odtąd Miki zapominał nieraz o istnieniu „Potwora”. Czasem był tak zmasakrowany, że ledwie mógł ustać na nogach i mało co widział, a jednak pełzał jak najbliżej kraty i lizał dłonie, które Nanetta wyciągała doń bez trwogi. Po pewnym czasie Nanetta poczęła ze sobą przynosić dziecko, owinięte w futra jak maleńki Eskimos, a Miki piszczał radośnie, ujadał i merdał ogonem, wielbiąc swoje dwa bóstwa.

W drugim tygodniu niewoli Mikiego stała się cudowna rzecz. Le Beau opuścił chatę. Na dworze szalała tak gwałtowna zamieć, że Nanetta bała się wynieść dziecko. Poszła więc do klatki i z bijącym sercem powiodła psa do chaty. Jeśli mąż wykryje kiedykolwiek, co zrobiła!... Na samą myśl o tym dygotała z trwogi.

Po pierwszej próbie coraz częściej sprowadzała psa do izby. Raz Le Beau dojrzał krew na podłodze i popatrzył na nią podejrzliwie. Serce w niej zamarło. Na poczekaniu skłamała:

— Rozcięłam palec!

A w chwilę później, zwrócona doń plecami, wzięła nóż i zacięła się istotnie, toteż gdy przyjrzał się jej, zobaczył, że ma palec owiązany czerwoną szmatką.

Po tej przygodzie Nanetta zawsze starannie zmywała podłogę. Izba wraz z kobietą i dzieckiem stała się wkrótce dla Mkiego prawdziwym rajem. Nadszedł czas, gdy Nanetta odważyła się zatrzymać psa w chacie przez całą noc, a Miki, leżąc tuż obok cennej kołyski, ani na chwilę nie spuszczał z niej oczu. Było już późno, gdy Nanetta zaczęła się gotować do snu. Zmieniła dzienny strój na długą, miękką suknię, a potem, siadłszy obok psa, poddając bosc nóżki pieszczocie ogniska, rozpuściła wspaniałe włosy i jeła je czesać. Miki po raz pierwszy widział kobietę w tak cudnej szacie. Włosy kryły jej plecy i piersi, opadając prawie do ziemi niby lśniący płaszcz, a miały woń tak rozkoszną, że pies przyczołgał się nieco bliżej i zaskomlił cicho. Gdy Nanetta skończyła czesanie, Miki patrzył, jak jej delikatne palce plotą dwa grube warkocze; nim zaś legła spać, uczyniła rzecz jeszcze dziwniejszą. Podeszła do łóżka, prostego, sosnowego tapczanu wspartego o ścianę, i z ukrycia pod kocem wyjęła nabożnie mały krucyfiks ze słoniowej kości. Trzymając go w dłoniach, uklękła i Miki słuchał modlitwy. Nie rozumiał oczywiście, że prosi Boga o litość nad swym dzieckiem, maleńką Nanettą.

Wzięła później maleństwo w ramiona, zgasiła światło i poszła spać; a Miki przez całą noc starał się nie czynić najmniejszego szmeru, żeby nie zbudzić tych dwojga. Rankiem, kiedy Nanetta otworzyła oczy, zobaczyła psa siedzącego obok, z łbem na krawędzi łóżka, tuż koło dziecka, które spało przytulone do jej piersi.

Gdy nieco później rozpalala ogień, coś w niej nagle wezbrało i mimo woli zaczęła śpiewać. Le Beau wracał dopiero o zmroku i oczywiście nie miał się nigdy dowiedzieć, co ona, dziecko i pies będą dzisiaj robić. Był to dzień jej urodzin. Skończyła dwadzieścia sześć lat; nieraz jednak zdawało się jej, że żyła dwa razy dłużej. Od ośmiu lat należała do „Potwora”. Lecz dziś we troje urządzają sobie święto. W chacie cały ranek panowała szalona radość.

Przed laty, nim jeszcze Nanetta spotkała Jacka Le Beau, Indianie z okolicy Waterfound przewalili ją Tente Pineszi, czyli Ptaszek — dla niezwyklej słodyczy jej głosu. Tego ranka śpiewała bez przerwy, robiąc przygotowania do imieninowej uczy; słońce zaglądało przez okna, Miki skowyczał radośnie i merdał ogonem, a dzieciak szczebiotał i gaworzył. Wszyscy zapomnieli o istnieniu „Potwora”. Nanetta stała się znów dziewczką, śliczną i pogodną jak wtenczas, gdy Stary Świerk, Indianin z plemienia Cree, dziś dawno już nie żyjący, twierdził, że urodziły ją leśne kwiaty. Wspaniały obiad był wreszcie gotów i ku szalonemu szczęściu dziecka Nanetta namówiła psa, by siadł wraz z nimi do stołu. Wgramolił się, więc na krzesło, ale czuł się okropnie głupio i wyglądał tak zabawnie, że Nanetta płakała ze śmiechu, aż jej długie, ciemne rzęsy były mokre od łez. Potem, gdy Miki strasznie zawstydzony umknął w kąt izby, pobięła za nim, objęła go za szyję i pieściła poty, aż zgodził się powrócić na dawne miejsce przy stole.

Bawili się tak prawie do zmierzchu, gdy Nanetta, uprzątnąwszy izbę, znowu zamknęła psa w klatce. Szczęściem uczyniła to dziś nieco wcześniej niż zwykle, gdyż zaledwie wróciła do chaty, na skraju polany zjawił się Le Beau, a wraz z nim Durant, jego znajomek i rywal znad skraju wielkiego pustkowia. Durant przez sługę Indianina wysłał swój bagaż do faktorii O'God, a sam, z dwoma psami tylko, zboczył na południe, by odwiedzić krewnego. Teraz dążył również do faktorii, ale w kniei na linii sideł spotkał Jacka Le Beau. Le Beau w paru słowach powiadomił o tym żonę, a Nanetta, patrząc w twarz gościa oczyma pełnymi grozy. Le Beau i Durant stanowili wybornie dobraną parę,

gość był tylko nieco starszy. Nanetta z biegiem lat przywykła trochę do wyrazu twarzy męża, lecz Durant wydał się jej istnym zbójem. Przerzął ją po prostu, toteż uczuła wielką ulgę, gdy obaj mężczyźni wyszli z chaty.

— Pokażę ci teraz psa, który zabije twego poosa tak łatwo, jak dziś twój wilczur zagryzł królika — przechwalał się Le Beau. — Opowiadałem ci o nim, aleś go jeszcze nie widział!

W ręce niósł bat i kij.

Na ciosy kija i cięcia biczem Miki reagował dziś niby tygrys świeżo pojmany w dżungli. Durant zbaraniał i szeptał bez tchu:

— Mon Dieu, to istny diabeł!

Nanetta, stojąc w oknie, widziała, co się dzieje, i z ust jej wyrwał się okrzyk bólu.

Odwaga, tak długo tłumiona tyranią męża, wybuchła w niej niby płomień. Skoczyła ku drzwiom, rozwarła je silnym pchnięciem i pomknęła do klatki. Po raz pierwszy w życiu uderzyła Jacka Le Beau i szarpiąc rękę trzymającą kij, krzyczała: — Ty potworze! Zabraniam ci! Słyszysz?! Zabraniam!

Le Beau osłupiał i znieruchomiał na chwilę ze zdumienia. Czyż to jest Nanetta, jego niewolnica? Widział istotę, której oczy miotają płomień, a twarz miała nigdy dotąd nie oglądany wyraz. Pojął wreszcie i wściekłość zawrzała w nim. Jednym pchnięciem ramienia rzucił kobietę w śnieg. Zaklął wściekle i otworzył drzwi klatki.

— Zabiję go teraz, zabiję! — wył prawie. — A ty, diablico, pożresz żywcem jego serce! Wpakuję ci je do gardła!

Wywlekał psa z klatki ciągnąc go za łańcuch. Uniósł kij w chwili, gdy łeb Mikięgo ukazał się na zewnątrz. Jeszcze moment i rozwaliłby mu czerep, ale Nanetta skoczyła między męża a psa i cios chybił. Le Beau uderzył pięścią, trafił kobietę w ramię i pchnął ją w śnieg. „Potwór” zwałił się na żonę. Pełną garścią porwał jej bujne włosy.

Aż wtem...

Durant krzyknął ostrzegawczo. Ale było za późno. Z mściwym błyskiem w oczach Miki sprężył łańcuch i chwycił Jacka Le Beau za gardło. Nanetta słyszała! Mimo zamglonych oczu widziała wszystko! Wyciągnęła ręce, wstała chwiejnie i raz jeden spojrzała w dół na śnieg. Potem z okropnym krzykiem, zataczając się, uciekła do chaty.

Gdy Durant odważył się wreszcie odciągnąć Jacka Le Beau na stronę, Miki nie próbował nawet temu przeszkodzić. Sam wrócił do klatki i leżąc na brzuchu spoglądał na Duranta.

A Durant, patrząc na śnieg splamiony krwią i na martwe ciało „Potwora”, powtórzył po raz drugi.

— Mon Dieu, ależ to istny diabeł!

W chacie Nanetta klęczała przed krucyfiksem.

ZNOWU W NIEWOLI

Zdarza się nieraz, iż śmierć powoduje silny wstrząs, lecz nie zostawia po sobie żalu. Tak było z Nanettą Le Beau. Choć własnymi oczyma oglądała straszny skon męża, nie miała łez ani też pragnęła jego powrotu. Wszechpotężny Bóg uczynił wreszcie sprawiedliwość.

Myśląc bardziej o dziecku niż o sobie, Nanetta nie martwiła się tym wcale. Durant, którego

dusza była niemal równie czarna jak dusza Jacka Le Beau, nie spytał nawet wdowy o radę ani nie zmówił nad trupem pacierza. Wyrąbał jamę w zmarzłej ziemi i pochował ciało jeszcze niemal ciepłe. Nanetta nie gniewała się o to. „Potwór” znikł. Znikł raz na zawsze! Nie uderzy już jej nigdy. Spojrzała na śpiące dziecko i ofiarowała Bogu korną podziękę.

Miki skulony leżał w klatce. Od chwili gdy pozbawił życia Jacka Le Beau rozdarłszy mu gardło, nie ruszał się prawie wcale. Gdy Durant unosił trupa, nie warknął nawet w jego stronę. Był straszliwie przygnębiony, lęk go zdjął. Nie myślał o katowni, którą przeszedł, ani o tym, że cudem uniknął śmierci; nie czuł bólu zbitych mięśni, krwawiących szczęk i pociętych batem powiek. Myślał o Nanecie. Dlaczego uciekła z tak okropnym krzykiem? Przecież to „Potwór” rzucił nią o ziemię i szarpał ją, nim naprężając łańcuch, zdołał go porwać za gardło. Więc dlaczego uciekła i nie wraca? Zaskowyczał tęsknie.

Minęło popołudnie i wczesny zmierzch północnej zimy jął otulać bór. O zmroku koło klatki psa zamajaczył cień Duranta. Miki nienawidził instynktownie tego łowcy lisów, tak jak nienawidził Jacka Le Beau, czując podświadomie, że obaj należą do jednej kategorii nędzników. Nie warknął jednak, gdy Durant zajrzał przez kratę. Nawet się nie ruszył.

— Ugh! Le diable — wzdrygnął się Durant.

Potem zachichotał. Miał przykry śmiech, niski, tłumiony kudłatym zarostem. Miki uczył dziwny dreszcz. Durant zawrócił i poszedł do chaty. Na jego widok Nanetta wstała, błyskając ciemnymi oczyma na tle twarzy białej jak śnieg. Choć tragiczna śmierć Le Beau wstrząsnęła nią do głębi, w tych oczach było już coś z jej dawnego wejrzenia. Gdy przed kilku godzinami Durant wszedł do izby w towarzystwie Jacka, nie dostrzegł nic podobnego. Stała przed nim, trzymając dziecko w ramionach, a on patrzył na nią dziwnie. Czuł się nieswojo. Nie mógł pojąć, dlaczego jeszcze niedawno śmiał się wesoło, słysząc, jak Le Beau klnie żonę, a teraz nie mógł znieść jej wzroku. Dieu! Nie dostrzegł nigdy przedtem, jak jest piękna. Opanował się wreszcie i ułożył w myśli, co ma mówić.

— Nie zechce pani oczywiście zatrzymać psa! — rzekł. — Więc go zabiorę!

Nanetta milczała. Patrzyła mu w twarz i zdawała się ledwie oddychać. Zdawało mu się, że w ten sposób żąda wyjaśnień, i olśniła go myśl, że może skłamać.

— Pani nie wie, że jego pies i mój miały walczyć w forcie O'God na Nowy Rok w czasie wielkich zabaw — ciągnął dalej, przestępując z nogi na nogę. — Dlatego właśnie Jack, mąż pani, tresował swego psa. Ale kiedy zobaczył tego uczum, tego wilkołaka, jak szarpie kratę, wiedziałem już, że zdławi mego huski niby lis zająca. Więc dobiliśmy targu i kupiłem go za te dwa „mieszkańce” oraz dziesięć czerwonych lisów, które mam na saniach. (Prawdopodobieństwo tego kłamstwa dodało mu odwagi. Brzmiało jak najprawdziwsza prawda, a trup Jacka nie mógł mu przecież zarzucić fałszu). Jest zatem mój! — kończył triumfalnie. — Zabiorą go do fortu i będzie walczył z każdym psem lub wilkiem Północy. Zaraz przyniosę tu futra, madame!

— On nie jest na sprzedaż! — przemówiła Nanetta, a w oczach jej pojawił się błysk ożywienia. — To mój pies, mój i dziecka, rozumie pan, panie Henryku Durant? On nie jest na sprzedaż!

— Oui! — wybełkotał zdumiony Durant.

— A gdy pan pójdzie do fortu O'God, proszę opowiedzieć agentowi, że Jack Le Beau umarł i jak umarł, oraz prosić, żeby przysłał kogoś po mnie i dziecko. Do tej pory zostaniemy tu obie z małą!

— Oui.— powtórzył zn Durant, tyłem cofając się do drzwi.

Nigdy jej takiej nie widział. Dziwił się, że Jack Le Beau mógł kiedykolwiek na nią krzyczeć i bić ją. Czuł przed nią niepojęty lęk. Gdy tak stała z bladą twarzą i płonącymi oczyma, z dzieckiem w

ramionach, odziana w płaszcz ciemnych włosów, przypominała mu oglądany kiedyś obraz Madonny.

Wyszedł z chaty i powędrował do klatki, w której leżał Miki. Przemówił doń szeptem.

— Ow, bete! — rzekł — ona cię nie sprzeda! Chce cię mieć przy sobie, boś walczył w jej obronie i zabił mon ami8 Jacka Le Beau. Więc muszę ciebie dostać w inny sposób. Za chwilę wszędzie księżyc, wtenczas zarzucę ci pętlę na kark i zdławię tak gracko, że nie wydasz głosu. I ktż się domyśli, gdzie jesteś, jeżeli drzwi klatki pozostaną otworem? Będiesz walczył na mój rachunek w forcie O'God! Mon Dieu, jakże ty będziesz wspaniale walczył! Ręcę, że duch Jacka uraduje się na tamtym świecie, widząc taki pojedynek!

Powędrował na skraj boru, gdzie poprzednio zostawił swoje dwa psy i sanie, i czekał, aż wszędzie księżyc.

Miki w dalszym ciągu trwał bez ruchu. W oknie chaty zapłonęło światło, więc utkwiał w nim tęskne ślepia i skomlał cicho. Całą duszą był tam, w izbie, u nóg kobiety i dziecka; tych dwoje zasłoniło mu świat.

A tymczasem Nanetta myślała o Mikim i o Henryku Durant. Słowa trapera wciąż brzęczały jej w uszach: „Oczywiście pani nie zechce zatrzymać tego psa!” Tak, wszyscy leśni ludzie powtórzą to zdanie. Ale dlaczego ma się rozstać z Mikim? Że w jej obronie zabił Jacka Le Beau? Że uwolnił ją spod władzy potwora? Że w odpowiedniej chwili znalazł się na końcu łańcucha i darował życie małej Nanecie? Że pozwolił jej zapewnić dziecku wieczny uśmiech zamiast wiecznych łez? Przypomniła sobie później wszystko, co Le Beau mówił o dzikim psie: jak ten w ciągu wielu dni okradał jego sidła i jak zaciekle walczył, gdy wreszcie trafił do pułapki. Najbardziej pamiętne pozostały jednak dla niej te słowa:

— To wcielony diabeł, ale nie wilk! Jestem pewien, że kiedyś należał do białego człowieka! „Należał do białego człowieka!”

Serce w niej drgnęło. Dawnymi czasy Miki miał pana o białym sercu, tak jak ona sama miała radosne dzieciństwo, pełne zapachu kwiecia i śpiewu ptasząt. Usiłowała spojrzeć wstecz, ale wzrok jej nie sięgał zbyt daleko. Nie mogła znać zdarzeń tego dnia, gdy Miki, niezdarne szczenię, przybył wraz z Challonerem z dalekiej Płnocy; nie umiała wyśnić dziwacznej przyjaźni, łączącej szczeniaka z Niuą, małym czarnym niedźwiadkiem, ani przedstawić sobie tych tragicznych chwil, gdy oba szczeniaki wypadły z łodzi w nurt rzeki, która poprzez piekło wodospadu zaniosiła je w kolisko wielkich przygód, zmieniając Mikiego w dzikiego psa, a Niuę w dorosłego niedźwiedzia.

Nanetta wstała cichutko, by nie zbudzić dziecka śpiącego w kołysce, i otworzyła drzwi. Księżyc wypłynął właśnie ponad las i w jego blasku doszła do klatki. Usłyszała radosny skowyt psa, a potem wyczuła miękki dotyk jego języka, gdy lizał jej obnażone ręce, wsunięte między kraty.

— Nie, nie jesteś diabłem! — szeptała łagodnie, głosem dziwnie drżącym. — O mój sukitaó, póty się modliłam, aż przyszedłeś. Co noc na kolanach błagałam Matkę Boską, by miała litość nad mým dzieckiem i złała na nie promienie swych łask.

Miki, jakby pojmując te słowa, złożył krwawy, umęczony łeb na dłoniach kobiety. Durant śledził ich, ukryty na krawędzi boru. Dostrzegł na śniegu błysk ognia, kiedy Nanetta otworzyła drzwi, widział, jak szła w stronę klatki, i nie spuszczał z niej oczu, aż wróciła do izby. Śmiał się, gdy później, siedząc przy ognisku, wykańczał pętlę (wehgun) i przytwierdzał ją do długiego drąga. Zręczność we władaniu tym przyrządem pozwalała mu zatrzymać nadal dwanaście pięknych skór lisich, a jednak osiągnąć zamierzony cel, czyli inaczej mówiąc, zdobyć psa darmo. Chichotał, myśląc, jak łatwo jest wygrać partię, gdy się ma do czynienia z kobietą. Nanetta popełniła głupstwo, nie chcąc przyjąć futer, no a Jack Le Beau umarł. Okoliczności wzięły niezwykle pomyślny obrót. Los uśmiechnął się wreszcie. Na to zwierzę — tak określał dzikiego psa — postawi cały swój majątek i

wygra!

Wyczekał, aż światło w chacie zgasło, i dopiero wtedy zbliżył się do klatki. Miki usłyszał krok człowieka. Zobaczył go z daleka, gdyż księżyc świecił tak ostro, że noc była jasna jak dzień. Durant znał psie zwyczaje. W stosunkach ze zwierzętami używał chytrych sztuczek, podczas gdy Le Beau posługiwał się wyłącznie kijem i biczem. Kroczył zatem głośno, otwarcie i niby przypadkiem opuścił koniec drąga między kraty. Z rękoma tuż koło klatki, na pozór nieulekły, przemawiał głosem jak najbardziej naturalnym. Zachowywał się zupełnie inaczej niż Le Beau. Miki spoglądał nań bacznie jakiś czas, a potem znów wlepił oczy w ciemne okienko chaty. Durant podstępnie wyzyskał sytuację. Jął z wolna poruszać końcem drąga, aż ten znalazł się ponad łbem Mikięgo, a rzemień i, rozwarta pętla zwisły przed mordą psa. Durant był mistrzem we władaniu lassem 9. Złowił w ten sposób wiele lisów i wilków, a nawet jednego niedźwiedzia. Miki, zeszywniały od mrozu, ledwie wyczuł na karku dotyk wehguna. Nie zauważył, że Durant, opierając mocno nogi o fundament klatki, pręży się cały wstecz. Nagle człowiek podał się w tył i Miki doznał wrażenia, że potworne sidła chwyciły go za gardło. W jednej chwili zabrakło mu tchu. Walcząc rozpaczliwie o odzyskanie wolności, nie mógł wydać najmniejszego dźwięku. Durant cał za całem dowlókl go do kraty, po czym wygiął się wstecz, szarpnął i kiedy wreszcie zwolnił nieco naprężenie pętli, Miki runął na ziemię jak trup. W parę sekund później Durant, ścisnąwszy uprzednio rozwarte szczęki psa, wsunął mu na pysk kaganiec. Wziął potem Mikięgo na ręce i poniósł do sanek, zostawiając drzwi klatki otworem. Był pewien, że Nanetta nigdy nie odgadnie prawdy. Pomyśli, że pies umknął do lasu. Nie miał zamiaru zmuszać psa do posłuszeństwa kijem, tak jak to bezowocnie czynił Jack Le Beau. Durant był o wiele sprytniejszy. Pomimo braku skrupułów i litości posiadał jednak sporo tajemnic duszy zwierzęcej, a okrucieństwo nie zaślepiało go nigdy. Toteż zamiast uwiązać po prostu psa do sań, jak to Le Beau zrobił w swoim czasie, ułożył go możliwie wygodnie, przykrył ciepło i dopiero wtedy pomyślał o dalszej wędrówce na wschód. Upewnił się jednak jeszcze, że kaganiec Mikięgo jest dość mocny i że koniec łańcucha, poprzednio uwiązany do klatki, teraz silnie opasuje kierownicę.

Skończywszy wszelkie przygotowania, Francuz ruszył w kierunku fortu O'God. Promieniał radością. Z pochodzenia i zamiłowania był przede wszystkim graczem, potem dopiero myśliwym. Zakładał sidła, by mieć czym kryć hazardowe stawki, i w ciągu sześciu lat kolejno wygrywał wielki psi mecz w forcie O'God. Ale w tym roku doznawał uczucia lęku. Nie obawiał się Jacka Le Beau i Netaha, lecz pewnego Metysa znad jeziora Red Belly. Ten Metys, właściciel wspaniałego wilczura, zwał się Grouse Piet. Durant, opętany pasją gracza, byłby ofiarował za Mikięgo cenę pięciu dobrych psów, tak bardzo mu szło o posiadanie niezwyciężonego zapaśnika. Teraz zaś, gdy dostał dzikiego psa darmo i oszukał Nanettę na dwanaście dobrych skórek, był niezwykle rad. Miał pewność wygranej i postanowił rzucić na szalę nie tylko cały swój majątek, ale i cały kredyt, na jaki mógł ewentualnie liczyć.

Kiedy Miki oprzytomniał, Durant, który bacznie wyglądał tej chwili, zatrzymał psy. Pochylił się nad saniami i jął przemawiać nie ostro i brutalnie, jak Le Beau, lecz tonem pieszczotliwym i przyjaznym, przy czym dłonią poklepał łeb psa. Dla Mikięgo była to rzecz zupełnie nowa; wiedział, że ręka, która go gładzi, nie należy do Nanetty. Ale jeszcze niedawno był obolały i sztywny od chłodu; teraz czuł wygodę i ciepło. Durant triumfował. Tej nocy nie próżnował dłużej, lecz stanął i rozbił obóz o cztery lub pięć mil od chaty. Rozpalił ognisko, zaparzył kawę i zaczął piec mięso. Pozwalał mu się rumienić bardzo powoli, wciąż obracając drewniany rożen, aż woń pieczeni ciężka i smakowita przesycała powietrze. Psy pociągowe uwiązał w odległości pięćdziesięciu kroków, ale sanie stały tuż przy ogniu i Francuz uważnie obserwował Mikięgo. Od dnia gdy Miki jako szceniak żył u boku Challonera, nigdy jeszcze nie czuł podobnego zapachu, toteż wreszcie nie wytrzymał,

szczęki drgnęły mu kurczowo i szeroko oblizał wargi. Durant zachichotał. Wyczekał jeszcze dobry kwadrans. Potem zdjął pieczeń z różna, rozciął ją i dał połowę psu. A Miki chciwie pożarł swoją porcję.

Henryk Durant to był jednak sprytny chłop!

USKI PAJPUN

W ostatnich dniach grudnia wszystkie szlaki, utarte na przestrzeni tysiąca mil kwadratowych, wiodły w kierunku fortu O'God. Była wilia Uski Pajpun, czyli wilia Nowego Roku — radosny okres zabaw dla leśnych ludzi, gdy z dalszych i bliższych wigwamów oraz chat nadciągają traperzy wraz z żonami i dziećmi, by sprzedać uzbierane futra i zaznać krótkiej rozrywki w towarzystwie bliźnich. W trakcie długich, ponurych, zimowych miesięcy wszyscy marzyli o tym zebraniu. Żona trapera nie ma żadnego sąsiedztwa. Linia sideł jej męża jest zamkniętym w sobie państwkiem, niedostępnym dla innych, a najbliżsi ludzie mieszkają nieraz o setki mil. Toteż Uski Pajpun jest dla kobiet wielce radosnym okresem. Dzieci zwą go „Wielki Cyrk”. Mężczyźni znajdują w nim wypoczynek po męczącej pracy nad gromadzeniem futer. W ciągu tych paru dni zawiera się nowe znajomości i odnawia stare. Opowiada się zdarzenia z dziewiczej kniei: skony, narodziny, śluby; jedni drugim powierzają straszne przejścia, wywołujące na twarzach wyraz grozy i wyciskające łzy z oczu, lub też plotkują o radosnych zdarzeniach, które budzą śmiech i wesele. Po raz pierwszy i ostatni w ciągu siedmiomiesięcznej zimy leśni ludzie zjeżdżają do „miast”. Indianie, Metysi, biali cieszą się wspólnie, bez względu na barwę skóry i przekonania.

W tym roku miała się odbyć w forcie O'God wielka uczta, na którą przeznaczono parę karibu oraz tucznego wieprza. Nim Henryk Durant znalazł się o sześć mil od faktorii, szlaki wiodące z północy, południa, wschodu i zachodu były twardo ubite stopami ludzi i psów oraz płozami sań. Około stu sanek wypłynęło z głębi borów, a wraz z nimi trzystu mężczyzn, kobiety, dzieci i pięćset psów.

Durant spóźnił się o całą dobę, ale nie zmarnował czasu, bowiem Miki, chociaż wciąż w kagańcu, szedł jednak posłusznie za saniami, uwiązany do nich jedynie rzemieniem. O zmroku, po trzydniowej wędrówce od chaty Nanetty Le Beau — Durant porzucił ubitą ścieżkę i ruszył na przelaj, aż stanął przed domkiem Andrzeja Ribon, myśliwca, który stale zaopatrywał mieszkańców faktorii w świeże mięso. Andrzej, zaniepokojony nieobecnością przyjaciela, ucieszył się bardzo z jego przybycia. Indiański sługa Duranta właśnie w tym domu zostawił pierwszego zapaśnika swego pana, ogromnego huski. Tu również zamknięto Mikiego. Po czym obaj mężczyźni udali się do faktorii odległej zaledwie o milę.

Tej nocy żaden z nich nie wrócił do domu. Chata stała pustką. O zmierzchu Miki pochwycił jakieś dziwaczne a czarowne odgłosy, coraz wyraźniejsze, w miarę jak gęstniał mrok wieczorny. Były to dźwięki zabawy w faktorii: daleki gwar ludzkich krzyków, splątany z wyciem setki psów. Miki nie słyszał nigdy nic podobnego i jakiś czas trwał bez ruchu. Potem stanął przy oknie jak człowiek, wsparty przednimi łapami na ciężkiej framudze. Chata Andrzeja Ribon, zbudowana u szczytu małej wyniosłości, górowała nad zamarzłym jeziorem, leżącym u jej stóp, a ponad gęstwą drzew iglastych, porastających brzeg lodowej tafli, Miki dojrzał purpurową łunę, którą kładły na niebie dziesiątki wielkich obozowych ognisk. Zaskomlił i znów opadł na cztery łapy. Noc wydała mu się niezmiernie długa. Ale chata była wygodniejszym pomieszczeniem niż klatka Jacka Le Beau. Miki drzemał gorączkowo aż do świtu, w marzeniach sennych oglądając wciąż Nanettę i jej dziecko.

Durant i Ribon wrócili dopiero następnego dnia o wczesnym brzasku. Przynieśli ze sobą świeże mięso, które Miki chciwie pożarł, gdyż był bardzo głodny. Chociaż nie okazywał im żadnej przyjaźni, tolerował jednak uprzejmie zabiegi tych dwu ludzi. Dzień spędzili razem; noc Miki przebył znów samotnie. Gdy o świcie Durant i Ribon zjawili się w chacie, przywieźli ze sobą klatkę, mającą zaledwie cztery stopy średnicy, a zbitą z mocnych brzoźowych konarów. Ustawili ją tuż koło drzwi izby i przy pomocy kawałka mięsa zwabili psa do wnętrza tej pułapki. Zaledwie wszedł, kłapa zapadła i Miki znalazł się w więzieniu. Klatkę wpakowano wnet na sanie i nim słońce wzeszło, Miki był już w drodze do fortu O'God.

W okresie leśnego karnawału ten dzień był jednym z najważniejszych; dziś miała się odbyć wielka uczta oraz walka psów. Na długo przedtem, nim zobaczono fort O'God, Miki usłyszał hałas rosnący z każdą chwilą. Zdziwił się i stanął w klatce wyprostowany, czujny, zapominając jakby o obecności ludzi, którzy go wlekli naprzód. Patrzył ostro ponad ich głowami i Durant zachichotał radośnie, usłyszawszy głucho warknięcie psa i szczęk jego kłów.

— Oui, będzie walczył! Walczyłby już teraz! — rzekł.

Szli brzegiem jeziora. Nagle, gdy okrążyli małą zatoczkę, fort O'God ukazał się przed ich oczyma. Warkot zamarł w gardle Miki. Mocno zwarł szczęki i po raz ostatni zgrzytnął kłami. Na chwilę serce przestało w nim bić. Dotąd sądził, że na świecie jest tylko pół tuzina ludzkich istot. Teraz, tak nagle, że nie zdołał przywyknąć do tej zmiany, zobaczył stu, dwustu, trzystu ludzi. Na widok Duranta i klatki cały tłum skoczył naprzeciw idących. Tak wiele wilków wałęsało się wszędzie, że Miki prawie zgłupiał. Klatka, w której był zamknięty jadąc w górę zbocza, stała się ośrodkiem wrzaskliwej, rozkołysanej hordy mężczyzn i chłopaków. Kobiety łączyły się z tłumem, a wiele spośród nich miało na ręku dzieci. Potem nadszedł koniec wędrówki Miki. Jego klatkę ustawiono tuż przy innej, w której siedział podobny zwierz. Obok tamtej klatki tkwił wysoki, śniady, kudłaty Metys o wyglądzie bandyty. Był to Grouse Piet, rywal Henryka Durant.

Metys spojrzał na Miki i na jego grubych wargach zaigrał pogardliwy uśmiech. Obrócił się potem w stronę ciemnocyich Indian i mieszaićców stłoczonych poza nim i rzekł parę słów, które wywołały chrapliwy chichot. Durant poczerwieniał.

— ŚmieJCie się! ŚmieJCie się do woli! — warknął. — Pamiętajcie jednak, że Henryk Durant czeka na wasze stawki!

I przed oczyma Metysa potrzęsnał wiązką dwudziestu lisich skór.

— Chodź ze mną o zakład, Grouse Piet! — wołał. — We właściwym czasie postawię jeszcze dziesięć razy tyle!

Miki węszył, wysoko unosząc pysk. Powietrze pełne było dziwnych woni, ciężkie od zapachu ludzi, psów i pięciu ogromnych karibu, które piekły się na mocnych roznach, zawieszane o piętnaście

stóp ponad płomieniami dużych ognisk. Karibu miały się piec okrągłe dziesięć godzin. Ucztę poprzedzała walka psów.

W ciągu dobrej godziny jazgot i huk głosów przewalał się wokół obu klatek. Mężczyźni taksowali zapaśników i ustalali zakłady, a Durant i Grouse Piet ochrypli prawie, rzucając sobie wzajem wyzwania i przekleństwa. Po upływie tego czasu tłum zrzedł. Miejsce dorosłych zajęło pół setki ciemnocyich dzieciaków. Dopiero wtedy Miki mógł obejrzyć czworonogie zwierzęta, uwiązane parami, trójkami lub pojedynczo u skraju polany. Nozdrza jego chwyciły wreszcie różnicę woni. To nie były wilki. To były stworzenia takie jak on sam.

Minęło sporo czasu, zanim Miki zaczął się uważnie przyglądać wilczurowi z sąsiedniej klatki. Podszedł do kraty i sapnął. Wilczur zwrócił ku niemu suchy pysk. Przypominał olbrzymiego wilka, z którym Miki walczył kiedyś nad brzegiem urwiska; toteż Miki instynktownie wyszczerzył kły i warknął. Wilczur warknął również. Henryk Durant radośnie zatarł ręce, a Grouse Piet zachichotał.

— Oui! Będą walczyć! — rzekł Durant.

— Oui! Mój będzie się bił! — dodał Grouse Piet. — Ale pana pies, gdy przyjdzie do walki, osłabnie jak szczenię.

Nieco później Miki zobaczył tuż koło swojej klatki białego człowieka. Był to agent, Szkot, imieniem Mac Donnell. Mętными oczyma patrzył na Mikięgo i na wilczura. W dziesięć minut potem w małym pokoiku, służącym mu za biuro, mówił do białego młodszego mężczyzny:

— Chciałbym zabronić, ale nie mogę! Nie zgodzą się. Straciłbym na tym połowę zwykłej ilości futer. W forcie O'God od pięćdziesięciu lat powtarzają się podobne walki i, prawdę mówiąc, nie są okrutniejsze od tych, które się widuje w krajach cywilizowanych. Tylko że w tym wypadku...

— Zachodzi morderstwo! — uzupełnił młodszy.

— Właśnie! Zazwyczaj jeden z psów ginie!

Młody człowiek wytrząsnął popiół z fajki.

— Kocham psy! — rzekł krótko. — W mojej faktorii pozwolę walczyć między sobą chyba tylko ludziom. I nie pójdę patrzeć na tę zabawę, gdyż obawiam się, że zabiłbym kogo!

WALKA PSÓW

Byla druga po południu. Karibu przybrały piękny brunatny kolor. Za dwie godziny uczta miała się rozpocząć. Nadeszła pora walki.

Pośród polany, wokół klatki zbitej z mocnych bali, mającej dziesięć stóp średnicy, zebrał się tłum kobiet, mężczyzn i dzieci. Tuż obok dużej ustawiono obie małe klatki. Koło jednej z nich tkwił Henryk Durant, koło drugiej Grouse Piet. Nie przekomarzali się już. Twarze mieli skupione i groźne. Patrzyło na nich trzysta par oczu; trzysta par uszu czekało na mający paść sygnał.

Dał go Grouse Piet.

Durant szybko uniósł drzwi klatki Mikięgo. Potem nagle tknął psa z tyłu rozwidlonym kijem i Miki jednym susem znalazł się w dużej klatce. Wilczur Grouse Pieta skoczył również, niemal w tej samej chwili, i obaj zapaśnicy stanęli na placu boju.

Durant ledwie nie zaklął. W ciągu najbliższej pół minuty Mikięgo całkowicie pochłonęło otoczenie. W lesie wilczur interesowałby go wyłącznie i przede wszystkim; patrzyłby nań jak na nowego Netaha lub na dzikiego wilka. Ale w obecnych warunkach myśl o walce była odeń niezmiernie daleka. Fascynował go stłoczony wokół klatki krąg ponurych i wyczekujących twarzy; badał ludzkie oblicza, jakby starając się dojrzeć wśród nich Nanette, dziecko albo nawet Challonera, który pierwszy był mu panem. Grouse Piet nazwał swego wilczura Taa, ze względu na niebywałą długość jego kłów; otóż gdy minął pierwszy moment wzajemnego przyglądania się, Miki zupełnie, zda się, o Taa zapomniał. Podreptał do krawędzi klatki i wsunął nos między pręty. Grouse Piet zachichotał drwiąco. Miki począł obiegać klatkę w krąg, nie spuszczać badawczych ślepi z rojowiska milczących ludzkich twarzy. Taa stał na samym środku klatki i nie spuszczał z przeciwnika krwawych oczu. To, co działo się na zewnątrz, nie obchodziło go wcale. Rozumiał swą powinność i miał w duszy chęć mordy. W ciągu krótkiej chwili, gdy serce Duranta biło jak młot, Taa obracał się w kółko, śledząc ruchy Mikięgo, a włosy na karku stały mu sztywno jak szczecina.

Nagle Miki stanął i Durant ujrzał, jak wniwecz obracają się jego marzenia. Wilczur, nie wydając najmniejszego dźwięku, runął na przeciwnika. Grouse Piet krzyknął. Poprzez rzędy widzów przeszło głębokie westchnienie, a Durant uczył zimny dreszcz. To, co stało się w następnej chwili, wstrzymało bicie wszystkich serc. Miki winien był polec momentalnie. Grouse Piet miał tę pewność; Durant miał tę pewność również. Ale nim się zwały szczęki wilczura, w ostatnim ułamku sekundy Miki zmienił się w istną błyskawicę. Nikt nie widział nigdy ruchu szybszego niż ten, jakim dziki pies odparował atak Taa. Zgrzytnęły kły. Rozległ się ohydny trzask kości i w następnej chwili oba psy tarzały się i przewracały po ziemi. Ani Grouse Piet, ani Durant nie mogli ułowić treści walki. W szalonym podnieceniu obaj zapomnieli nawet o swych stawkach. W forcie O'God nigdy jeszcze nie było takiego widowiska.

Odgłosy walki dobiegły do zabudowań factorii. Młodszy z dwóch białych stał w drzwiach magazynu i patrzył w kierunku dużej klatki. Słyszał ryk, słyszał zgrzyt kłów i zacisnął szczęki, a w oczach jego płonął ponury ogień. Westchnął głęboko.

— A do diabła! — sapnął.

Zwarł pięści, wolno zeszedł ze schodów i powędrował w kierunku klatki. Gdy przedarł się przez krąg widzów, walka była skończona. Ustała równie nagle, jak się zaczęła i wilczur Metysa leżał na ziemi z przeciętą tętnicą. Miki wyglądał tak, jakby miał lada chwila skonać. Durant otworzył drzwi, opasał mu szyję rzemieniem i pies stał już poza klatką, chwiejąc się na łapach, zlany krwią, na pół ślepy. W wielu miejscach poprzez poszarpaną skórę przeglądało żywe mięso, a czerwona struga sączyła się spomiędzy szczęk. Biały człowiek, patrząc na to, wydał okrzyk grozy.

Lecz nagle, niemal jednocześnie, wrzasnął: — Mój Boże, Miki! Miki! Miki!

Miki usłyszał ten głos, choć mu się zdawało, że płynie z bardzo daleka i przebija się z trudem poprzez tępy ból ran. Głos!... Głos, który towarzyszył mu w snach! Głos, na który czekał, którego szukał, wierząc, że go kiedyś odnajdzie! Głos jego pana, Challonera!...

Przypadł do ziemi skomląc, starając się coś dojrzeć poprzez krew, zalewającą mu oczy; śmiertelnie niemal ranny, bił ziemię ogonem na znak, że poznaje... I raptem ku zdumieniu obecnych Challoner runął na kolana obok psa, opasał mu kark ramieniem, a poszarpany język Mikięgo szukał dłoni pana, jego twarzy, jego odzieży.

— Miki! Miki! Miki!

Durant położył ciężką dłoń na ramieniu Challonera. Było to niby dotknięcie rozpalonego żelaza. Challoner skoczył błyskawicznie na równe nogi i spojrzał w twarz Francuza.

— On jest mój! — krzyknął, próżno starając się opanować wściekłość. On jest mój, ty... ty diable!

I nie mogąc się pohamować, trzasnął pięścią w szczękę Duranta, aż ten gruchnął w śnieg. Challoner stał nad nim chwilę, wyczekując, ale Durant nie ruszał się. Wtedy spojrzał na Grouse Pieta i na tłum. Miki znów tulił mu się do stóp.

Challoner wskazał psa ręką i krzyknął tak głośno, by wszyscy mogli słyszeć.

— To mój pies! Nie wiem, skąd ten potwór go dostał, ale on jest mój! Patrzcie sami! Widzicie, jak mi liże ręce! Czyż robi to jemu? I spójrzcie na to ucho. Na całej Północy nie ma drugiego, które byłoby tak ucięte. Zgubiłem go prawie rok temu, ale poznałbym go wśród dziesięciu tysięcy innych. O Boże, gdybym tylko wiedział wcześniej!

Wiodąc psa za linkę, którą Durant opasał mu kark, utorował sobie drogę poprzez tłum Metysów i Indian. Poszedł do Mac Donnella i opowiedział, co zaszło. Opowiedział, jak zeszłej wiosny szczeniak i niedźwiadek wypadły mu z czółna do rzeki. Uprzedziwszy w ten sposób możliwą skargę Duranta, udał się do chaty, w której zamieszkał na czas pobytu w forcie O'God. W godzinę później Challoner przemawiał do psa, trzymając w obu dłoniach jego wielki łeb. Poprzednio już obmył i przewiązał mu rany, tak że Miki mógł teraz patrzeć. Pies nie spuszczał oczu z twarzy pana i bił ogonem o podłogę. Obaj byli głusi na dochodzące z zewnątrz odgłosy zabawy, krzyki mężczyzn, wrzaski chłopaków, śmiech kobiet i nieustanne ujadanie psów. W oczach Challonera lśnił ciepły błysk.

— Miki, stary chłopie, nie zapomniałeś, prawda, nie zapomniałeś nic? Byłeś wtedy tylko niezdarnym szczeniakiem, a jednak pamiętasz, co? Przypominasz sobie, jak mówiłem; że ciebie i niedźwiedzia wiozę dla mojej siostrzyczki? Pamiętasz? Mówiłem, że to prawdziwy anioł, że będzie cię kochać do szaleństwa i różne takie rzeczy. Otóż rad jestem, żeś tam nie trafił. Gdy wróciłem, wszystko było zupełnie inaczej, a ona tak się zmieniła... O Boże, wyszła za mąż i miała dwoje dzieci! Pomyśl tylko, stary drabie, dwoje. Jakim cudem mogłaby się zająć tobą i niedźwiadkiem? A przy tym te trzy lata, którem spędził w tym boskim kraju — tutaj, gdzie powietrze jest tak czyste, że z rozkoszą wciąga się je w płuca, zmieniły i mnie również. Po tygodniu chciałem wracać! Tak, Miki, tęskniłem. I wróciłem! I zostanę! Pójdziemy razem do tej nowej factorii, gdzie mam być agentem z ramienia Kompanii. Odtąd będziemy przyjaciółmi. Rozumiesz, stary drabie, przyjaciółmi!

ODZYSKANY PAN

Była pźna noc, gdy Mac Donnell przysłał po Challonera. Challoner miał już zamiar iść

spać, kiedy chłopak indiański, otwarty drzwi chaty, zakomunikował mu prośbę agenta. Spojrzał na zegarek. Minęła jedenasta. Zachodził w głowę, co mogło zmusić Mac Donnella do niepokojenia go o tak późnej porze. Miki leżał na brzuchu i obserwował uważnie swego cudem odzyskanego pana, kiedy ten wciągał buty.

— To ma pewno jakiś związek z tym diabłem Durant! — mruzczał Challoner, patrząc na pokiereszowanego psa. — Ale jeżeli on sobie wyobraża, że dostanie cię z powrotem, Miki, to się grubo myli! Jesteś mój!

Miki łomotał twardym ogonem w podłogę i wił się u stóp pana w niemym uwielbieniu. Wyszli razem i pochłonęła ich noc.

Świat był srebrny od księżyca i tysięcy gwiazd. Cztery wielkie ogniska, nad którymi piekły się karibu, przeznaczone na prymitywną ucztę, płonęły w dalszym ciągu. Na skraju boru opasującego faktorię tlały głównie dziesiątka mniejszych ognisk. W dali poza nimi czerniały niejasne kontury wigwamów i namiotów. Spało w nich trzystu Metysów i Indian, przybyłych do fortu z okazji karnawału. Jedynie tu i ówdzie zaznaczał się ślad życia. Nawet psy, opchane mięsem, znużone całodziennym ujadaniem, milczały uparcie.

Challoner minął olbrzymie rożny, sterczące wciąż jeszcze nad zarzewiem ognisk, i szedł do mieszkania agenta. Miki sapał, węsząc świeżo ogryzione gnaty. Te kości stanowiły jedyną pozostałość z dwu tysięcy funtów pieczonego dzisiaj mięsa. Mężczyźni, kobiety, dzieci i psy jedli póty, aż przełknęli wszystko. W krąg panowała cisza; Mutai, bóg obżarstwa, który co noc idzie spać z pełnym brzuchem, objął dziś w posiadanie faktorię O'God.

W pokoju agenta błyskało światło, gdy Challoner wszedł, mając Mikięgo tuż za sobą. Mac Donnell palił fajkę, puszczając gęste kłęby dymu. Na twarzy miał wyraz zakłopotania i przykrości.

— Durant był tu! — rzekł. — To zły człowiek. Obawiam się skandalu. Gdybyś go przynajmniej nie uderzył...

Challoner, który właśnie nabijał sobie fajkę tytoniem agenta, wzruszył ramionami.

— Widzisz, ty niezupełnie zdajesz sobie sprawę z sytuacji, jaka tu panuje — mówił dalej Mac Donnell. — W ciągu ubiegłych pięćdziesięciu lat co roku o tej porze odbywała się walka psów. Stała się ona jakby historyczną koniecznością. Stała się wprost nieodzownym czynnikiem istnienia faktorii i dlatego w czasie piętnastoletniego tu pobytu ani razu nie próbowałem nawet jej przeszkodzić. Sądzę, że to by mogło wywołać rodzaj buntu. Jestem pewien, że połowa moich ludzi poniosłaby swoje futra na sprzedaż do innej faktorii. Powszechna sympatia jest po stronie Duranta. Nawet Grouse Piet, jego rywal, mówi, że Durant będzie wariatem, jeśli pozwoli ci odejść z psem. Durant twierdzi, że pies należy do niego!

Mac Donnell wskazał Mikięgo, który leżał u nóg Challonera.

— Zatem kłamie! — rzekł Challoner spokojnie.

— Mówił, że go kupił od Jacka Le Beau.

— Zatem Le Beau sprzedał psa, który nie stanowił jego własności!

Mac Donnell milczał chwilę, potem rzekł.

— Ale nie dlatego prosiłem cię, byś do mnie przyszedł. Durant opowiedział pewną rzecz, która zmroziła mi krew w żyłach. Jutro twoja karawana rusza do faktorii nad jeziorem Reindeer, czy tak?

— O świcie...

— Więc czybyś mógł z jednym Indianinem, którego ci dam, i wzięwszy tylko jeden zaprząg zatoczyć półkole w stronę Jackson's Knee? Stracisz tydzień, ale i tak złapiesz jeszcze swoich ludzi, nim dojadą do faktorii, a mnie wyświadczysz wielką przysługę. Bo tam stała się okropna rzecz!

Spojrzał znów na Mikięgo.

— O Boże!... — westchnął.

Challoner czekał. Wydało mu się, że przez barki agenta przebiegł nagły dreszcz.

— Poszedłbym sam! Powinien bym nawet pójść tam osobiście, ale to odmrożone płuco zmusza mnie do siedzenia w domu całą zimę. Bo — tu w oczach załśnił mu nagły błysk — znałem Nanettę Le Beau, gdy była, ot taką, piętnastoletnią dziewczeczką. Widziałem, jak rosła. Gdybym wówczas nie był już żonaty, zakochałbym się w niej. Czy znasz ją? Czyś kiedy widział Nanettę Le Beau?

Challoner wstrząsnął głową przecząco.

— Anioł, jeśli w ogóle anioły chodzą po ziemi! — oświadczył Mac Donnell poprzez rudą gęstwę brody. — Mieszkała wraz z ojcem poza Jackson's Knee. Ojciec jej zamarzył na śmierć pewnej nocy, gdy przecinał jezioro Red Eye. Zawsze myślałem, że Jack Le Beau zmusił ją potem, by za niego wyszła. Może go zresztą wcale nie znała, a bała się samotności... Tak czy inaczej, ożenił się z nią. Widziałem ją po raz ostatni przed pięciu laty. Niekiedy dochodziły mnie dziwne słuchy, ale nie wierzyłem, przynajmniej nie wierzyłem wszystkiemu! Nie wierzyłem, że Le Beau bije ją i katuje dla kaprysu! Nie wierzyłem, że raz włókł ją za włosy po śniegu i o mało jej nie uśmiercił. Sądziłem, że to plotki, a dzieliło mnie od ich chaty przeszło siedemdziesiąt mil. Ale teraz wierzę! Durant przybył właśnie stamtąd i mam wrażenie, wyjawiał sporo prawdy, byle tylko odzyskać psa!

Spojrzał zn na Mikięgo.

— Widzisz, Durant mówił, że Le Beau złapał psa w sidła, wziął ze sobą do chaty i męczył potem okropnie, trenując do walki. Gdy Durant zobaczył psa, zapragnął go mieć za wszelką cenę i kupił go od Jacka. Ten, chcąc pokazać temperament zwierzęcia, zaczął je doprowadzać do szału, okładając kijem i batem. Nanetta chciała ukrócić barbarzyństwo. Le Beau rzucił ją wtedy o ziemię, bił i targał za włosy; nagle pies skoczył na mężczyznę i rozerwał mu gardło. Oto jak się rzecz ma! Durant opowiedział całą prawdę, gdyż bał się, że każe zastrzelić psa jako niebezpiecznego mordercę. Z tego względu proszę, żebyś pojechał drogą na Jackson's Knee. Chcę, żebyś przeprowadził śledztwo i uczynił co można dla Nanetty Le Beau. Mój Indianin zabierze ją potem do faktorii.

Mac Donnell mówił to zupełnie spokojnie, z właściwym Szkotom opanowaniem. Ale dziwny dreszcz przebiegł raz jeszcze jego barki. Challoner, wielce zdumiony, patrzył na agenta.

— Chcesz powiedzieć, że Miki, ten pies, zabił człowieka?

— Tak! Zabił! Durant mówi, że w ten sam sposób, jak dziś w czasie walki, zagryzł wilczurą Grouse Pieta!

Challoner przesunął z wolna spojrzenie na łeb Mikięgo, a Mac Donnell dodał:

— Lecz wilczur Grouse Pięta był więcej wart niż tamten człowiek. Jeśli to, co mówią o Jacku Le Beau, jest prawdą, to dobrze się stało, że umarł. Challoner, czy myślisz, że to ci nie sprawi wielkiego kłopotu pojechać tamtędy i odwiedzić Nanettę?

— Pojadę! — rzekł Challoner kładąc dłoń na głowę psa.

W ciągu dobrej półgodziny Mac Donnell opowiadał różne rzeczy o Nanecie Le Beau. Kiedy wreszcie Challoner wstał, agent odprowadził go do drzwi.

— Strzeż się Duranta! — uprzedzał. — Ten pies jest dla niego więcej wart niż cała dzisiejsza wygrana, a mówią, że ryzykował grubo. Grouse Piet zapłacił mu słono, ale już się ze sobą pogodzili. Wiem o tym... Więc uważaj!

Challoner wyszedł i zatrzymał się na chwilę pod jasnym lśnieniem księżyca i gwiazd. Miki stał tuż, z łapami na piersi pana, łbem sięgając niemal jego ramion.

— Czy pamiętasz, stary, jakieś wypadł z czołna? — pytał Challoner miękko. — Czy pamiętasz, że ty i niedźwiadek byliście związani razem, zaczęliście się bić i polecieście przez burtę? Pamiętasz?

Na Boga, ten sam wodospad, który was porwał, o mało i mnie nie chwycił. Byłem pewien, że zginęliście obaj! Ciekaw jestem, co stało się z niedźwiadkiem.

Miki zaskomlił w odpowiedzi i drżał całym ciałem.

— A od tej pory zabiłeś człowieka! — ciągnął Challoner dalej, jakby nie mogąc się pogodzić z tą myślą. — Teraz zabiorę cię do tej kobiety! To najdziwniejsze. Wrócisz do niej i co, jeżeli ona każe cię zastrzelić?...

Puścił przednie łapy psa i ruszył w stronę chaty. Na ganku Miki warknął głucho. Challoner zaśmiał się i otworzył drzwi. Weszli obaj do izby; pies warczał coraz groźniej. Idąc do Mac Donnella, Challoner zostawił na stole zapaloną lampę i w jej blasku zobaczył teraz Grouse Pieta oraz Henryka Durant.

Podkręcił knot, by rozjaśnić izbę, i skinął głową.

— Dobry wieczór! Trochę późno na wizytę, co?

Toporna gęba Metysa nie zmieniła wyrazu. Challonera, gdy patrzył na niego, uderzyło dziwne podobieństwo tego człowieka do morsa. Oczy Duranta lśniły ponuro. Twarz, w miejscu gdzie trafiła pięść Challonera, miał opuchniętą. Miki zeszywniał cały i wciąż głucho warcząc, wlaź pod tapczan swego pana. Durant wskazał go palcem.

— Przyszliśmy po tego psa! — rzekł.

— Nie dostaniecie go, Durant! — odparł Challoner usiłując zachować spokój wobec sytuacji, która przejmowała go dreszczem. Mówiąc, starał się odgadnąć, dlaczego Grouse Piet i Durant przyszli razem. Obaj byli olbrzymiego wzrostu. Potworni. Instynktownie stanął tak, by między nimi a sobą mieć stół.

— Przykro mi, że się uniosłem! — ciągnął dalej. — Nie powinienem był uderzyć was, Durant. Jestem winien, przyznaję. Ale pies należy do mnie. Zgubiłem go w krainie Jackson's Knee i jeśli Le Beau pojmał go w sidła i sprzedał, to sprzedał zwierzę, które doń nie należało. By postąpić uczciwie, gotów jestem zapłacić za psa tyle, ile daliście za niego. Więc ile?

Grouse Piet wstał. Durant pochylił się poprzez stół. Challoner, patrząc nań, nie rozumiał, w jaki sposób jeden cios mógł tego człowieka powalić.

— Nie, nie jest na sprzedaż! — Głos Duranta był ochryply i tak niski, że zdawał się z trudem wychodzić z gardła. Przesycała go tłumiona nienawiść. Challoner widział, jak na rękach Francuza, zaciśniętych na krawędzi stołu, nabrzmiewają węzły mięśni. — M'sieur, przyszliśmy po tego psa! Czy pozwoli pan go zabrać?!

— Zwrócę, coście za niego zapłacili, Durant! Jeszcze dołożę!

— Non! On jest mój! Czy pan nam go teraz odda?

— Nie!

Ledwo padło to słowo, a już Durant runął naprzód całym ciężarem i całą siłą mięśni. Challoner nie spodziewał się, że atak nastąpi tak szybko. Francuz zwałił się na niego z rykiem nienawiści i obaj gruchnęli o ziemię. Stół się wywrócił, a wraz ze stołem i lampą. Ogień błysnął ostro i zgasł, pograżając izbę w ciemności; przez jedyne okno padała tylko smuga księżycowego światła. Challoner nie oczekiwał takiego biegu wypadków. Sądził, że Durant przedłuży targ, a mając na względzie kolosalny wzrost swych przeciwników, postanowił w trakcie dyskusji nieznacznie stanąć obok tapczanu. Pod poduszką miał rewolwer. Teraz było za późno. Durant siedział mu na piersi, w ciemności szukając gardła i kiedy Challoner wyrzucił dłoń w górę, chcąc chwycić Francuza za krtań, usłyszał, jak Grouse Piet odpycha stół na bok. W następnej chwili przewalali się po podłodze w smudze księżycowego blasku i Challoner zobaczył pochylony nad sobą potworny cień Metysa. Głowa Duranta była wygięta pod naporem jego ramienia, ale jedna z rąk Francuza sięgała mu do gardła.

Grouse Piet zobaczył, co się dzieje, i wykrzyknął parę chrapliwych słów. Szalonym wysiłkiem Challoner przetoczył siebie i swego wroga z kałuży światła w ciemny kąt. Gruby kark Duranta trzeszczał. Grouse Piet rzucił znów gardłowym głosem parę pytających słów. Challoner ześrodkował całą energię w chwycie ramienia i Durant nie odpowiedział nic.

Potem ciężar Metysa spadł na obu walczących i ręce jego poczęły szukać gardła Challonera. Twarde palce zmacały najpierw brodę Duranta, później szyję Challonera. Gdyby te okropne cęgi zwarty się choć na dziesięć sekund, Challoner byłby zginął. Ale nagle Grouse Piet wydał okropny ryk, zakończony jękiem; jednocześnie ozwało się w ciemności kłapanie wielkich szczęk oraz dziki pomruk. Durant usłyszał; szalonym wysiłkiem uwolnił się z objęć Challonera i skoczył na równe nogi. Challoner natychmiast stanął obok tapczanu, z rewolwerem wymierzonym w stronę napastników.

Wszystko to stało się niezmiernie prędko. Od chwili, gdy na początku walki przewrócono stół, upłynęła zaledwie minuta; ale teraz, kiedy sytuacja układała się dla Challonera tak pomyślnie, doznał on raptem uczucia potwornej grozy. Błyskawicznie uświadomił sobie ów moment, gdy Miki zagryzł wilczura Grouse Pieta. A oto w mroku izby...

Usłyszał okropny zdławiony jęk i łomot padającego ciała.

— Miki! Miki! — krzyknął. — Tu, do mnie!

Rzucił rewolwer i poskoczył do drzwi otwierając je szeroko.

— Na miłość boską — wołał — idźcie! Idźcie!

Ciemny kształt przeleciał obok. Challoner wiedział, że to uciekł Durant. Teraz skoczył do czarnych brył przewalających się po ziemi i wpił palce w luźną skórę na karku Mikięgo, co sił rwąc go wstecz i wykrzykując wciąż imię psa. Zobaczył, jak Grouse Piet pełźnie ku drzwiom. Zobaczył, jak staje na nogi, rysując się ostro na tle gwiazdnego nieba, i zataczając się uchodzi w dal. A potem uczył, że Miki ciąży ku ziemi; pod rękami muskuły psa wiotczały mu i miękły. Challoner klęczał jeszcze chwilę obok, wreszcie wstał, zamknął drzwi i zapalił światło. Uniósł przewrócony stół i umieścił na nim inną lampę.

Miki nie ruszał się wcale. Leżał płasko na brzuchu, trzymając łeb między przednimi łapami i spoglądając na Challoner a dwojgiem pytających ślepi.

Challoner wyciągnął ręce.

— Miki!

W jednej chwili Miki skoczył mu łapami na pierś, a Challoner mocno utulił psa ramieniem. Spojrzał na podłogę, objął wzrokiem plamy krwi i strzępy ubrania rozrzucone tu i ówdzie.

— Miki, stary chłopie, jestem ci bardzo wdzięczny! — rzekł.

RADOSNA ERA

Następnego ranka karawana Challonera, złożona z trzech sań oraz czterech ludzi, ruszyła na północny zachód, aby dotrzeć do jego nowej faktorii, znajdującej się koło ujścia rzeki Cochrane.

W godzinę później Challoner mknął prosto na zachód ku Jackson's Knee, mając ze sobą lekkie sanki oraz sforę pięciu psów. Tuż za nim dążył Indianin ze służby Mac Donnella, wiodąc zaprząg, którym Nanetta miała się udać do faktorii O'God.

Challoner nie widział już później Grouse Pieta ani Henryka Durant i uznał, że agent ma rację, twierdząc, że obaj traperzy umknęli z faktorii wnet po nieudanym zamachu. Zapewne ucieczkę ich przyspieszyła wieść, że patrol królewskiej konnej policji w drodze do faktorii Jork ma tego dnia zawadzić o fort O'God.

Dopiero w chwili odjazdu Miki został wyprowadzony z chaty i przywiązany do kierownicy sań Challonera. Gdy ujrzał pięć pociągowych psów, zeszywniał cały i dawny dziki charkot powstał mu w gardle. Wobec łagodnej przemowy pana zrozumiał jednak wkrótce, że te zwierzęta nie należą do wrogich istot, i choć na razie tolerował je tylko, to z czasem począł im nawet okazywać pewną przyjaźń. Zresztą zaprząg Challonera składał się z pocziwych stworzeń, urodzonych na południu i pozbawionych domieszki krwi wilczej.

W ciągu ubiegłych dwudziestu czterech godzin wypadki toczyły się wokół Mikiego w tak szybkim tempie, że choć od fortu O'God dzieliło ich już kilka mil, pies trwał jednak wciąż w ogromnym podnieceniu. W głowie snuły mu się dziwaczne obrazy. To, co zaszło przed niewolą u Jacka Le Beau, było ogromnie dalekie i mgliste. Nawet pamięć o Niui ginęła pod rojowiskiem silnych przeżyć w chacie Nanetty i w faktorii O'God. Widział teraz wciąż niby na jawie gromady ludzi, psów i wiele innych dziwnych rzeczy, których nie oglądał nigdy przedtem. Jego ciasny świat nawiedziły raptem tłumy Henryków Durant, Grouse Pietów oraz Jacków Le Beau, którzy tłukli go aż do omdlenia i kazali walczyć w obronie własnego życia. W chwili zemsty wytoczył z nich krew; ale wciąż jeszcze oczekiwał ich nadejścia. Wspomnienie mu szeptało, że oni są wszędzie. Wydawali się tak liczni jak wilcze stada; tak liczni, jak wtenczas, gdy tworzyli milczący krąg wokół klatek.

W tym świecie, pełnym zjaw i nieprzewidzianych wydarzeń, były trzy, niezmiennie i zawsze tylko trzy bliskie istoty: Challoner, Nanetta i dziecko. Reszta kłębiła się jak groźny chaos. Miki dwukrotnie zawracał wstecz, dziko warcząc, gdy idący śladem Indianin zbliżył się za blisko. Challoner widział te odruchy i rozumiał ich powód. Spośród rojowiska obrazów najżywszy i najwyraźniejszy był jednak wizerunek Nanetty Le Beau. Tak. Górował niezaprzeczenie nawet nad wizerunkiem Challonera. Odzwierciedliła się w nim delikatna pieśczość miękkich dłoni, łagodne brzmienie głosu, zapach ciała, włosów i sukni — słowem cała jej kobiecość. A nieodłączną częścią Nanetty, jak dłoń jest nieodłączną częścią ramienia, było dziecko. Challoner nie mógł zrozumieć, co się dzieje w duszy psa. Tego wieczora długi czas siedział przy obozowym ognisku, próbując nawiązać zerwane nici dawnej przyjaźni. Ale udało mu się to tylko częściowo. Miki był oporny. Zdawało się, że wszystkie nerwy są w nim napięte do ostatnich granic. Raz po raz spoglądał na zachód, a ilekroć węszył w tym kierunku, narastał mu w piersi cichy skowyt.

Pełen zwątpienia Challoner mocnym rzemieniem uwiązał go na noc obok namiotu. Już dawno ułożył się do snu, a Miki siedział wciąż jeszcze, tuż obok sosny, do której go przywiązano. Było zapewne około dziesiątej i noc stała się tak cicha, że trzask polan smolnych w ognisku brzmiał mu w uszach jak świst bata. Oczy miał czujnie otwarte. Opodal płomieni widział nieruchomą, spowitą w koce postać starego Indianina. Nieco dalej psy pociągowe kulily się, milcząc, w głębi wygrzebanych w śniegu legowisk. Księżyc stał tuż nad głową, a o milę lub dwie głucho wyl samotny wilk, unosząc

spiczasty pysk ku lśniącejtarczy. Ten głos, niby odległe wołanie, wzburzył jeszcze bardziej tętniącą krew Mikięgo. Zwrócił się w stronę, skąd leciał dźwięk. Chciał posłać odpowiedź. Chciał podnieść łeb w górę i żalić się wobec księżyca, lasu i gwiazdnego nieba. Lecz tylko szczęknięły mu kły i spojrział na namiot, w którym spał Challoner. Opadł brzuchem w śnieg. Ale łeb miał wciąż czujnie uniesiony ku górze. Księżyc jał właśnie opadać ku zachodowi. Ogień wygasł i głównie już się tylko żarzyły nikłą poświatą. Wskazówki zegarka Challonera minęły północ, a Miki wciąż czuwał, podniecony. Aż wreszcie zew, płynący z mrocznej dali, owładnął nim całkowicie; szybko i cicho przeciął zębami więzający go rzemień.

Już wolny obwąchał krawędź namiotu Challonera. Wtulił ogon między tylne łapy. Czuł, że zdradza pana, na którego czekał od tak dawna, który tak często towarzyszył mu w snach. Nie zastanawiał się, ale instynktownie doznawał silnego przygnębienia. Wiedział, że wróci! Był pewien, że wróci! Ale teraz musi odejść. Chyłkiem zagłębił się w mroku. Sprytnie jak lis przekradł się między śpiącymi psami. Dopiero gdy obóz legł o dobre ćwierć mili poza nim, wyprostował skulone cielsko i niby szary, chybki cień pognał w świetle księżyca ku północy. Nie wahał się w wyborze tempa. Wolny od bólu ran, silny w łapach, o płucach równie mocnych jak płuca wilcze, mknął niestrudzenie. Króliki, porywając się spod jego nóg, nie zwodziły go z prostej drogi; nawet czując tuż ostrą woń wydry, nie skręcił z raz obranej linii. Poprzez bagna i gęste bory, przez jeziora i potoki, przez pustkowia i pogorzele wiódł go nieomylny zmysł orientacji. Raz jeden przystanął na chwilę, by ugasić pragnienie, w miejscu, gdzie silny prąd strumienia nie dozwolił wodzie zamarznąć. Ale i tu, łyknąwszy spiesznie nieco chłodnego płynu, skoczył dalej. Księżyc spływał po niebie coraz niżej, aż znikł za horyzontem. Gwiazdy poczęły blednąć. Małe gwiazdeczki zgasły; większe stały się mętne i senne. Siny, upiorny brzask otulił knieję.

W ciągu sześciu godzin, dzielących północ od świtu, Miki przebył trzydzieści mil drogi. Wreszcie zatrzymał się. Legł na brzuchu pod skałą, u szczytu urwiska, i przyglądał się narodzinom dnia. Wypoczywał z rozwartą paszczą, ciężko dysząc, aż niebo na wschodzie zapłonęło matowym złotem zimowego słońca. Potem nad linią boru trysnęły pierwsze błyski promieni słonecznych, jak smugi karabinowego ognia sponad obronnego muru. Wtedy Miki powstał i jał obserwować cud poranku. Poza nim w odległości pięćdziesięciu mil leżał fort O'God; przed nim, oddalona o dwadzieścia mil, stała chata Nanetty. Zstępując z urwiska, Miki zwrócił łeb w stronę chaty.

W miarę jak zmniejszała się przestrzeń między nim a ostatecznym celem, uczył znów napływ przygnębienia. Bał się, czy go też serdecznie przywitają w chacie. Zabił przecież człowieka, który żył z Nanettą pod jednym dachem. Szedł teraz wolniej. Już przed południem od mieszkania Nanetty i dziecka dzieliła go zaledwie półmilowa przestrzeń. Delikatnym powonieniem wyczuł w powietrzu obecność dymu. Nie dążył śladem tej woni, idąc po kryjomu i niepewnie, aż wreszcie mógł objąć wzrokiem polanę, na której rozpoczęła się nowa faza jego życia. Zobaczył klatkę, gdzie więził go Jack Le Beau; drzwi były wciąż otwarte, tak jak je zostawił Durant po dokonaniu kradzieży. Zobaczył śnieg zryty w miejscu, gdzie ongiś skoczył na „Potwora”, i zaskowyczał cicho.

Stał wprost drzwi chaty; były szeroko otwarte. Nie mógł dostrzec śladów życia, lecz mógł je wyczuć. Z komina bił dym. Miki chyłkiem pomknął przez polanę. W ruchach jego malowała się wielka, pokorna prośba o przebaczenie, jeśli uczynił jakie zło; błaganie, by istoty, które wielbił, nie odeгнаły go precz. Dotarł do drzwi i zajrzał w głąb izby. Ziała pustką; Nanetty nie było. Raptem uszy psa strzeliły ku przodowi, a kark zesztyniał i słuchał, słuchał, słuchał, łowiąc łagodny, szczebiotliwy dźwięk, płynący z kołyski. Miki przełknął ślinę, pisnął jak najcienie i pazury jego łap szczęknięły po podłodze, gdy szedł przez pokój — stanął i uniósł wielki łeb nad krawędź łóżeczka. Tu leżało dziecko.

Ciepłym ozorem ucałował je raz jeden i z głębokim westchnieniem wyciągnął się na ziemi obok kołyski.

Usłyszał kroki. Weszła Nanetta, mając pełne ramiona koców; zaniósła je do sąsiedniej alkowy i dopiero wracając zobaczyła psa. Na razie stanęła zaskoczona. Potem krzyknęła krótko i podbiegła bliżej. Raz jeszcze uczył jej dłonie na swym karku; skomlił jak szczenię, tuląc do jej piersi wielki łeb, a Nanetta śmiała się i łkała głośno, a dziecko w kołysce szczebiotało, wierzgając nżkami obutymi w małe mokasyny.

— Au-u-tep-we-mukun (Gdy diabeł umyka, nadchodzi raj) — mówią Indianie Cree. Wraz ze śmiercią Jacka Le Beau diabeł umknął z życia Nanetty. Była piękniejsza niż kiedykolwiek. Z przeźroczej głębi jej źrenic jaśniało niebo. Przestała być niewolnicą, drżącą przed batem i kijem pana. Wróciła jej młodość. Była szczęśliwa. Szczęśliwa, że ma dziecko, że jest swobodna, że słońce lub gwiazdy i księżyc płoną jej nad głową; szczęśliwa przede wszystkim, że czeka ją nowe życie. Tego wieczora, kiedy rozczesywała piękne sploty, Miki jak dawniej przysunął się do niej. Lubił zatapiać pysk w jej bujnych włosach; lubił ich słodką woń; lubił kłaść łeb na kolanach kobiety. A Nanetta mocno tuliła psa do piersi, tak jak tuliła własne dziecko, gdyż Miki przecie dał jej wolność, nadzieję i szczęście. To, co się stało z Jackiem Le Beau, nie było już tragedią. To był sprawiedliwy odwet. Bóg przysłał psa i kazał mu uczynić to, co by uczynił brat lub ojciec.

Kiedy następnego dnia o zmierzchu Challoner przybył do chaty, Nanetta właśnie czesała włosy; a gdy zobaczył ją tak, z oczyma lśniącymi w blasku lampy, uczył nagle, że świat zmienił się zupełnie i że już od lat wszystko, cokolwiek uczynił, wiodło jedynie ku tej chwili.

MINIONE SZCZĘŚCIE

Wraz z przybyciem Challonera do chaty Nanetty Le Beau z życia Mikiego znikł ostatni cień smutku. Nie zastanawiał się wcale, czemu zawdzięcza swą szczęśliwość ani co się z nim dalej stanie. Żył terazniejszością; rozkoszował się tym, że istoty, które najbardziej ukochał, są wciąż razem. Lecz w głębi, wraz z tysiącem dalekich a niezatartych wspomnień, trwał w nim wizerunek Niuy — Niuy przyjaciela, brata, towarzysza wielu bitew. Więc myślał o zimnej jaskini zasypanej śniegiem, gdzie Niua pograżył się w długim śnie, podobnym do śmierci.

Tymczasem szły godziny i dni, a Challoner nie ruszał w dalszą drogę; Nanetta również nie wybierała się do fortu O'God. Indianin wrócił sam, wioząc tylko list do Mac Donnella, w którym Challoner wyjaśniał agentowi, że ponieważ płuca dziecka Nanetty nie są zupełnie zdrowe, trudno narażać maleństwo na podróż w takie chłody. Prosił również o przysłanie różnych zapasów.

Nie zważając na okropne mrozy, które nadeszły zaraz po Nowym Roku, Challoner ustawił namiot u skraju boru, o sto jardów od chaty, a Miki dzielił czas między ten namiot a izbę. Dni i noce były dlań nieprzerwanym pasmem szczęścia. A dla Challonera...

Miki widział różne rzeczy, których jednak zupełnie nie mógł pojąć. W miarę jak dni zmieniały się w tydzień, a tydzień w dwa tygodnie, oczy Nanetty przybrały zupełnie nowy wyraz, dźwięk jej głosu miał nowe brzmienie, a w modlitwie wieczornej i rannej dźwięczała radość, przepojona wdzięcznością.

Aż raz Miki, leżąc u kołyski dziecka, uniósł łeb i zobaczył Nanettę w ramionach swego pana; Nanetta miała oczy jak gwiazdy, a Challoner mówił coś, co zmieniło twarz kobiety w twarz anioła. Miki zgłupiał. Zgłupiał jeszcze bardziej, gdy Challoner puścił Nanettę, zbliżył się do kołyski i uniósł dziecko w górę; kobieta, patrząc czas jakiś na tych dwoje oczyma pełnymi szczęścia, ukryła nagle twarz w dłoniach i rozplakała się. Miki warknął; lecz w tej chwili Challoner objął Nanettę, a ona tuliła to jego, to dziecko i łkając szeptała dziwne słowa, których pies nie mógł wcale pojąć. Wiedział jednak, że nie powinien warczeć ani gryźć. Czuł podświadomie, że zaszła jakaś rzecz niezwykła; głośno przełknął ślinę i patrzył. Nieco później Nanetta skoczyła ku niemu, klękła obok i opasała go ramieniem, jak przed chwilą Challonera. A Challoner tańczył po izbie niby rozbawiony sztubak i przemawiał do dziecka. A potem ukląkł obok psa i krzyknął:

— O Boże! Miki, mam rodzinę!

A Miki usiłował pojąć słowa pana.

Tego wieczora po kolacji widział, jak Challoner rozplata wspaniałe warkocze Nanetty i czesze jej włosy. Śmieli się przy tym niby dwoje szczęśliwych dzieci, a Miki w dalszym ciągu próżno starał się zrozumieć. Gdy Challoner miał się już udać do swego namiotu, przed odejściem wziął Nanettę w ramiona, całował ją i gładził lśniące sploty; a ona objęła dłońmi jego twarz, śmiała się i płakała niemal ze szczęścia.

I Miki wreszcie zrozumiał. Wiedział już, że dla wszystkich mieszkańców chaty nadeszła radosna era. Teraz, gdy życie szło spokojnie i bez wstrząsów, Miki na nowo zajął się polowaniem. Opanowała go gorączka szlaku. W łowieckich wyprawach coraz dalej i dalej odbiegał od polany i chaty. Znowu wędrował wzdłuż starej linii siodeł Jacka Le Beau. Ale wszystkie sidła były teraz zatrzaśnięte.

Miki stracił wiele z dawnej przebiegłości. Utył. Nie wyczuwał już groźby w każdym poszumie wiatru. W trzecim tygodniu pobytu Challonera w chacie, w dniu, który znaczył kres mroźnej pory i rozpoczynał cieplejszy czas, pies znalazł starą „śmiertelną” pułapkę, umieszczoną wśród bagien oddalonych od polany o całe dziesięć mil. Le Beau sporządził tę pułapkę na rysie, lecz żadne zwierzę nie tknęło przynęty — wielkiego kawała mięsa karibu, zmarzłego na kość. Miki począł je ciekawie obwąchiwać. Nie bał się już wcale. Wszelka groźba przestała dlań istnieć. Obliznął mięso. Szarpnął je zębami — i ogromna kłoda runęła w dół, omal nie druzgocąc mu karku.

Chybiła o cal. Lecz w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin Miki, przywalony pniem, był bezsilny jak kaleka. Usiłował jednak walczyć i wreszcie, zwyciężywszy ciężar kłody oraz straszną niemoc, zdołał odpełznąć nieco w bok. Tymczasem pocieplało znacznie; spadł miękki śnieg, zacierając wszelkie ślady i szlaki. Miki włókł się przez ten biały puch, zostawiając za sobą głęboką koleinę, jak wydra idąca przez bagno, gdyż zad miał zupełnie bezwładny. Chociaż kość pacierzowa nie pękła, to jednak cios i ciężar pnia sparaliżowały go na jakiś czas.

Wędrował teraz w kierunku chaty, ale każdy ruch był dla niego okropną męką, sunął zaś naprzód tak wolno, że w ciągu godziny przebył zaledwie ćwierćmilową przestrzeń. Do zmroku oddalił się od pułapki tylko o dwie mile. Wlazłszy w gęstwą młodych drzewek przeleżał tam do świtu. Cały następny dzień nie ruszał się z miejsca. Nazajutrz, czyli w cztery dni po opuszczeniu chaty, ból w karku zelżał. Ale gdy ruszył w dalszą drogę, mimo wysiłku posunąć się mógł jedynie o parę cali.

Dobry duch lasu opiekował się nim i tym razem, gdyż po południu trafił na padło jelenia,

zabitego przez wilki, a zjedzonego tylko częściowo. Mięso było zmarzłe na kość, ale pies zabrał się doń chciwie. Potem znalazł sobie schronisko pod konarami zwałonych drzew i przeleżał tam dziesięć dni pomiędzy życiem a śmiercią. Gdyby nie jelen, zdechłby na pewno. Co dzień lub co drugi dzień tylko pełził do padliny i to mięso chroniło go od zupełnego wyczerpania. Dopiero ku końcowi drugiego tygodnia mógł pewnie stanąć na nogach. Po piętnastu dniach choroby wrócił do chaty.

U skraju polany niejasno wyczuł jakąś zmianę. Co prawda chata stała na dawnym miejscu. Na pozór nie różniła się niczym od tej, którą Miki opuścił przed dwoma tygodniami. Lecz z komina nie bił dym, a okna były białe od szronu. Biały całun śniegu leżał wokół ścian. Miki począł iść ostrożnie ku drzwiom. Nie widział żadnych śladów. Pod progiem puszyła się głęboka zasp. Zaskomlił i poskrobał drzwi. Nikt mu nie odpowiedział. Nie usłyszał żadnego głosu.

Wrócił na skraj boru i czekał. Czekał cały dzień, niekiedy zbliżając się do chaty i węsząc, by się przekonać, że nie popełnił omyłki. O zmroku wykopał jamę w miękkim śniegu pod progiem i przeleżał tam całą noc. Nadszedł nowy dzień, szary i pusty; dym nie bił z komina i wewnątrz chaty nie ozwał się żaden głos, więc Miki zrozumiał, że Challoner, Nanetta i dziecko znikli!

Nie tracił jednak nadziei. Zamiast słuchać pod ścianą i progiem, łowił dźwięki, płynące z leśnej gęstwy, przekonany, że lada chwila ludzie wyjdą spośród drzew. Czynił krótkie wywiady; biegł z tej, to z tamtej strony chaty, daremnie obwąchując świeży śnieg i raz po raz chwytając wiatr. Nad wieczorem zabrnął w las polując na królika. Gdy zabił go i zjadł, wrócił znów na polanę i przespał drugą noc w śniegu pod progiem. Został w tym samym miejscu noc trzecią i czwartą.

Trzeciej nocy pod gwiazdzistym niebem usłyszał dalekie wycie wilków i również zawył żałośnie. Nie szło mu o danie odpowiedzi dzikim współbraciom; głos miał przepojony beznadziejną rozpaczą. Ogarnęła go teraz samotność, głębsza niż kiedykolwiek. Coś zdało mu się szeptać do ucha, że minione szczęście było tylko snem, że stoi znów wobec dawnego świata, pełnego grózb, pustki, chłodu i nieustannej walki o byt. Jego zmysły, chwilowo przytępione radosnym ubóstwianiem istot zamieszkałych w chacie, stały się znów czujne i bystre. Poznał na nowo ostry dreszcz niebezpieczeństwa płynącego z samotności i zrobił się tak nieufny, że czwartego dnia smykał wokół polany chyłkiem jak wilk.

Piątej nocy nie spał już na polanie, lecz znalazł sobie wykrot w głębi boru. Sny miał dziwne i niespokojne. Nie marzył o swym panu, o kobiecie lub dziecku ani też nie przeżywał pamiętnych chwil pobytu w forcie O'God. Sen ukazał mu nagie, skaliste zbocze zavalone górą śniegu oraz ciemną, głęboką pieczarę. Był znów w towarzystwie dawnego przyjaciela i druha, niedźwiedzia Niuy. Próbował go zbudzić; czuł ciepło jego ciała i słyszał senny pomruk. Potem walczył, otoczony zewsząd krzakami czarnych porzeczek, i wraz z Niua umykał przed wściekłą niedźwiedzicą, która owładnęła ich parowem. Gdy ocknął się nagle z sennych marzeń, drżał cały i miał mięśnie napięte jak postronki. Warknął w mroczną dal. Oczy miał jak dwie płomienne kule. Zaskomlił potem cicho i tęsknie, a gdy umilkł, nasłuchiwał jakiś czas w nadziei, że Niua mu odpowie.

Jeszcze cały miesiąc przebył w pobliżu chaty. Przynajmniej raz na dzień, a czasem i nocą, odwiedzał polanę. Coraz częściej wspominał Niue. W początku marca nadeszła tajki-swao (wielka odwilż). Cały tydzień niebo było wolne od chmur. W powietrzu czuło się już tchnienie ciepła. Śnieg pod nogami zmiękł, a na słonecznych zboczach wzgórz i urwisk topniał szybko, spływając w dół strugami wody lub sunąc w luźnych płatach jak miniaturowe lawiny. Świat dygotał od naporu sił życiowych. Wszędzie biło serce wiosny. A w duszy Mikiego powstawało zwolna przekonanie, nadzieja, niemal pewność: teraz Niua się zbudzi!

Przyszło to ku niemu, jak wreszcie zrozumiał głos. Szeptały o tym perlisterne strumienie; śpiewał ciepły wiatr pozbawiony mroźnych porywów; mówiły mu o tym nowe wonie, bijące z ziemi; więc

łowił upragnioną pewność w słodkim zapachu wilgotnych leśnych podłoży. Był podniecony. Wszędzie słyszał wyraźny zew. I już wiedział: teraz Niua się zbudzi!

Usłuchał wezwania. Leżało to w naturze rzeczy; teraz jedynie siła fizyczna mogła go powstrzymać. Ale wędrował inaczej niż w swoim czasie z obozu Challonera do chaty Nanetty Le Beau. Wtedy miał przed sobą wyraźny cel, wyraźną dążność, która go pchała naprzód. Obecnie wchodził w grę silny impuls, nie zaś rzeczywistość. W ciągu dwóch, trzech dni podróż swą ku zachodowi odbywał jakby niepewnie i z przerwami. Potem ustalił kierunek i piątego dnia wczesnym rankiem wyszedł z gęstej kniei na równinę, a przez jej szerokość dojrzał stronie zbocze wzgórza. Spoglądał na nie jakiś czas, nim zdecydował się wreszcie pójść dalej. W jego mózgu wizerunek Niuy stawał się coraz wyraźniejszy. Przecież w gruncie rzeczy dopiero wczoraj lub najwyżej dwa dni temu rozstał się z przyjacielem. Wtedy stok wzgórza był zasypany śniegiem, a ziemia tonęła w mroku. Teraz śnieg prawie zupełnie znikł, a na błękitnym niebie lśniło jaskrawe słońce. Miki obwąchał podnóże zbocza; nie zapomniał ścieżki wiodącej do jaskini. Nie czuł zbytniego podniecenia, gdyż czas przestał dla niego istnieć. Wczoraj opuścił pieczarę; dziś wraca do niej. Ruszył wprost do wrót kryjówki Niuy, obecnie szeroko rozwartych, wsunął w głąb łeb i barki, a potem wciągnął powietrze. Ależ ten leniuch jest niemożliwym śpiochem! Śpi w dalszym ciągu. Miki czuł woń niedźwiedzia. Gdy natężył słuch, słyszał jego obecność.

Przełazi przez płytką zaspę nawianą u wejścia i ufnie zagłębił się w ciemnej czeluści. Usłyszał łagodny, senny pomruk i ciężkie westchnienie. Omal że się nie potknął o Niue, który zmienił nieco legowisko. Niua sapnął, a Miki lekko zaskowyczał. Wtulił pysk w nowe wiosenne futro niedźwiedzia i węchem odnalazł jego ucho. W gruncie rzeczy toż to było wczoraj! Pamiętał wszystko doskonale. Więc szarpnął zębami ucho Niuy i począł ujadać niskim, gardłowym głosem, takim jak dawniej.

— Zbudź się, Niua! — mówił. — Zbudź się! Śnieg stopniał i dzień taki śliczny! Zbudź się!
A Niua przeciągnął się i westchnął głęboko.

MIKI ODNAJDUJE NIUE

Po słonecznej stronie wzgórza, panującego nad doliną, siedział na głazie Mieszaba, stary

Indianin Cree. Mieszaba, przed wielu, wielu laty zwany Olbrzymem, był bardzo wiekowy. Nawet w księgach agenta z faktorii O'God nie znajdowano żadnej wzmianki dotyczącej jego urodzin; nie wspominały o nim również dokumenty Albany House, Cumberland House, Norway House lub fortu Churchilla. Być może istniał jakiś ślad jego przyjscia na świat dalej na północy, nad jeziorem La Biche, w starym forcie Resolution lub też w forcie Mac Phersona. Mieszaba miał twarz zoraną bruzdami, spaloną wichrem i słońcem jak stary rzemień, a na czoło, policzki i ramiona opadały mu białe jak śnieg włosy. Ręce miał bardzo szczupłe, nos zastrzony wiekiem, ale oczy, po stu latach

prawie równie bystre jak w czasach dzieciństwa, płonęły mu wciąż niby dwa karbunkuły.

Teraz błdziły po dolinie. Poza plecami Indianina oddalona o milę stała nędzna chatynka, zbudowana ongi przez traperów, w której Mészaba żył samotnie. Ubiegła zima była długa i mroźna, toteż Indianin, rad z nadejścia wiosny, wgramolił się na zbocze, by zaznać pieśczoły słońca i popatrzeć na odrodzony świat. W ciągu godziny oczy jego, niby czujne źrenice starego sokoła, wędrowały w górę i w dół krajobrazu. Ciemny bór jodłowy opasywał daleki kraniec doliny; pomiędzy borem a stokiem górskim słała się łąka, miejscami pokryta jeszcze topniejącym śniegiem, miejscami świeżą zieloną murawą. O sto jardów w prawo Mészaba widział ponadto ostry występ skalnego urwiska, wdzierający się w dolinę. Zresztą ta skała była mu obojętna; myślał tylko, że niepotrzebnie zasłania widok.

Siedział tak nieruchomy i baczny, pykając z ciemnej fajki, i dostrzegał raz po raz ślady życia. Zaledwie o pół mili wyszła z gęstwy stadko karibu, zbliżyło się nieco i utonęło w pobliskich zaroślach. Stara krew Indianina nie zawrzała jednak chęcią mordy, gdyż na ścianie jego chaty wisiał właśnie świeża ubity jelen. Trochę dalej zobaczył bezrogiego łosia, wyglądającego tak komicznie w swej wiosennej brzydocie, że Mészaba zmarszczył w uśmiechu pergaminową twarz i zachichotał radośnie. Potem widział wilka oraz dwa lisy, a teraz nie spuszczał oczu z orła szybującego nad głową. Mészaba za nic w świecie nie zabiłby tego ptaka, gdyż rokrocznie dotrzymywał mu towarzystwa, a z nadejściem wiosny płał się w blasku słonecznym. Więc Indianin patrzył nań, chrząkając wesoło, rad, że Upisk nie zginął w czasie zimy.

— Kete i eti sisiu! — szeptał sam do siebie z przesadnym błyskiem oczu. — Długi czas żyliśmy razem, o Upisk, i los chce, byśmy razem umarli. Wiosna niejednokrotnie przychodziła ku nam, ale wkrótce ciemna zima pochłonie nas na zawsze!

Z wolna opuścił oczy i objął wzrokiem skalne urwisko, zamykające horyzont. Raptem serce skoczyło mu w piersi; fajka wypadła z ust; patrzył bez ruchu jak skamieniały. Na płaskim gładzie, oddalonym mniej niż o sto jardów, stał młody czarny niedźwiedź. Jego wiosenne futro lśniło w słonecznym blasku jak wygładzony dżet. Ale nie ten widok wywołał zdumienie Mészaby. Tuż obok wakaja tkwił inny zwierz, nie niedźwiedź tym razem, ale potężny wilk. Indianin powolnym ruchem uniół rękę i przetarł oczy, pewien, że coś musi mu mącić wzrok. Jak długo żył, nie słyszał nigdy, by wilk był przyjacielem niedźwiedzia. Z natury rzeczy dzieliła ich nienawiść. Przyroda rzuciła między tych dwoje najgłębszą waśń, jaka kiedykolwiek istniała w kniei. Dlatego też Mészaba zwątpił na chwilę o bystrości swych oczu. Ale w następnej chwili upewnił się, że cud istotnie się spełnił, wilk bowiem zwrócił łeb w jego stronę, i to był na pewno wilk. Olbrzymi kościsty zwierz, którego barki sięgały barków niedźwiedzia; potężny, o wielkim łbie.

Serce Mészaby drgnęło ponownie, gdyż wiosną kita wilka jest obfita i puszysta, a to stworzenie miało ogon nagi jak b r.

— Ohni musz! — sapnął Mészaba. — To jest pies!

Cofnął się wstecz i zapadł zda się w ziemię. Jego karabin stał oparty o głaz, tuż poza zasięgiem ręki.

Tymczasem Niua i Miki mrużyli ślepią w jaskrawym blasku słońca, a za nimi ział czarny otwór grotu, w której Niua przeleżał całą zimę. Miki był zaskoczony. Zdawało mu się wciąż, że wczoraj, a nie przed czterema miesiącami, zostawił niedźwiedzia śpiącego w tej jaskini, teraz więc dziwił się ogromnie, że przyjaciel jest tak duży. Niua bowiem rósł bez przerwy w czasie zimowej drzemki i był obecnie dwa razy większy niż jesienią.

Mészaba, ukryty za głazem, wyciągał ramię po broń, tymczasem Niua, łowiąc wiatr w brunatne

nozdrza, chwycił jednocześnie jakiś podejrzany zapach. Niua nie widział na ogół w obecnej sytuacji nic nadzwyczajnego. Gdy przed czterema miesiącami układał się do snu, Miki był u jego boku; dziś, gdy się zbudził, Miki nadal znajdował się obok. Czteromiesięczny okres nie liczył się wcale. Niejednokrotnie przecie szli razem spać i razem kończyli drzemkę. Jedynie dziwna woń, rozsnuta w powietrzu, niepokoiła trochę, niedźwiedzia. Instynktownie wietrzył w niej groźbę i wołał stanowczo, żeby przestała istnieć. Z ostrzegawczym whuf zwrócił łeb w stronę psa. Gdy Mieszaba wyrżał z nad grzbietu skały, licząc na łatwy strzał, uchwycił jedynie niejasne zarysy obu zwierząt mknących w panicznej ucieczce. Błyskawicznie dał ognia.

Dla Niuy i Mikięgo grzmot strzału i gwizd kuli ponad łbami wywołał z mroków niepamięci falę wspomnień; garbiąc kark i kładąc uszy po sobie, Niua ruszył teraz szalonym cwałem, aż Miki musiał rozwinąć całą szybkość, do jakiej był zdolny, by mu dotrzymać kroku. Wreszcie niedźwiedź stanął, sapiąc głośno. Ponieważ nie jadł nic od czterech miesięcy i osłabł w bezczynności, długi bieg omal mu nie podciął nóg. Dopiero po paru minutach wypoczynku odzyskał głos o tyle, że zdołał chrząknąć. Tymczasem Miki obwąchał go starannie od ogona po pysk. Najwidoczniej znalazł wszystko w porządku, bo po skończonym przeglądzie szczeknął radośnie i bez względu na powagę swego wieku oraz ogromny wzrost, począł skakać i tańczyć wokół niedźwiedzia.

— O Niua, jakże się cieszę, że już wreszcie wstałeś! — zdawał się mówić. — Co będziemy teraz robić? Pójdziemy na łowy?

Niua najwidoczniej miał właśnie ten zamiar, gdyż ruszył przed siebie, aż znalazł płytkie mokradła, gdzie począł wnet szperać w poszukiwaniu słodkich korzeni i traw; brodząc to tu, to tam, mrucał i chrząkał, łagodnie a przyjaźnie jak w dzieciństwie. Miki zaś, polując wraz z nim, poczuł raz jeszcze, że samotność znikła z jego życia.

SYGNAŁ TRWOGI

Gdy Niua zaspokoił pierwszy głód, spojrział na Mikięgo jakby pytając, dokąd teraz zwrócić kroki; po dawnemu pies miał kierować włóczęgą. Może Miki usiłował teraz wyjaśnić przyjacielowi, co zaszło w ciągu zimy. W każdym razie zamierzał opowiedzieć mu, w jak dziwny sposób odnalazł swego pana Challonera i jak go ponownie stracił; jak spotkał kobietę i dziecko, jak długi czas żył razem z nimi, bezgranicznie miłując tych troje.

Stara chata, położona na północny wschód, własność ongi Jacka Le Beau, nęciła go nieodparcie; do tej chaty właśnie wabił Niue w ciągu pierwszych dwu tygodni wspólnych łowów. Wędrowali bardzo wolno, głównie ze względu na żarłoczność niedźwiedzia; Niua tracił dziewięć dziesiątych czasu na jedzenie, opychając się niemal bez przerwy pączkami drzew, młodymi pędami i trawą. Mikiemu obrzydło polowanie, gdyż wszelkie jego wysiłki były prawie beznadziejne. Pewnego dnia, gdy zabił pięć królików, Niua zjadł z nich cztery i chrząkał jak prosię, żądając jeszcze.

Jeśli apetyt niedźwiedzia za jego dzieciństwa dziwił nieraz i gorszył psa, teraz napawał go bezustannym zdumieniem, gdyż pod względem jadła Niua był bezdenną studnią. Z drugiej strony jednak bardziej niż kiedykolwiek lubił się bawić i jako dwa razy cięższy od Mikięgo, był dlań wspaniałym przeciwnikiem. Nauczył się bardzo prędko wyzyskiwać swoją wagę i nieraz niespodzianie przygniatał psa tłustym ciałem jak ogromną poduszkę, jednocześnie obejmując tak zręcznie łapami, że Miki ledwie mógł się ruszyć. Czasem znów, trzymając się w objęciach, tarzali się i przewracali po ziemi, jakby w śmiertelnej walce. Miki uwielbiał tę grę, choć Niua miał w niej zawsze wyraźną przewagę. Aż raz zsunęli się z krawędzi głębokiego parowu i jak lawina runęli w dół. Po owej przygodzie poniechali na dłuższy czas tego rodzaju rozrywek. Zresztą ilekroć Miki chciał położyć koniec zapasom, wystarczało, by raz szarpnął Niuę długimi kłami; w jednej chwili dając spokój walce, niedźwiedź, niby pchnięty sprężyną, stawał na cztery łapy. Wobec zębów psa czuł zawsze głęboki respekt. Ale Miki wpadał w największą radość, gdy Niua unosił się na tylne łapy niby człowiek. To dopiero była bójka! Natomiast ilekroć niedźwiedź wlaził na drzewo, by uciąć słodką drzemkę, Miki nie posiadał się z oburzenia.

Dotarli do chaty w trzecim tygodniu wspólnej włóczęgi. Nie zaszły w niej żadne zmiany, więc Miki ponuro zwiesił ogon, gdy ze skraju polany spoglądali na domostwo. Ani dymu, ani śladu życia; tylko szyba była stłuczona, zapewne przez jakąś ciekawą bestię, niedźwiedzia lub rosomaka. Miki zbliżył się do okna i wspiał ku niemu, zaglądając do wnętrza. Woń trwała wciąż, choć tak nikła, że ledwie mógł ją wyczuć. Wielka izba dała pustką; nie było w niej nic prócz pieca i paru prymitywnych sprzętów. Reszta znikła. W ciągu najbliższej pół godziny Miki parokrotnie zaglądał przez okno, aż Niua, zachęcony postępowaniem psa, poszedł za jego przykładem. I on również łowił słabą woń pozostałą w izbie. Sapiąc chwycił ją w rozwarte nozdrza. Przypomniała mu zapach wyczuty w dniu, gdy porzucił legowisko, choć różniła się odeń znacznie. Była słabsza, bardziej zwiewna i nie tak przykra.

Przez cały miesiąc Miki uparcie polował w pobliżu chaty, choć niezupełnie rozumiał, co go tu trzyma. Niua dobrodusznie godził się na ten stan rzeczy. Wreszcie jednak stracił cierpliwość i urządził trzydniową wycieczkę, w czasie której wałęsał się tu i ówdzie, kierując się jedynie własną fantazją. By nie zerwać węzłów przyjaźni, Miki zmuszony był ostatecznie podążyć jego śladem. Okres jagód, czyli początek lipca zastał obu o sześćdziesiąt mil od chaty w kierunku północno zachodnim, w pobliżu krainy będącej kolebką Niuy. Ale w roku bibi nek em gide (suszy i pożarów) jagód było bardzo mało. Wraz z połową lipca delikatna strzeżoga zawisła ponad lasami. Deszcz nie padał od trzech tygodni. Nawet noce były suche i upalne. Agenci Kompanii co dnia niespokojnym wzrokiem spoglądali na swe rejony, a w początku sierpnia każda faktoria miała już patrole złożone z Indian i Metysów, które, przebiegając bór we wszystkich kierunkach, strzegły go od pożaru. Ci spośród mieszkańców kniei, którzy na lato nie przenieśli się do fortów, trwali w lęklwym oczekiwaniu; co rano, co wieczór i co noc traperzy pięli się na wyniosłe drzewa i poprzez drżący welon strzeżogi szukali kłębow dymu lub łuny ognia. Od dawna już wiatr wiał uparcie z południowego zachodu, a tchnienie jego było tak upalne, jakby leciał znad skwarnych piasków pustyni. Jagody uschły na krzakach; owoc jarzębiny zgrzybiał i szerniał; łożyska strumieni świeciły nagim dnem; mokradła zmieniły się w spēkane złoża torfu, a liście topoli wisiały martwe i skręcone w rurki. Nawet leśny bywalec zaledwie raz lub dwa razy w życiu widuje liście topoli pozbawione tak dalece wszelkich soków żywotnych. Jest to kiskiwehun (sygnał trwogi). Wróży on nie tylko możliwą śmierć wśród morza płomieni, lecz wieści również sezon zimowy ubogi w futra, wieści głód.

Gdy nadszedł dzień piątego sierpnia, Niua i Miki znaleźli się w krainie wielkich błot. Panowała tu nieopisana spiekota. Niua wywalił ozór, a Miki dyszał ciężko i tak obaj wlekli się wzdłuż płytkiej

strugi, ciemnej jak mogiła, a martwej jak cały ten kraj. Nie było widać słońca; promienie jego próżno starały się przebić gęstą oponę mgły, która zwisała nad ziemią coraz niższa i coraz bardziej zwarta. Ponieważ szli głęboką kotliną, wonie i dźwięki nie docierały do nich częściowo. Już o pięć mil dalej usłyszeliby z pewnością grzmot kopyt i racic oraz trzask gałęzi łamanych naporem wielkich zwierząt, które umykały przed śmiertelną grozą ognia. Tymczasem brnęli z wolna spieczonym bajorem, a koło południa opuścili nizinę i wyleźli przez zieloną zasłonę gaju na szczyt urwiska. Jak dotąd, żaden z nich nie widział pożaru puszczy. Obecnie doznali niby objawienia. Wszelkie doświadczenie było tu zbyt ciche. Instynkt praojców w jednej chwili przesycił ich ciała i mózgi. Świat leśny dostał się w szpony Iskutao, demona ognia. Od południa, wschodu i zachodu leżał zda się mrok nocy jak beżmierny czarny całun, a z najdalszego krańca moczarów, które niedawno opuścili, tryskały pierwsze języki płomieni. Teraz, gdy wyszli z kotliny, ział stamtąd gorący wiew, a wraz z nim płynął powietrzem głuchy ryk i łomot, niby oddalony grzmot wodospadu. Czekali wężąc i patrząc, w pierwszej chwili próżno starając się zmienić dziedziczny instynkt na rozumowy proces myślenia. Niua, jako niedźwiedź, był krótkowidzem, toteż nie oglądał ani ciemnych zwojów dymu, mknących coraz bliżej, ani języków ognia nad torfowiskami. Za to czuł doskonale i marszcząc nos w niezliczoną ilość fałdek, pierwszy gotował się do ucieczki. Natomiast Miki, obdarzony wzrokiem sokolim, stał jak urzeczony.

Grzmot rósł. Zdawało się, że dobiega ze wszystkich stron na raz. Pierwszy tuman popiołu jak forpoczta ognia milczkiem nadleciał z południowej strony i wnet potem buchnął swąd dymu. Miki zawirował w miejscu, cicho jęcząc; ale wodzem ucieczki stał się niedźwiedź — niedźwiedź, którego przodkowie tysiące razy w ciągu stuleci odbywali ten sam dziki bieg w zawody ze śmiercią. Słaby wzrok nie wadził mu teraz. Wiedział przecie! Wiedział, co gna za nimi, co jest po bokach, gdzie leży jedyny szlak zbawienia. W powietrzu czuł zgubę. Miki dwukrotnie próbował skrócić ku wschodowi, ale Niua nie zważał na jego zamiary. Kładąc uszy po sobie, rwał na północ. Miki stawał trzykrotnie i odwracał się wstecz, by spojrzeć na cwałującą za nimi grozę, ale Niua nie zatrzymał się ani razu. Mknął wprost na północ, na północ, na północ, ku wyżynom, ku otwartym łąkom i wodzie.

Nie byli sami. Minał ich karibu, szybki jak wiatr. — Prędko! Prędko! Prędko! — wołał instynkt Niuy — i wytrwale! — Karibu bowiem, zwinniejszy w biegu niż pożar, padnie wkrótce z wycieńczenia i ogień go zwęgli. Zatem — prędko, lecz wytrwale!

I Niua mknął przez las równym, miarowym cwałem. Przeciął im drogę łoś galopujący z zachodu, a tak zziajany i charczący, jakby miał krtań rozdartą. Był okropnie poparzony i ślepo rwał na stojącą od wschodu ścianę ognia. Z tyłu i z obu stron, gdzie płomień szalał jak hordy bezlitosnych Hunnów 10 śmierć zgarniała obfite i straszne niwo. W dziuplach, w wykrotach i pod zwałami drzew, u szczytu gęstych koron lub w kryjówkach ziemnych chroniły się mniejsze zwierzęta i bez wyjątku marły. Króliki, objęte ogniem, skakały jak piłki i konały popękane i czarne; kuny na drzewach piekły się żywcem; wydry, skunksy i gronostaje ginęły w głębi jam; sowy w popłochu opuszczały gniazda, chwiejnie krążyły w żarnym powietrzu i waliły się w dół, w fale płomieni. Wszystkie stworzenia umierały milcząc; tylko jeżozwierze zawodziły jak małe dzieci.

W gęstwie chojarów przepojonych żywicą, ogień rwał naprzód ze zdwojoną szybkością i siłą. Nikt nie był zdolny go prześcignąć, żaden człowiek ani zwierzę. Z morza płomieni bił jakby w niebo jeden wielki krzyk: wody, wody, wody! Woda dawała nadzieję życia. Kłótnie, rozłamy, nienawiści, to wszystko w godzinie zguby zostało zapomniane. Każde jezioro było wspólnym rajem zbawienia. Do takiego właśnie jeziora dobiegł Niua kierowany nieomylnym instynktem i powonieniem, które jeszcze zaostrzył huk i łomot ognia. Miki doszczętnie zgłupiał; zmysły miał przyćmione. Nosem tylko łowił swąd spalenizny, toteż ślepo dążył za przyjaciелеm. Ogień opasał już

zachodni brzeg jeziora. Było ono niewielkie i miało kształt prawie kolisty. Średnica jego wynosiła najwyżej dwieście jardów. Pośród wodnej tafli znajdowało się stadko karibu i łosi; niektóre pływały, ale większość stała na płytkim dnie, wynurzając z topieli jedynie szczyty łbów. Sporo krótkołąpach stworzeń uwijało się tu i ówdzie, wiosłując nogami tylko tyle, by się utrzymać na powierzchni. Na brzegu, gdzie Niua i Miki przystanęli na chwilę, ogromny jeżozwierz skrzeczał i kwiczał zawzięcie, jakby gderząc na wszystkich, że mu przeszkadzono spokojnie zjeść obiad. Uspokoił się jednak wreszcie i wszedł do wody. Nieco dalej lis, skulony tuż nad brzegiem, czekał jeszcze, nie chcąc zmoczyć cennego futerka, aż mu śmierć w oczy zajrzy; inny lis, który przepłynął właśnie jezioro, umykając z przeciwległej łachy, opasanej już wałem płomieni, gramolił się na brzeg, ociekający wodą i zmięty jak szmata. Najwidoczniej sądził, że tu będzie bezpiecznie; tymczasem jednak z gęstwy wypadł sapiąc stary niedźwiedź, dwukrotnie większy od Niuy, skoczył w wodę i odpłynął na środek jeziora. Drobne zwierzątka smykały, pełzały i czały się u mielizny: czerwonoookie gronostaje, sobole, kun, króliki, wiewiórki, koszatki oraz tłumy myszy. A Niua, który w normalnym czasie pożarłby chciwie ten cały ludek, nie zwracał nań teraz najmniejszej uwagi i zwolna wkroczył w toń jeziora. Miki podążył śladem przyjaciela, aż woda doszła mu do barków. Wtenczas stanął.

Ogień był tuż, mknąc z szybkością wyścigowego rumaka. Ponad zwartą osłoną starodrzewu płynęły tumany popiołu, kłęby dymu i sadzy. Czarny welon okrył jezioro, a pośród okropnego chaosu żaru i ciemności słychać było dziwne, przejmujące grozą głosy. Brzmiał jękliwy bek młodego łosia, palonego żywcem, straszliwy ryk jego matki, wycie konającego wilka oraz pełen przerażenia szczek lisa.

Poprzez gęstniejący dym Niua sapnął w stronę Mikięgo, jednocześnie ruszając wplaw; Miki odpowiedział krótkim skowytem i również zaczął płynąć, trzymając się tak blisko czarnego druha, że pyskiem sięgał jego boku. Znalazłszy się na samym środku jeziora, Niua uczynił tak, jak inne zwierzęta — wiosłował łapami tylko tyle, by nie pójść na dno. Dla Mikięgo, który był niezwykle kościsty i nie posiadał wcale tłuszczu, rzecz przedstawiała się gorzej. By nie utonąć, musiał trwać w ciągłym ruchu. Kilkanaście razy odpłynął Niue, aż zrozumiałwszy sytuację, oparł przednie łapy o kark niedźwiedzia.

Wokół jeziora stał teraz ognisty mur. Sosny i jodły, przepojone żywicą, trzaskały ostro, a w rozedrganym powietrzu płomienne języki biły na pięćdziesiąt stóp wwyż. Ryk rozpętanego żywiołu grzmiał niepowstrzymanie. Ginęły w nim wszelkie dźwięki bólu, rozpacz i agonii. Panował okropny żar. W ciągu paru straszliwych minut powietrze, które Miki wciągał w płuca, paliło żywym ogniem. Niua co chwila nurzał łeb w wodzie, ale Miki instynktownie wzdragał się go naśladować. Na równi z wilkiem, rysięm i lisem gotów był raczej umrzeć, niż dać nurka.

Pożar minął tak szybko, jak się pojawił; drzewa, do niedawna lśniące zielenią, były teraz zwęglone i czarne. Wraz z zanikiem płomieni cichł ich trzask i łomot; brzmiał już tylko w oddali niby stłumiony ryk. Zwierzęta brnęły zwolna ku ciemnym, dymiącym łachom. Wiele zmarło spośród tych, co szukały schronienia w jeziorze. Najgorzej powiodło się jeżozwierzom: wszystkie utonęły.

Na brzegu panował silny żar i jeszcze długie godziny tlały resztki ognia. Przez resztę dnia i całą następną noc żadne żywe stworzenie nie opuściło płytkich mielizn. Nikt jednak nie próbował ukrzywdzić sąsiada. Straszne niebezpieczeństwo zrodziło braterską wspólnotę.

Drugiego dnia o zmierzchu przyszła wielka zmiana. Spadł rześisty deszcz i gdy z nastaniem świtu słońce ponownie wyjrzało zza chmur, jezioro przybrało już zwykły wygląd. Jedynie tu i ówdzie pływały trupy zdechłych stworzeń, a po brzegach walało się sporo padliny. Żywe zwierzęta wróciły do ponurej kniei, a wraz z nimi Niua i Miki.

OSTATNIA PRZYGODA

Przez dłuższy czas po wielkim pożarze Niua kierował wspólną wędrówką. Świat wkoło przedstawiał czarną, martwą pustynię, tak iż Miki nie miał pojęcia, dokąd się teraz zwrócić. Gdyby szło o pożar miejscowy, nie tak rozległy, pies łatwo by znalazł wyjście z pogorzeli. Ale zasięg ognia był olbrzymi. Objął znaczny szmat kraju i połowa stworzeń, które zdołały ocaleć szukając schronienia w wodach jezior i strug, miała teraz paść z głodu.

Dla Niuy i jego współbraci ta groźba w ogóle nie istniała. Zarówno jak umykając przed pożarem niedźwiedź nie wahał się w wyborze drogi, tak i teraz bez śladu niepewności ustalił kierunek mający go wywieść z obrębu martwej kniei. Szedł na północny zachód, prosto jak strzełił. Jeśli trafili na staw lub jezioro, Niua okrążał je póty, aż znalazł się po drugiej stronie, akurat naprzeciw własnego tropu; wtedy ruszał znów przed siebie na północny zachód. Wędrował uparcie zarówno dniem, jak i nocą, rzadko tylko odpoczywając. Po dwóch dniach podróży Miki był bardziej zmęczony niż Niua. Dotarli teraz najwidoczniej do miejsca, gdzie ogień począł już wygasać; świadczyło o tym wiele szczegółów. Tu i ówdzie zostały kępy zielonych drzew, szmaty łąki nie tkniętej płomieniem oraz wilgotne torfowiska. Śród bajor i chaszczycy uctowali obficie, gdyż te oazy, ocalałe z pogromu, zawierały moc łatwej zdobyczy. Jednak po raz pierwszy Niua nie zgodził się na dłuższy postój, choć jadła było w bród. Szóstego dnia podróży znaleźli się o sto mil od jeziora, w którym szukali schronienia w czasie pożaru.

Był to prześliczny kraj, usiany szmaragdem gajów, płatami wielkich łąk, taflami jezior, pocięty siecią potoków oraz tysiącem usejo (drobnych urwisk) — istny raj łowiecki. Ponieważ znajdowało się tu wiele zbiorników wód, moc stawów, strug i rzeczulek, ziemia mniej ucierpiała od posuchy niż dalej na południu. Miki i Niua polowali w tych stronach cały miesiąc, odzyskując siły i dobry humor.

W początku września, bobrując u skraju mokradeł, ujrzeli dziwną rzecz. Miki osądził na razie, że to jest chata, o wiele jednak mniejsza niż te, które dawniej widywał. Była prawie wielkości klatki, w której Le Beau go niegdyś więził. Zbito ją z mocnych bali, wciętych w miejscach połączeń tak, że żadna siła nie mogłaby ścian rozwalić. Belki nie dotykały szczelnie jedna drugiej, przeciwnie, widniały szpary między nimi szerokie na sześć lub osiem cali. Drzwi stały otworem. Z wnętrza biła woń gnijącej ryby. Ten zapach mierził psa; dla Niuy natomiast był wielką atrakcją, toteż niedźwiedź uparcie tkwił w pobliżu, choć Miki usiłował odciągnąć go dalej.

Wreszcie Miki, oburzony zepsutym smakiem przyjaciela, dał mu pokój i sam jeden ruszył na łowy. Minęła długa chwila, zanim Niua odważył się wsunąć łeb i barki w rozwarte drzwi. Czuł coraz wyraźniej ostry zapach i małe ślepki lśniły mu pożądlivością. Ostrożnie wlaź do wnętrza

dziwacznej budowli. Nic się nie stało. Zobaczył rybę uwieszoną po drugiej stronie poprzecznego drąga. By ją dostać, pochylił się naprzód, piersią napierając na przeszkodę. I raptem...

Trzask!

Skręcił z miejsca, jakby trafiony kulą. Drzwi nie stały już otworem. Ruch drąga uwolnił ruchomą klapę, zawieszoną nad wejściem i Niua był uwięziony. Nie przeraziło go to zbyt; stał spokojnie, sądząc być może, że znajdzie z czasem dość dużą szparę, by móc wyleźć na zewnątrz. Sapnął badawczo parę razy i jął pożerać rybę. Był właśnie zajęty wonnym posiłkiem, gdy spośród niedalekiej kępy karłowatych sosen wyszedł Indianin. Jednym rzutem oka stwierdził, co zaszło, zawrócił i znikł w głębi boru.

W pół godziny później ten sam czerwonoskóry wbiegł na polanę, na której wzniesiono niedawno gmachy nowej faktorii. Dążył w kierunku biura Kompanii. W izbie wysłanej futrami, biały mężczyzna obejmował serdecznie młodą kobietę. Indianin zobaczył to i uśmiechnął się. Nad jeziorem Bain zwano tych dwoje sekihiwewin (zakochani). Niedawno misjonarz udzielił im ślubu, a potem odbył się wielki festyn.

Gdy Indianin wszedł, kobieta i mężczyzna wstali, przy czym kobieta uśmiechnęła się. Była śliczna. Miała lśniące oczy i policzki świeże jak kwiat. Indianin uczuł w piersi przypływ uwielbienia.

— Złowiliśmy niedźwiedzia! — rzekł. — Ale to nepeo (samiec). Nie ma niedźwiadka, iskwao, Nanetto!

Biały człowiek roześmiał się.

— Czyż doprawdy nie uda się nam schwytać niedźwiadka dla ciebie, Nanetto? — spytał. — A przysięgam, że łatwo dostaniemy tę niedźwiedzicę i jej małe. Samiec! Trzeba go będzie uwolnić, Mutag. Futro teraz nic nie warte. Czy chcesz pójść z nami, Nanetto?

Kiwnęła głową, a w jej uśmiechu dźwięczała nuta miłości i szczęścia.

--- Oui! To będzie tak przyjemnie darować mu wolność!

Challoner szedł przodem z siekierą w dłoni, trzymając Nanettę za rękę; z tyłu kroczył Mutag, na wszelki wypadek niosąc karabin. W pewnej chwili Challoner stanął i ukryty za zwartym igliwiem chojarów wyjrzał przez szparę wśród gałęzi, a potem rozszerzył ją, by Nanetta mogła swobodnie patrzeć. Kobieta pochyliła się i objęła wzrokiem klatkę oraz jeńca. Niua, bardzo teraz podniecony, krążył po swym więzieniu. Nanetta wstrzymała oddech; nagle krzyknęła głośno, ściskając palcami dłoń męża. Nim zrozumiał, co zamierza uczynić, rozsunęła iglaste konary i wybiegła na polanę.

Tuż obok klatki leżał Miki, przyjaciel wierny w godzinie próby. Był bardzo zziębnięty, gdyż chcąc uwolnić Niue, długi czas rył u podstawy bali; nie widział i nie słyszał nadejścia ludzi, aż zobaczył Nanettę, stojącą o kilkanaście kroków. Serce skoczyło mu do gardła. Z trudem przełknął ślinę; patrzył bez ruchu. I raptem runął ku niej z ostrym skowytem. Challoner krzyknął i wypadł z gęstwy, wymachując siekierą. Ale nim siekiera opadła, Miki znalazł się już w ramionach Nanetty, a Challoner, porzucając zbędną broń, wyjąkał zdumiony:

— Miki...

Mutag, z głupią miną przyglądający się tej scenie, widział, jak oboje, mężczyzna i kobieta, okrywają pieszczotami ogromne zwierzę o dzikim wyglądzie, któremu raczej należałoby się kula w łeb. O niedźwiedziu zapomniano zupełnie. Miki, obłąkany szczęściem, zapomniawszy o nim również. Dopiero gdy Niua wydał głośnie whuf, ogólna uwaga zwróciła się w jego stronę.

Miki jak strzała skoczył do klatki, wsunął nos między bale, obwąchał pysk przyjaciela i radośnie merdając ogonem, próbował mu wyjaśnić, co zaszło.

W głowie Challonera zrodziła się dziwaczna myśl: w zadumie podszedł do pułapki. Czyż to

możliwe, aby Miki zawarł przyjaźń z innym niedźwiedziem niż z tym małym bębem sprzed półtora roku? Odetchnął głęboko, patrząc na oba zwierzęta. Niua wetknął ciemny nos pomiędzy dwa bale, a Miki oblizywał go zawzięcie. Challoner wyciągnął rękę w stronę żony, a gdy podeszła bliżej, milczał chwilę, wskazując tylko dłonią dziwną scenę. Wreszcie rzekł:

— To ten sam niedźwiedź, Nanetto. Wiesz, ten, o którym ci mówiłem. Kolegowali widać ze sobą cały czas od dnia, gdy zabiłem starą niedźwiedzicę i związałem ich razem rzemieniem. Teraz pojmuję, dlaczego Miki uciekł od nas. Wrócił do niedźwiedzia!

Dziś, jeśli wyjdiesz z Le Pas, ruszysz wprost na północ, pognasz czółno rzeką Rat lub wodami Grassberry, po czym zanurzysz wiosło w toń rzeki Reindeer i w nurt jeziora tejże nazwy — dotrzesz wreszcie do Cochrane i faktorii Lac Bain.

Jest to jeden z najpiękniejszych zakątków na dalekiej Północy. Trzystu Indian, Metysów i Francuzów dowozi futra do Lac Bain. I każdy z tych ludzi, nie wyłączając ich żon i dzieci, zna dzieje „oswojonego niedźwiedzia znad jeziora Bain”, pieszczocha l'ange, białej kobiety, żony agenta.

Duży i tłusty niedźwiedź nosi lśniącą obrozę, biega swobodnie w towarzystwie ogromnego psa, lecz nie oddala się nigdy od faktorii. W całej okolicy obowiązuje niepisane prawo, które głosi, że Niuy nie należy krzywdzić i że w obrębie pięciu mil od budynków Kompanii nie wolno stawiać sidła niedźwiedzich. Niua nie zapuszcza się nigdy poza tę granicę; a gdy nadejdą chłody i niedźwiedzia ogarnie chęć zimowego snu, wchodzi do głębokiej jaskini wykopanej w tym celu pod składami faktorii. Z nastaniem nocy pies Miki śpi u boku przyjaciela.

Koniec

SPIS TREŚCI

NIUA-----	1
PIERWSZA WALKA-----	3
MIKI-----	6
W NIEWOLI-----	11
GROZA ŚMIERCI-----	13
DWAJ ŻEGLARZE-----	16

JEŻOZWIERZ-----	20
WILCZE ŁOWY-----	23
ROZŁAM-----	28
CZŁOWIEK-----	33
BITWA W PAROWIE-----	36
WIELKA PRZEMIANA-----	39
POTWÓR-----	42
TRUCIZNA I OGIEŃ-----	44
NANETTA-----	50
W MOCY DIABŁA-----	52
WYZWOLENIE-----	54
ZNOWU W NIEWOLI-----	58
USKI PAJPUN-----	62
WALKA PSÓW-----	64
ODZYSKANY PAN-----	66
RADOSNA ERA-----	70
MINIONE SZCZĘŚCIE-----	73
MIKI ODNAJDUJE NIUE-----	76
SYGNAŁ TRWOGI-----	78
OSTATNIA PRZYGODA-----	82

Przypisy:

- 1 Turzyca – Sierść królika, zająca**
- 2 Albinos – Osobnik o braku pigmentu w skórze, sierści (bielactwo).**
- 3 Renegat - Zdrajca**
- 4 Tepee – Namiot indiański o kształcie stożka**
- 5 M'sieur – (fr). – Pan**
- 6 Par les mille cornes du diable – (fr). – Przez tysiące rogów diabła**
- 7 Huski – Rasa psa pociągowego**
- 8 Mon ami – (fr) – Mój przyjaciel.**
- 9 Lasso – Arkan, pętla do chwytania zwierząt.**
- 10 Hunnowie – Koczowniczy lud z terenów Azji Środkowej**